

NOWY KANON

MAX
BLECHER
ZABLIŹNIONE
SERCA

Z PRZEDMOWĄ **nyrb**
ROLANDA CHOJNACKIEGO

Wydawnictwo
ab
1997

NOWY KANON

MAX
BLECHER

ZABLIŹNIONE
SERCA

Z PRZEDMOWĄ
ROLANDA CHOJNACKIEGO

PRZEŁOŻYL
TOMASZ KLIMKOWSKI

PRZEDMOWA

Max Blecher to niewątpliwie jeden z ciekawszych pisarzy europejskich okresu międzywojennego. Należał do tego samego pokolenia rumuńskich intelektualistów, co Mircea Eliade, Emil Cioran, Mihail Sebastian, Constantin Noica i Eugène Ionesco, by wymienić tylko tych znanych polskiemu czytelnikowi. Pokolenia, dodajmy, które miało intrygować jak żadne inne w historii rumuńskiej myśli humanistycznej i przez kolejne dziesięciolecia wzniecać intelektualne debaty, a jego wpływ miał sięgnąć daleko poza samą Rumunię.

Międzynarodowe uznanie nie przyszłoby tak łatwo, gdyby nie emigracja Eliadego, Ciorana i Ionesco. Chodzi tu zarówno o ich wyjazd do Francji (w przypadku Eliadego ostatecznie do USA), jak i o emigrację językową i decyzję o porzuceniu języka rumuńskiego na rzecz francuskiego. Pisanie w powszechnie znanym języku pomogło im zdobyć sławę i rozgłos. Los tych, którzy pozostali wierni językowi rumuńskiemu, był bardziej skomplikowany. W najlepszym wypadku stworzyli *crème de la crème* rumuńskiej inteligencji, a jednocześnie byli skazani na międzynarodowe nieistnienie. W naszej części świata przyzwyczajeni jesteśmy do utyskiwania pisarzy, że – ponieważ tworzą w niepopularnych językach – są nieprzetłumaczalni, niesłyszalni, niezauważani. Rumunom wyjątkowo się pod tym względem nie poszczęściło. Jako jeden z licznych wyjątkowo pechowych narodów Europy

prawie Środkowej są największym krajem europejskim, którego przedstawicielowi nigdy nie przyznano literackiej Nagrody Nobla (niedawny sukces Herty Müller tylko w niewielkim stopniu zmniejszył rozmiary kompleksu).

Słabą znajomość literatury rumuńskiej w Europie dobrze ilustruje jej recepcja w Polsce. Starsi czytelnicy mogą pamiętać czasy, kiedy każdy bratni naród miał własną serię w jednym z polskich wydawnictw. Mieliśmy więc bibliotekę literatury jugosłowiańskiej, bułgarskiej, węgierskiej, czeskiej i słowackiej, a nawet łuzycyckiej. W tych kolekcjach ukazało się przede wszystkim wiele świetnych tłumaczeń wspaniałych utworów, choć zdarzały się także pozycje o niewielkich walorach literackich, za to ideologicznie niekontrowersyjne. Na rynku wydawniczym słabo widoczna była tylko jedna „bratnia literatura”: rumuńska, która nigdy nie doczekała się żadnej serii w żadnej z oficyn.

Z tego punktu widzenia XXI wiek dla literatury rumuńskiej w Polsce rozpoczął się niezwykle obiecująco. Po raz pierwszy polscy miłośnicy literatury rumuńskiej mogą odetchnąć z ulgą. Istnieje cała grupa bardzo utalentowanych tłumaczy (do których niewątpliwie zalicza się tłumacz *Zabliźnionych serc*, Tomasz Klimkowski, czołowy polski rumunista, mający na koncie także kilka innych doskonałych przekładów, w tym wydaną niedawno przez W.A.B. książkę Gabrieli Adameşteanu *Stracony poranek*), są zainteresowane przekładami wydawnictwa i jest, magiczne w naszych czasach słowo, „rynek”.

A przecież po zmianach ustrojowych w 1989 roku, kiedy wszyscy, co było nawet i usprawiedliwione, pędzili do Berlina, Paryża i Amsterdamu (Londyn został zdobyty nieco później), wydawało się, że bliska zagranica po prostu nie istnieje. I rzeczywiście, rozpatrywana w kategoriach materialnych rozkoszy Rumunia nie jawiła się jako atrakcyjna kraina spragnionym dostatku Polakom. Aż

nadto dobrze przypominała polskie lata osiemdziesiąte, o których tak szybko chcieliśmy zapomnieć. Przez całe lata dziewięćdziesiąte XX wieku nie pojawił się w Polsce żaden przekład współczesnej literatury rumuńskiej. Owszem, odkrywaliśmy wówczas Eliadego, Ciorana i Noikę w genialnych tłumaczeniach Ireneusza Kani, ale jedyną wydaną wtedy po polsku współczesną książką były zapiski generała Pacey: przypominający szpiegowski thriller quasi-dokument traktujący o funkcjonowaniu dworu ostatniego komunistycznego prezydenta Rumunii, Nicolae Ceaușescu.

Rzeczywiste zainteresowanie Rumunią oraz Europą Środkową i Wschodnią wyraźnie wzrasta dopiero po kolejnej dekadzie. Swoje zniwo zaczynają zbierać prace Krzysztofa Czyżewskiego i piarstwo Andrzeja Stasiuka. To w dużej mierze ich zasługa, że Europa Środkowa jest na nowo odkrywana przez polskich czytelników, coraz śmielej podążających śladami autora *Jadąc do Babadag*. Nie dziwi zatem prawdziwy wysyp książek podróżniczych i reportaży na temat Rumunii w ostatnich latach.

Jeśli za miernik międzynarodowej sławy uznamy przekłady, to okaże się, że Max Blecher należy do bardzo elitarnego grona literatów lat 30. ubiegłego wieku, a mianowicie do grona pisarzy, którzy sławni zaczęli być całkiem niedawno. Pierwsze tłumaczenia jego książek na angielski, francuski, niemiecki, portugalski, hiszpański i polski pojawiły się w ciągu ostatnich kilku lat. Tylko Czesi, wierni swoim najlepszym translatorskim tradycjom, poznali się na pisarzu wcześniej. Choć o ile *Ulissesa* Joyce'a przetłumaczyli czterdzieści lat przed Polakami, o tyle Blechera już tylko z dwudziestoletnim wyprzedzeniem.

Blecher to jednak przypadek dość szczególny i w samej Rumunii. Jego losy toczyły się bardzo różnie. Nie wszyscy poznali się zrazu na talencie młodego pisarza. Nie był zbyt płodnym

autorem, pozostawił po sobie raptem trzy powieści, kilka utworów poetyckich, kilka relacji z sanatorium oraz tłumaczenia poetów francuskich. Chociaż i tego nie jesteśmy pewni, gdyż, jak wspomina w dziennikach Mihail Sebastian, znaczną część swojej twórczości Blecher zniszczył.

„Od wczoraj rano Blecher przebywa w Bukareszcie” – czytamy u Sebastiana. – „Opowiadał mi o swojej podróży pociągiem i byłem wstrząśnięty. Wyjazd z domu, w środku księżycowej nocy, puste ulice, strażnicy zdziwieni na widok noszy, oczekiwanie w biurze zawiadowcy stacji, wnoszenie przez okno do wagonu, przybycie pociągu rano na dworzec w Bukareszcie, tragarze, którzy odmawiają wyniesienia noszy przez okno... Straszliwe cierpienia. Wszystko wydaje się absurdalne i nieważne w obliczu tak wielkiego nieszczęścia. Wydawało mu się, że umiera. Był o krok od samobójstwa. Zniszczył wszystkie papiery, wszystkie rękopisy, w tym osiemdziesiąt stron rozpoczętej właśnie powieści i siedemdziesiąt stron dziennika. Ledwie starczyło mi odwagi, aby robić mu z tego powodu wymówki”.*

Przez pierwsze trzydzieści lat po jego śmierci pisano o Mak-sie Blecherze raczej niewiele. Monumentalna *Historia literatury rumuńskiej* Gheorghe Călinescu nie zachęca do poświęcania mu czasu. Zresztą wszyscy odmienicy byli dość surowo traktowani przez rumuńskiego historyka literatury, a Blecher jest rzeczywiście „inny” i trudny do zaszufładowania. Krytyka rumuńska określa go najczęściej mianem przedstawiciela „literatury subiektywnej autentyczności” lub „literatury cierpienia”. I owszem, z jednej strony jego niezwykle wątłe zdrowie, a właściwie całe doświadczenie życiowe związane z chorobą, było podstawowym materiałem,

* Mihail Sebastian, *Dziennik 1935–1944*, przeł. Jerzy Kotliński, Pogranicze 2007.

podstawowym budulcem literatury, którą tworzył. Ale z drugiej strony literatura ta zawsze okraszona była typową dla realizmu magicznego spotęgowaną wizją rzeczywistości. Blecher niezwykle cenił europejską awangardę, a zwłaszcza surrealistów (tłumaczył na rumuński Appolinaire'a i Eluarda), z zapałem czytał egzystencjalistów (Karl Jaspers). Călinescu, pozostający przez długie lata papieżem krytyki rumuńskiej, nie był nim jednak zachwycony.

Na długi powrót Blechera do panteonu literatury rumuńskiej złożyły się trzy wydarzenia. Po pierwsze, wydanie w 1971 roku jego niedokończonej, trzeciej powieści (a więc jednak nie zniszczył wszystkiego), nieprzetłumaczonej póki co na język polski, *Vizuina luminată: Jurnal de sanatoriu* (Podświetlona kryjówka. Dziennik z sanatorium), do której wstęp napisał Sașa Pană. Po drugie, zaczęli odkrywać go na nowo czołowi pisarze tzw. pokolenia '80, a zwłaszcza znany również w Polsce Mircea Cărtărescu. W końcu sensacją lat 90., i to na skalę międzynarodową, było opublikowanie *Dzienników* Mihaila Sebastiana. *Dzienniki* wywołały burzę ze względu na dość jednoznaczny opis postaw Eliadego i Ciorana, mówiąc wprost – ze względu na opis ich fascynacji faszyzmem, fanatyzmu religijnego i przyzwolenia na antysemityzm. Sebastian, pisarz rumuński pochodzenia żydowskiego, z przerażeniem odnotowuje ewolucję poglądów czołowych przedstawicieli inteligencji rumuńskiej. Sporo miejsca w swoim *Dzienniku* poświęca jednak także autorowi *Zabliźnionych serc*, z którym łączyła go nie tyle przyjaźń, ile pewnego rodzaju zażyłość.

„Był to zawsze trochę dziwny chłopak – pisze Sebastian – żyjący, wskutek straszliwego bólu, jakby w innym świecie. Nigdy nie umiałem rozmawiać z nim bez pewnego skrępowania, być wobec niego zupełnie otwarty. Napawał mnie pewnym lękiem, utrzymywał na dystans, jakby u drzwi więzienia, do którego nie można było wejść i którego nie można było opuścić. Prawie wszystkie

nasze rozmowy cechowało skrępowanie, jakbyśmy je prowadzili właśnie w więziennej rozmównicy. I dokąd on powracał, kiedyśmy się rozstawali? Jak było tam, dokąd powracał?”

Być może nie należy przeceniać wpływu *Dzienników* Sebastiana na popularność Blechera, ale faktem jest, że zainteresowanie twórczością tego drugiego nigdy nie było tak duże jak dziś. W Rumunii mówi się nawet o swoistym powrocie tego pisarza.

Rumuńskiego Franza Kafkę rozpozna w nim bukareszteński krytyk Eugen Lovinescu. Porównanie to będzie później eksploatowane przez niemal wszystkich zajmujących się Blecherem. Kiedy z kolei w latach sześćdziesiątych ukaże się rumuński przekład Brunona Schulza, krytyka rumuńska przyzna, że mieli ze sobą wiele wspólnego. Nie słyszeli o sobie, choć żyli i tworzyli niemal w tym samym czasie i niemal w tym samym miejscu (z Drohobycza do Botoszanów w linii prostej jest mniej więcej trzysta kilometrów). Obaj mieli żydowskie korzenie. Obaj pozostawili po sobie niewiele: Schulz dwa tomy opowiadań, Blecher trzy powieści. Pisano o strukturalnym pokrewieństwie ich prozy, o charakterystycznej dla obydwu zdolności „plasowania się w nieszczęściu” (Crohmlniceanu).

Max Blecher urodził się 8 września 1909 roku w prowincjonalnym miasteczku Botoszany (Botoșani), w północnej części rumuńskiej Mołdawii. W regionie, który przez całe życie pisarza pozostawał, jak zresztą znaczna część Rumunii, wielokulturowym tygłem. W Botoszanach na początku XX wieku połowę mieszkańców stanowili Żydzi, ale region zamieszkiwały również duże skupiska Ormian, Greków, Cyganów i Lipowian, no i naturalnie Rumunów.

Max przyszedł na świat w zamożnej rodzinie żydowskiej, ojciec był właścicielem fabryki szkła i porcelany. Również dalsi członkowie rodziny, wujowie i kuzyni, byli właścicielami większych lub

mniejszych sklepów i fabryczek. Tworzyli solidną klasę średnią, toteż i życie prowadzili na solidnym mieszczańskim poziomie. Ten drobnomieszczański świat rumuńskich Żydów zostanie dość wiernie oddany w *Zdarzeniach z bliskiej nierzeczywistości*, pierwszej powieści Blechera (1936, wydanie polskie w przekładzie Joanny Kornaś-Warwas, Pogranicze 2013). Zresztą wszystkie jego utwory będą miały wyraźne autobiograficzne motywy.

Max wraz z rodziną opuszczą Botoszany i przeprowadzą się nieco na południe, do miasta Roman. Ojciec założy tam kolejny interes, tym razem sklep z porcelaną, a Max skończy liceum, po którym, jak przystało na uzdolnione dziecko z zamożnej rodziny, zostanie wysłany do Paryża na studia medyczne. Nie będzie mu jednak dane zbyt długo cieszyć się beztróskim życiem studenta. Już w 1928 roku, czyli gdy Blecher ma zaledwie dziewiętnaście lat, zostaje u niego zdiagnozowana choroba Potta (tzw. gruźlica kręgosłupa), jedna z najbardziej niebezpiecznych i niezwykle bolesnych chorób zakaźnych. Tkanki kostne, w tym wypadku kręgi, są po kolei atakowane przez bakterie. Gorączka i ostre bóle kości paraliżują chorego. Max Blecher będzie się zmagał z chorobą przez blisko dziesięć lat. Umrze w cierpieniach 31 maja 1938 roku. Zanim jednak do tego dojdzie, odwiedzi znane sanatoria Europy: francuskie Berck-sur-Mer, szwajcarskie Leysin i rumuńskie Techirghiol. Choroba zniszczy go jako człowieka, ale uczyni z niego pisarza. Jednego, dodajmy, z najlepszych pisarzy języka rumuńskiego.

Max Blecher zadebiutował w 1930 roku, czyli już po zdiagnozowaniu choroby, krótkim tekstem *Herrant*, napisanym, a jakże, w sanatorium, w Berck-sur-Mer nad kanałem La Manche, a opublikowanym w renomowanym czasopiśmie „Bilete de papa-gal”, u niekwestionowanego guru literatów rumuńskich Tudora

Argheziego. Samo Berck, miasteczko ponad tysiąc pacjentów chorych na chorobę Potta, stanie się obsesją pisarza. Będzie je nazywał miastem „bezruchu i gipsu”. „Czym węgiel dla Liverpoolu, a ropa dla Baku, tym gips dla Berck”, napisze w reportażu pod tytułem *Berck. Miasto skazańców*. A nieco później uczyni z niego miejsce akcji *Zabliźnionych serc*. Saša Pană czterdzieści lat później napisze o tym kreatywno-destrukcyjnym związku Blechera z chorobą we wstępie do trzeciej i ostatniej, niedokończonej powieści, *Vizuina luminata*: „Dziesięć lat był sparaliżowanym wrakiem (cierpienia zaczęły się niemal zaraz po maturze), któremu choroba darowała krótkie chwile przerwy, ale jego umysł podróżował przez najgłębiej skrywane tajemnice, świdrował z zacięciem górnika najgłębsze pokłady swych bogatych przemysłań”.

Oddajmy głos raz jeszcze Mihailowi Sebastianowi, który odwiedza Blechera we wrześniu 1936 roku i notuje w swoim *Dzienniku*: „Blecher wegetuje [...]. Skąd u niego ta odwaga, aby jeszcze żyć? Co go podtrzymuje na duchu? Nie jest nawet zrozpaczony. Nie rozumiem tego, przyznaję, że nie rozumiem. Kilka razy, kiedy patrzyłem na niego, chciało mi się płakać. Nocą słyszałem, jak jęczy i krzyczy w swoim pokoju i czułem, że oprócz nas jest w tym domu jeszcze ktoś: śmierć, przeznaczenie – nie wiem. Wyjechałem stamtąd poruszony do głębi”.

Blecher miał kiedyś powiedzieć, że w ciągu roku chory jest w stanie wykrzesać z siebie tyle energii, ile trzeba, by podbić imperium. Cierpienie jest u niego immanentną częścią ludzkiego bytu. Podobnie jak u egzystencjalistów, u rumuńskiego pisarza także cierpienie nie może zostać „zniesione”, nie może zostać „pokonane”, stanowi integralną składową losu człowieka. Tak jest również z bohaterami jego powieści, którzy dodatkowo zdają się znacznie bardziej autentyczni w nieszczęściu niż w szczęściu. Cierpią autentycznie, a momenty szczęścia przeżywają w sposób

groteskowy. Cierpienie jako niekończąca się transcendentna pokusa to motyw, który zbliża Blechera do innego wielkiego Rumuna – Emila Ciorana.

Wybuch choroby jest zarazem początkiem drugiej powieści i kariery pisarskiej Maxa Blechera. Głównym bohaterem *Zabliźnionych serc* jest rumuński student, Emanuel, studiujący chemię na uniwersytecie w Paryżu. Emanuel ma bogatego i bardzo troskliwego ojca. Powieść zaczyna się od wizyty Emanuela u lekarza i precyzyjnego opisu badań, jakim zostaje poddany młody człowiek. Rentgen nie pozostawia złudzeń, zaatakowany jest jeden z kręgów kręgosłupa. Przy dalszych oględzinach lekarz odkrywa duży niebezpieczny ropień, co świadczy o zaawansowanym stanie zapalnym i bezpośrednim zagrożeniu życia. Wyrok może być tylko jeden: natychmiastowa punkcja i wyjazd do sanatorium w celu podleczenia i tak nieuleczalnej choroby.

Zabliźnione serca przypominają *Czarodziejską górę* Tomasza Manna. Podobnie jak Hans Castorp trafia do Davos, tak Emanuel przyjeżdża do Berck. Poznajemy całą plejadę przeróżnych bohaterów: pacjentów, dyrektora sanatorium, lekarza, pielęgniarkę. Jest i ekscentryk, i arystokratka, i syn światowej sławy inżyniera, i piękna Polka. I wątek miłosny, którego głównym bohaterem jest Emanuel. Ważną rolę odgrywają miejsca przy poszczególnych stolikach w sanatoryjnej restauracji. Nie dostajemy tu jednak dogłębnego studium codzienności, jak u Manna. *Zabliźnione serca* to raczej miniatura *Czarodziejskiej góry*, jaką mógłby napisać Kafka bądź Schulz tuż po lekturze Kierkegaarda albo Jaspersa.

Choroba była dla Blechera doświadczeniem ekstremalnym, stała się motorem napędowym jego twórczości, a jednocześnie

wyzaczyła granicę jego literackiej kariery. Przypomnijmy, cała jego kariera pisarska, nie licząc kilku tekstów popełnionych jeszcze w liceum, przypada na okres rozwijania się nieuleczalnej gruźlicy kręgosłupa. Dziesięć lat cierpienia i bólu, przerywanego pisaniem.

Dobrze się stało, że polski czytelnik ma w końcu okazję zapoznać się z twórczością jednego z najbardziej cierpiących pisarzy w historii literatury, Maxa Blechera, dla którego choroba była natchnieniem, i którego cała twórczość, jak to ujął jeden z jego przyjaciół, miała źródło w gipsowym sarkofagu. Śmierć wybawiła go od cierpienia i oszczędziła mu na szczęście widoku postępującej „nosorożycacji” (Ionesco) społeczeństwa rumuńskiego przełomu lat trzydziestych i czterdziestych, najdzikszych zachowań Żelaznej Gwardii i szalejącego również w Rumunii antysemityzmu.

ROLAND CHOJNACKI

MAX
BLECHER

ZABLIŹNIONE
SERCA

*Quel terrible souvenir à affronter!**
(Kierkegaard)

/

* (fr.) Z jakim strasznym wspomnieniem muszę się zmierzyć!

Emanuel wszedł po ciemnych schodach. W powietrzu unosił się zapach środków farmaceutycznych i spalonej gumy. W głębi wąskiego korytarza rozpoznał białe drzwi, do których polecono mu się skierować. Wszedł bez pukania.

Pomieszczenie, w którym się znalazł, wydawało się jeszcze starsze i bardziej zagrzybione niż korytarz. Światło wpadało przez jedno tylko okno i rozlewało bladą błękitną poświatę na bałagan w saloniku, na walające się wszędzie czasopisma zakrywające marmurowy stół i majestatyczne krzesła ubrane w białe pokrowce niczym w wygodną odzież ochronną, jak przed przewodzką.

Emanuel bardziej padł na fotel, niż w nim usiadł. Zauważył ze zdziwieniem cienie przebiegające przez izbę i odkrył nagle, że okno w głębi było tak naprawdę akwarium, w którym pływały wolno czarne, tłuste ryby z wyłupiastymi oczami. Przez kilka sekund siedział tak ze wzrokiem utkwionym w akwarium, śledząc ich leniwe sunięcie, aż zapomniał niemal, po co przyszedł.

No właśnie, po co tu przyszedł? Aha! Przypomniał sobie szybko i zakasłał cicho, aby zaznaczyć swą obecność, ale nikt nie odpowiedział.

Krew tętniła mu ciągle w skroniach, ale bardziej dlatego, że całą drogę od doktora Bertranda biegł, niż z powodu faktycznych emocji. W tym surowym starym pokoju poczuł się trochę spokojniej.

Jedne z drzwi otwały się, jakaś kobieta przebiegła przez salo-
nik i zniknęła w drzwiach na korytarz. Emanuel żałował, że nie
zatrzymał jej i nie poprosił, żeby zawiadomiła o jego przybyciu.

Ryby w dalszym ciągu ślizgały się smutno w przytłumionym
świecie. W sali panowały taka cisza i ciemność, taki spokój, że
Emanuel nie miałby nic przeciwko, by ten stan trwał całą wiecz-
ność. Przyjąłby to z rezygnacją, by pozostać jak najdłużej po
drugiej stronie brutalnej prawdy, którą być może będzie musiał
za kilka minut poznać.

Za jednymi z drzwi ktoś zakasłał krótko, jakby w spóźnionej
odpowiedzi na jego wcześniejsze kaszlnięcie.

W progu stanęła mała ciemna postać, wyglądająca jak wystra-
szone zwierzę wychodzące z nory.

– Przysłała pana doktor Bertrand? Tak, tak, wiem, telefonował
do mnie... Ostre bóle w krzyżu, zgadza się? Prześwietlenie kręgo-
słupa.

Człowieczek potarł nerwowo dłonie, jakby chcąc oczyścić je
z resztek ziemi, która przykleiła mu się do palców, kiedy kopał
norę.

Miał małe, obrzmiałe krecie oczy, połyskujące złotawo w sła-
bym świetle.

– Zaraz zobaczymy, co to takiego... Proszę za mną.

Emanuel ruszył za nim, przeszedł korytarz i zatrzymał się
przed zupełnie ciemnym pokojem. To stąd wydobywał się ciężki
zapach spalonej gumy.

Zapaliła się słaba żarówka i jego oczom ukazała się sala pełna
przrzędów medycznych z niklowanymi rurami i cyrkowymi
drażkami.

Wszędzie pełno było przewodów elektrycznych. Emanuel stanął
zdezorientowany w progu, z obawy, że gdyby wszedł i trącił któryś
z nich, mógłby wywołać potężne zwarcie z trzaskami i iskrami.

– Proszę! Proszę! – powiedział lekarz, prawie ciągnąc go za rękę. – Może się pan rozebrać tam...

I wskazał mu skrzynię ze śrubami, tajemniczą maszynę służącą widocznie również za kanapę. Emanuel po raz pierwszy w życiu wykonywał tak prostą i intymną czynność jak zdjęcie ubrania w tak podniosłym entourage'u.

Lekarz palił papierosa, strzepując beztrzesko popiół na podłogę tego przerażającego gabinetu, gdzie każdy centymetr kwadratowy wydawał się naładowany tajemnicami i elektrycznością.

– Proszę zdjąć tylko koszulę...

Emanuel był gotów. Zaczął się trząść.

– Zimno panu? – zapytał lekarz. – To potrwa tylko chwilę.

Zimne, przejmujące zetknięcie z blaszanym stołem, na którym się położył, przeszło go jeszcze silniejszym dreszczem.

– A teraz uwaga... Kiedy panu powiem, wstrzyma pan oddech. Chcę, żeby wyszło dobre zdjęcie.

Lekarz otworzył i zamknął metalowe pudełko. Żarówka zgasła. Brzęk zwolnił precyzyjną zapadkę. Dźwignia spadła wyraźnie prostym cięciem w ciemności. Prąd zaczął wibrować głucho jak podrażnione zwierzę. Wszystko odbyło się metalicznie i precyzyjnie, jak w tych grach zręcznościowych, w których niklowana kulka wpada z jednej przegrody do drugiej...

– Teraz! – powiedział lekarz.

Emanuel wstrzymał oddech. Serce zaczęło mu bić mocno, niemal wprawiając w rezonans blachę pod jego plecami. Cała ta ciemność aż szumiała mu w uszach.

Znów dał się słyszeć szmer, który wzmógł się i zaraz zgasł gwałtownie niczym rozżarzony węgiel wrzucony do wody.

– Może pan oddychać – odezwał się znów lekarz.

Rozbłysło światło. Emanuel wpadł nagle w stan skrajnej przytomności umysłu. Po co leżał na tym stole? Po co?

Miał całkowitą pewność, że jest bardzo chory. Wszystko wokół jednoznacznie to potwierdzało. Co znaczyły wszystkie te aparaty? Na pewno nie były dla ludzi zdrowych.

I odkąd znalazł się tam, pośród nich, osaczony przez nie...

Lekarz wyciągał płytę z blaszanego stołu.

– Proszę się jeszcze nie ubierać... Zobaczę, czy dobrze wyszło...

Proszę tak leżeć.

Lekarz wziął ubranie Emanuela i położył mu je na klatce piersiowej, okrywając ją czule; tylko matka tak go otulała, kładąc go spać, kiedy był dzieckiem.

Co powie lekarz? Co wykaże zdjęcie? To straszne zdjęcie...

Znów czuł się dobrze, pod ciepłym i miękkim ubraniem. Gdyby blacha, na której leżał, nie przeszywała go swoim nieprzyjemnym chłodem i gdyby mógł oprzeć głowę na czymś innym niż metalowa poręcz, może by nawet zasnął. Trząsał się trochę z zimna, ale czuł się owładnięty przyjemnym i odprężającym zmęczeniem.

W głębi korytarza trzasnęły głośno drzwi. Gdzieś w oddali życie toczyło się więc normalnym trybem... On czuł się z niego wyobcowany, leżąc tak nago na stole radiograficznym, ukryty pod ubraniem.

– Zdjęcie wyszło dobrze – powiedział lekarz, wychodząc z kabiny – ale wydaje mi się, że jeden z kręgów jest bardzo mocno zaatakowany... Brakuje w nim kawałka kości...

Lekarz powiedział to wszystko bardzo szybko francuszczyzną, nie do końca dla Emanuela zrozumiałą, i z przerwami, parząc sobie palce wziętą ze stolika końcówką papierosa, którą zaciągał się chciwie.

Emanuel był zdezorientowany, nie bardzo rozumiał. W jednym z kręgów brakowało mu kawałka kości? Ale jak to się stało, że go nie ma? Zapytał lekarza.

– Kość jest zżarta... zżarta przez mikroby – odparł czarny człowieczek. – Zupełnie spróchniała... jak ząb zżarty przez próchnicę.

– W kręgosłupie?

– Tak, ma pan zaatakowany kręgosłup w kręgosłupie...

„Więc dlaczego jeszcze nie złamałem się wpół, skoro oś, która podtrzymuje całe ciało, jest pęknięta?” – pomyślał Emanuel. Przypomniawszy sobie, że miał się ubrać, i wstał z niebywałą ostrożnością, podpierając się cały czas o aparaty. W piersi zrobiła mu się taka pustka, że aż słyszał jej dudnienie, wyraźne jak szum muszli przyłożonej do ucha. Serce biło w próżni wzmocnionymi uderzeniami. Czyli jego ciało mogło w każdej chwili złamać się jak zgięte drzewo, jak szmaciana lalka...

Pewnego razu w swoim pokoju w pensjonacie zastawił na podłodze pułapkę i w środku nocy złapała się w nią mysz. Emanuel zapalił światło i zobaczył, jak miota się, oszalała ze strachu, w drucianej siatce. O świcie nyszy już tam nie było; udało jej się otworzyć drzwiczki i uciec. Snuła się jednak po pokoju tak oszołomiona, tak przerażona, tak wolno i niepewnie, że można ją było złapać w rękę. Kilkakrotnie znalazła się obok swojej dziury, powąchała ją, ale nie weszła do środka... Była zupełnie ogłupiała ze strachu i wymęczona nocą spędzoną w pułapce.

Emanuel podszedł do skrzyni, gdzie zostawił swoje rzeczy, ostrożnym posuwistym krokiem, który z miejsca skojarzył mu się z myszą czołgającą się po podłodze. On też teraz bardziej czołgał się, niż szedł. Utożsamiał się z tamtą myszą w najdrobniejszych szczegółach. Poruszał się tak samo przerażony, tak samo oszołomiony jak ona.

Lekarz znów wszedł do kabiny. Emanuel wpadł wtedy na pomysł, by popełnić samobójstwo, wieszając się na pasku od spodni na jednym z metalowych drążków. Jednak myśl ta była tak słaba i bezskuteczna, że nie zawierała nawet energii potrzebnej do

podniesienia ręki. Był to z pewnością świetny pomysł, równie wspaniały jak na przykład dla myszy wejście do swojej dziury, ale równie mglisty i oderwany od rzeczywistości.

Zresztą został sam tylko na chwilę. Lekarz podszedł do niego z mokrą jeszcze kliszą, aby mu ją pokazać. Zapalił większą żarówkę i umieścił zdjęcie w jej świetle. Emanuel spojrzął zdziwiony, nieobecny, na cienie wyobrażające jego szkielet; najbardziej tajemna i intymna struktura jego ciała odbita była tam w przyćmionych, ponurych przejrzystościach.

– O, tutaj... Tu jest zdrowy kręgosłup – objaśnił lekarz. – A tutaj, poniżej, ten, w którym brakuje kawałka kości... Widać wyraźnie, że jest nadwątlony.

I faktycznie, na zdjęciu widać było wyszczerbiony kręgosłup.

– To się nazywa choroba Potta... Gruźlica kości kręgosłupa.

Wszystko wydawało się bardzo jasne, skoro to wyszczerbienie miało naukową nazwę.

– Poza tym jest tu jeszcze jedna podejrzana rzecz... – powiedział lekarz i pokazał cię w kształcie lejka. – Obawiam się, że może to być ropień... Muszę pana zbadać w gabinecie.

Przez cały ten czas lekarz mówił nieprzerwanie, nie patrząc wcale na Emanuela. Kiedy podniósł wzrok i zobaczył, jaki blady i zmarznięty jest jego pacjent, rzucił się do kabiny, żeby zostawić tam kliszę, po czym złapał go za ręce i zaczął nim potrząsać.

– Ejże! Co się dzieje? Odwagi... Więcej odwagi! To można leczyć... Pojedź pan do Berck... Tam pana wyleczą... Więcej odwagi... Więcej odwagi!

Pociągnął go za sobą przez korytarz i stary salonik, gdzie w akwarium ryby kontynuowały obojętnie swoją hermetyczną wędrówkę.

Weszli do gabinetu. Tutaj też zasłony były zaciągnięte, tutaj też panowała ciemność, tutaj też paliła się jedna tylko żarówka pośrodku zastygłego strumienia książek i lekarstw. Człowieczek

poruszał się zwinnie między nimi, wynajdując je niemal w biegu i rozpoznając swym zwierzęcym węchem.

– Zobaczmy najpierw plecy – powiedział lekarz.

Emanuel położył się twarzą do dołu na kanapie przykrytej białym prześcieradłem.

Lekarz zaczął powoli i ostrożnie dotykać kręgosłupa, z góry na dół, naciskał każdy kręg jak stroiciel klawisze fortepianu.

W pewnym miejscu, w którym nacisnął mocniej, zabrzmiał przenikliwy ból.

– To właśnie wykazało zdjęcie... To jest ten chory kręg.

I lekarz nacisnął jeszcze raz, i raz jeszcze zabrzmiała w kręgosłupie ta sama wyraźna nuta bólu.

– Jeśli nie jestem niedyskretny... W jakim celu przyjechał pan do Francji? – zapytał lekarz, badając go cały czas. – Poznałem po akcencie, że jest pan cudzoziemcem.

– Tak, zgadza się – odpowiedział Emanuel. – Przyjechałem tu na studia.

– A co pan studiuje? – zapytał znów lekarz.

– Chemię – powiedział Emanuel.

– Aha! Chemię! Lubi pan chemię, interesuje to pana?

„Teraz interesuje mnie tylko to, by przeżyć” – chciał powiedzieć Emanuel, ale się powstrzymał.

– Jak pan myśli, rodzice będą mogli utrzymać pana tutaj nad morzem? – ciągnął lekarz. – Powinien pan dużo odpoczywać, dobrze się odżywiać... a nade wszystko potrzebuje pan dużo spokoju... Na przykład w Berck, nad brzegiem oceanu, w którymś z tamtejszych sanatoriów.

– Napiszę do ojca, do Rumunii – odparł Emanuel. – Myślę, że mi pomoże.

Dziwne – wypowiedziane przez lekarza słowo „sanatorium” wywołało w Emanuelu słodkie i pełne słońca wspomnienie,

niczym powiew orzeźwiającej bryzy w dusznej atmosferze gabinetu lekarskiego. W zeszłym roku w Techirghiol, gdzie spędził miesiąc na leczeniu swego domniemanego reumatyzmu (tak wszyscy lekarze zdiagnozowali jego bóle w krzyżu), przesła-
dowała go ciągle myśl, że wkrótce znajdzie się w sanatorium. Dokładnie pamiętał ten słoneczny poranek na plaży, w cieniu parasola, pod którym jego przyjaciele leżeli na brzuchu wprost na piasku i grali w karty, gdy przeszło mu nagle i absurdalnie przez myśl, że powinien się z nimi pożegnać, mówiąc, że jedzie do sanatorium.

Teraz, w ciemnym gabinecie, w nikłym świetle żarówki, wspomnienie to było jedyną pogodną i świeżą rzeczą pośród tych zakurzonych papierów.

– A teraz zobaczmy brzuch...

Emanuel przewrócił się na plecy. Lekarz położył dłoń na całej powierzchni skóry, przesunął ją lekko i znieruchomiał nagle, spoglądając Emanuelowi prosto w oczy.

– Od dawna pan to ma?

I wskazał na dużą okrągłą wypukłość na brzuchu, blisko biodra, gładką i wyraźnie zarysowaną jak wyrosła pod skórą łuska („ogromna” – pomyślał Emanuel, zdjęty nagłym przerażeniem). Na próżno usiłował sobie ją przypomnieć. Nigdy jej nie widział. Widocznie pojawiła się całkiem niedawno, parę godzin temu.

– W każdym razie dobrze, że w porę to odkryliśmy – powiedział lekarz. – Gdyby pękło, to dopiero by narobiło... To zimny ropień, ropa pochodząca od chorej kości. Trzeba zrobić punkcję. Trzeba ściągnąć ropę strzykawką.

Tyle strasznych rzeczy wydarzyło się w ciągu ostatniej godziny tak poważnie i spokojnie, tyle wstrząsów miało miejsce, że Emanuelowi, zmęczonemu sensacjami tego dnia, w jednej sekundzie odurzającej nieświadomości zachciało się śmiać.

Wizyta u doktora Bertranda, prześwietlenie, zaatakowany krąg, a teraz ten ropień – wszystko wydawało się z góry ukartowane. Czekały tylko, aż ni z tego, ni z owego lekarz otworzy drzwi i poprosi go do sąsiedniego pokoju: „Bardzo proszę! Gilotyna już czeka!”.

Ale lekarz milczał, nie odrywając wzroku od wrzodu.

– I co teraz? – zapytał cicho Emanuel, głosem jakby nie z tego świata.

– No cóż, punkcja! – odparł lekarz. – Najpierw punkcja! Sugerowałbym panu, żeby wykonał ją doktor Bertrand, ten, co przysłał pana do mnie na prześwietlenie. Zaraz do niego zadzwonię, jeśli pan chce. Ma bardzo pewną rękę. Zresztą to nie jest żadna poważna operacja. Zwykle ukłucie igłą i po wszystkim. Zadzwonię do niego, by przyszedł do pana z całym potrzebnym sprzętem. Jaki jest pana adres?

Podczas gdy lekarz zapisywał adres w notesie, Emanuel, który słuchał jego wywodu z zapartym tchem, wziął lekki oddech, aby rozładować napięcie.

– A później, za kilka dni, pojedzie pan do Berck, nad morze.

– Do Berck? – zapytał Emanuel. – Gdzie to jest?

Lekarz zdjął z półki ogromnego Larousse’a i otworzył go na mapie Francji.

– O tutaj. Proszę spojrzeć... Tu jest kanał La Manche, a tu, poniżej Boulogne, Berck. Nie ma go na mapie. To mała plaża zagubiona wśród wydm, nadmorskie miasteczko, do którego przyjeżdżają z całego świata chorzy tacy jak pan, żeby się wyleczyć. Muszą leżeć w gipsie, ale prowadzą całkiem normalne życie. Nawet jeżdżą na przejażdżki, leżąc w specjalnych powozach ciągniętych przez konie lub osiołki.

Lekarz wyrzucał z siebie te objaśnienia uczonym, mrukliwym tonem, wpatrując się stale w mapę, jak gdyby czytał to wszystko ze słownika.

– A jeśli wrzód pęknie, zanim zdążę dojść do domu? – zapytał Emanuel.

Chciał jeszcze zapytać o całą masę innych rzeczy: czy w drodze do pensjonatu nie złamie mu się kręgosłup, czy nie przewróci się na ulicy, czy głowa nie spadnie mu z karku i nie potoczy się po chodniku jak kula do kręgli. Od kilku minut czuł, że jego ciało jest nader słabo posklejane. W hutach szkła robotnicy bawią się, wrzucając do wody kawałki stopionego tworzywa, które twardnieją i stają się bardziej wytrzymałe niż zwykłe szkło, tak że można w nie walić młotem, ale jeśli odprysnie choć jeden drobny kawałek, cała masa rozpada się w pył. Czy jeden pokruszony kręg nie starczyłby więc, aby obrócić w proch całe ciało? Chora kość mogłaby odpaść nagle Emanuelowi na ulicy, a wtedy runąłby na ziemię i zostałaby po nim tylko kupka dymiącego popiołu.

Lekarz uspokoił go naukowymi i medycznymi argumentami. Co do honorarium, to nie chciał nic przyjąć.

– Od studentów nie biorę pieniędzy... – W jego małych oczkach paliły się żywe iskry. Emanuela ogarnęła tak roztkliwiająca czułość, że aż łzy napłynęły mu do oczu. Zaczął dziękować doktorowi z przesadną wylewnością. Uczepił się tej wdzięczności z frenezją wyzwolenia. Miał ochotę rzucić się lekarzowi do stóp i bić przed nim czołem.

– Dziękuję, panie doktorze!

Hosanna! Hosanna! Ubrał się śpiesznie i wyszedł przez ten sam stary salonik.

– Odwagi! – rzucił jeszcze lekarz ze schodów, mlasnąwszy lekko językiem, jak treser zachęcający zwierzę do skoku przez obręcz.

„Odwagi! Odwagi!” – rozbrzmiewało we wnętrzu Emanuela echo, odbijając się od ścian klatki piersiowej.

W ten sposób znalazł się nagle na środku ulicy, w pełnym świetle dnia. Było to jak gwałtowne i ogromne rozciągnięcie się

świata. A więc ciągle istniały domy, prawdziwy asfalt i dalekie niebo, zamglone i białe. Opuszczał świat zewnętrzny w takim właśnie świetle i zastawał go teraz takim samym, może tylko bardziej rozległym i pustym oraz zawierającym więcej czystego powietrza i mniej rzeczy niż ciemne izby mieszkania lekarza. Wszystko jednak wydawało się o wiele bardziej smutne i obojętne... Teraz wkraczał w ten świat chory Emanuel, z nadjedzonym kręgiem, nieszczęśnik, na którego drodze domy odsuwały się na bok ze strachu. Szedł miękkim chodnikiem, tak jakby płynął po asfalcie. W tym czasie, gdy siedział zamknięty w gabinecie lekarza, świat dziwnie się rozrzedził. Kontury przedmiotów istniały jeszcze, ale ta cienka nitka, co – jak na rysunku – otacza dom, czyniąc z niego dom, lub wyznacza obrys człowieka, ten kształt, zamykający rzeczy i ludzi, drzewa i psy, ledwie utrzymywał w swoich granicach gotową się rozpaść materię. Wystarczyłoby, aby ktoś oderwał ową nitkę z krawędzi przedmiotów, a te wspaniałe domy, pozbawione swoich form, upłynęłyby się nagle w jednolicie mętnej i szarej materii.

On sam był już tylko cielesno-kostną masą podtrzymywaną przez sztywność obrysu.

Zaskoczyła go myśl, że nic jeszcze tego dnia nie jadł. Skąd ta myśl w takiej chwili? Emanuel stwierdził z goryczą, że w tym rozmytym i niespoistym świecie miał ciągle do wykonania bardzo konkretne czynności.

Poszedł w stronę restauracji. Stołował się w małej jadalni studenckiej w starej części miasta. Przychodzili tam również urzędnicy i robotnicy; jadało się szybko i niezbyt smacznie, był zawsze tłok i klienci czekali na stojąco na wolne miejsce, które zajmowali jeszcze ciepłe.

Po raz pierwszy przychodził tu tak późno, kiedy wszyscy już sobie poszli. Na sali było pusto, cicho i ciemno od dymu. W kącie

jadły kelnerki. Kasjerka jadła przy kasie, za drewnianą ladą, jakby była skazana na wypełnianie tam wszystkich życiowych funkcji, usadowiona na krześle i uwięziona w sztywnej klatce. W restauracji panowała przytłaczająca cisza, jak po jakimś kataklizmie. Krzesła leżały porozrzucane i Emanuel znalazł tylko jeden stolik przykryty białym obrusem. Wszystkie pozostałe były już sprzątnięte.

Usiadł powolutku, uważając, aby nie przebić wrzodu.

Otoczające go ściany, pokryte wielkimi lustrami w brązowych ramach, odbijały z pomieszczenia w pomieszczenie tę samą pustą salę z coraz to bardziej matowym, zielonkawym powietrzem, tak że w ostatnich, najdalszych lustrach sala stawała się już wodnista jak akwarium w saloniku lekarza.

W oddali, w zatęchłych i ciemnych wodach, pływała nabrzmiąta karpia twarz kasjerki, samotna i blada, z okrągłym, zimnym okiem o leniwym spojrzeniu.

Była ona zresztą jedynym zwierzęciem w tych oceanicznych głębinach, a Emanuel – jedynym topielcem.

W progu pensjonatu czekała na niego niecierpliwie portierka. Dojrzała go z daleka i pomachała mu ręką.

– Dzwonił doktor Bertrand. Przyjdzie o czwartej ze wszystkim, co potrzebne. Aha, powiedział jeszcze, że chce pana zastać w łóżku.

– Rozumiem – odpowiedział Emanuel i spróbował wejść do środka, jednak portierka trawiona ciekawością i zniecierpliwiona oczekiwaniem zatrzymała go w progu.

– Co ci jest? Czemu jesteś taki blady? To coś poważnego?

Złapała go za ubranie i zaczęła nim potrząsać, jakby był workiem, z którego chciała wysypać całą zawartość.

– Spokojnie! Spokojnie! – uciszył ją Emanuel. – Chodźmy do pokoju, to wszystko pani powiem.

Miał mały, niezbyt wygodny pokój, tuż obok mieszkania portierki, na parterze. Wziął go, żeby uniknąć wchodzenia po schodach, z powodu bólów w plecach.

Zaczął się rozbierać. Ile to już razy rozbierał się tego dnia? Przypomniała mu się historia o pewnym Angliku, który popełnił samobójstwo, pozostawiwszy list takiej treści: „Zbyt dużo guzików do zapinania i rozpinania przez całe życie”. Teraz, po raz trzeci już, położył się na łóżku. Portierka zasypywała go pytaniami. Później przyszła też Colette.

Colette mieszkała w tym samym pensjonacie. Była to dziewczyna prosta i gładka jak kartka papieru. Trudniła się haftowaniem

i drobnymi pracami krawieckimi przynoszonymi do domu. Emanuel uprawiał z nią higieniczną, pozbawioną wielkich uniesień miłość. Po stosunku Colette podawała gorącą herbatę waniliową. Herbata i wanilia zawierały w sobie cały zapach i cały smak ich domowej, spokojnej miłości.

Portierka zaczęła sprzątać pokój, a Colette układać książki na stole, aby doktor Bertrand zastał wszędzie porządek, podczas gdy Emanuel pisał telegram do ojca w Rumunii.

Colette nie bardzo wiedziała, jak przyzwoicie i konwencjonalnie okazać przepętniający ją smutek. Chciało jej się po prostu płakać, ale powstrzymywała się, wiedząc, że wprowadziłoby to Emanuela w jeszcze gorszy nastrój. Wyszła śpiesznie, by zanieść telegram na pocztę, szczęśliwa, że choć na chwilę może opuścić pokój, w którym czuła, jak łyżę dławią jej gardło. Portierka wyszła razem z nią.

Emanuel został sam. Leżał w łóżku, popołudniową porą, kiedy to przebywał zwykle na uniwersytecie.

Ogarnęło go nagle wyraźne i przyjemne uczucie rozleniwienia, niczym odległe echo dzieciństwa, kiedy leżał chory w łóżku, zamiast iść do szkoły.

Dotknął lekko obrzmienia koło biodra i wzdrygnął się. Jakby wciąż rośło.

Przerażony znieruchomiał na poduszkach, z twarzą do góry, prawie nie oddychając.

Tak zastał go doktor Bertrand.

– Więc to tak, chcesz nas wystraszyć? Co się stało? Przez telefon naopowiadano mi okropnych rzeczy – powiedział lekarz, wchodząc.

Mówił z poważną poczciwością właściwą wszystkim lekarzom rodzinnym mającym już swoje lata; przyjmowali oni w rozmowie zawsze ten sam ton, jakby stanowił on naturalną konsekwencję

ich drogi zawodowej. Był wysoki, barczysty i miał krótko obcięte włosy, stojące jak szczotka.

Zbadał ropień z obojętnym wyrazem twarzy, z której Emanuelowi nie udało się odgadnąć żadnych myśli.

Rozległo się pukanie do drzwi. Był to pomocnik lekarza, obładowany różnymi niklowanymi pojemnikami i paczkami zawierającymi przyrządy.

– Faktycznie... Jest tak, jak mi powiedziano przez telefon. Trzeba ściągnąć ropień jak najszybciej – powiedział spokojnie lekarz. – Zaczynajmy!

Zdjął marynarkę i podwinął rękawy koszuli, po czym poprosił o wodę do mycia.

Przybiegła portierka. Zwijała się jak w ukropie, zaaferowana i szczęśliwa, że też ma swój udział, choćby najmniejszy, w asystowaniu tak znakomitej osobistości jak doktor Bertrand.

Pomocnik lekarza układał na stole niklowane pojemniki. Kiedy wszystko było przygotowane, przyciągnął łóżko pod okno, do światła.

Emanuel zdjął koszulę i znów zaczął szczękać zębami, jak w gabinecie do prześwietleń. Na próżno próbował przewidzieć ruchy asystenta, wypatrzeć jakieś narzędzie tortur, ocenić rozmiary igły.

Lekarz i asystent rozkładali na stole różne przedmioty, lecz do Emanuela docierał jedynie ich metaliczny brzęk.

Na zewnątrz, po drugiej stronie zasłony, szedł śpiesznie ulicą jakiś człowiek. Emanuel wsłuchiwał się w jego wyraźne kroki na asfalcie. Co obchodziło takiego? Szedł beztrząsco ulicą, podczas gdy on, Emanuel, leżał w łóżku, w oczekiwaniu na straszną punkcję... Teraz na dobre dygotał ze strachu.

Lekarz odwrócił się w stronę łóżka z wacikiem nasączonym jodem. Na rękach miał duże czerwone rękawice z gumy, niczym kierowca ciężarówki.

Przetarł wacikiem obrzmienie i jego okolice na brzuchu, skóra z miejsca zabarwiła się na żółto. Po pokoju rozszedł się antyseptyczny zapach jodoformu i apteki. Nadawało to pomieszczeniu nowy wymiar, medyczny i bardzo surowy. Działo się w nim coś poważnego i nieuniknionego. Emanuel był już zupełnie zdezorientowany. Widział wokół siebie szafę, książki i stół, swoje stare, dobrze znane rzeczy, ale teraz wyodrębniały się one niepewnie w zmaconej wyrazistości, jak chaotyczne słowa wykrzykiwane przez nieznaną głós pośród zgietku czynionego przez tłum ludzi zebranych w jakiejś sali.

– Znieczulenie! – powiedział krótko lekarz.

Emanuel zdążył jeszcze tylko zobaczyć, jak do łóżka podchodzi asystent z wielką szklaną rurą. Lekarz przykrył Emanuelowi twarz koszulą i poprosił portierkę, żeby mu trzymała ręce. Probówka zaświszczała nagle i poczuł w pewnym miejscu na skórze, nad wybruszeniem, tryśnięcie płynu, wywołującego lodowy chłód i ściągającego mięśnie.

Metalowe pudełko otwarło się i zamknęło.

– Igła – powiedział lekarz, a asystent znów podszedł do łóżka. „Igła... Teraz będzie wbijał igłę...” – pomyślał Emanuel. Chwile tętniły mu przeraźliwie w skroniach.

Teraz?

Poczuł ciężkie pchnięcie, niczym cios zadany ze wszystkich sił... Słumiony i tępy ból ciążył mu straszliwie w biodrze. Szpon, który wbił się w zdrętwiałe po znieczuleniu ciało, ból daleki i jednocześnie strasznie obecny.

Otworzył na chwilę oczy i zobaczył przez koszulę, jak asystent pompuje coś do butelki; nic więcej nie widział. Co tam się działo, w jego ciele? Co robił lekarz?

Głębsze ukłucie igły wyrwało z niego jęk. Długo jeszcze? Wydawało się, że trwa to już całą wieczność, a asystent ciągle pompował...

W końcu nastąpiła przerwa... Emanuel poczuł, jak igła nagle się z niego wysuwa, i odetchnął z ulgą. W mięśniach, obok wybrzuszenia, utrzymywało się jeszcze straszne napięcie, ale już jako mniejszy ból, który ustabilizował się na pewnym poziomie.

Portierka zdjęła mu z oczu koszulę.

Lekarz przecierał teraz eterem krwawiący lekko punkt. Stojąca na stole butelka pełna była gęstego żółtawego płynu.

– Co to jest? – zapytał Emanuel, wyczerpany napięciem i emocjami.

– Ropa, przyjacielu! Ropa! – odparł lekarz tym samym pocziwym głosem. – Musisz pojechać do Berck i zostać tam tak długo, aż się wyleczysz. To kwestia czasu i cierpliwości. Miałeś wrzód pełen ropy. Nie powinien utworzyć się znów zbyt szybko... Leż spokojnie. Słyszysz? Leż grzecznie na plecach... Kiedy wyjeżdżasz?

– Za kilka dni – powiedział wyczerpany Emanuel. – Telegrafowałem do ojca i oczekuję go pod koniec tygodnia. Na pewno przyjedzie pierwszym pociągiem.

Miał jeszcze tyle pytań, ale zderzył się z niewrażliwą twarzą lekarza i poczuł rozdrażnienie na myśl, że w tej obojętności kryje się pełna wiedza na temat jego choroby. Lekarz uściśnił mu mocno dłoń i wyszedł.

Popołudnie podjęło w pokoju swój bezsensowny i smutny bieg. Butelka z ropą stała na stole w całej okazałości. Kilka miedzianych promieni słońca igrało w łagodnym świetle na murze stojącego naprzeciwko domu.

Emanuel poczuł w piersi wielką niemoc – można by powiedzieć, że oddychał czymś z pustej i przygnębiającej treści tego melancholijnego popołudnia.

Próbował czytać, ale nic do niego nie docierało; książki były napisane dla innego światła; żadna książka na świecie nie jest w stanie wypełnić ogromnej pustki ciepłego i intymnego dnia

naznaczonego nudą i cierpieniem. Taki jest nieuchronny smutek czasu choroby.

Naprzeciwno, na szarym murze, promienie zachodzącego słońca wspięły się aż pod sam dach i okna mansardy zapaliły się purpurowymi płomieniami. Nieruchomy opuszczony dom rozdzierał mu serce.

Bardzo powoli podniósł kołdrę, aby obejrzeć obrzęk. Nie czuł żadnego bólu, a obrzęk zniknął. Spojrzał na swoje nagie nogi, brzuch, uda, całe ciało...

Colette zaskoczyła go, gdy liczył sobie zębra.

Dni mijały puste i bezbarwne, straszliwie długie i smutne. W wolnym czasie Colette siedziała przy nim i wyszywała. Przyszło go też odwiedzić paru kolegów, wracali ze znajdującej się w pobliżu uczelni. Byli przesiąknięci kwaśnym zapachem laboratorium, co wprawiło go tylko w większe przygnębienie. Wtedy jeszcze wyraźniej czuł, że jest chory, że jest na wakacjach...

Leżał bez ruchu całymi godzinami, z głową ułożoną nieco wyżej, na poduszkach.

– Przyuczam się do zawodu pacjenta – mówił do Colette.

Każdego dnia, koło czwartej, nasłuchiwał kroków portierki roznoszącej pocztę. Zawsze jednak następowało to samo rozczarowanie. Żadnego telegramu, żadnego listu? Nic. Dzień znów popadał w monotonię.

Jednego wieczoru, po kolacji, Emanuel, leżąc w łóżku pod oknem i przerzucając gazetę, odniósł wrażenie, że ktoś stoi na ulicy i bacznie mu się przygląda. Portierka zapomniała zamknąć okiennice. Odsunął lekko zasłonę. Na ulicy stał i patrzył na niego ojciec.

Emanuel był bardzo wzruszony. Wchodzący do pokoju ojciec lepiej ukrył poruszenie, kaszłąc cicho, aby nie drżał mu głos.

Kochał Emanuela z intensywnością, która tego czasem aż prze-
rażała. Emanuel czuł na sobie moralną odpowiedzialność za
ojcowską miłość i choćby tylko z tego powodu było mu szczerze
przykro, że zachorował. W ostatnich dniach ze zgrozą i przera-
żeniem myślał o tym, co by było, gdyby umarł. „Ojciec na pewno
oszalałby z rozpaczy” – powiedział do siebie i wyobraził sobie
spokojne i surowe szaleństwo tego człowieka, który wszystko
w życiu robił z zimną krwią. „Taki człowiek jak on może po-
paść tylko w wyjątkowo dobrze zorganizowany obłąd” – pomyślał
jeszcze Emanuel z ogromną goryczą. To też było swego rodzaju
rozczulanie się nad sobą.

Po chwili atmosfera w pokoju zmieniła się. Ojciec Emanuela
wziął sprawę jego choroby w swoje ręce jak skomplikowany in-
teres, który trzeba załatwić bez żadnych strat. Postanowił, że naj-
pierw sam wybierze się do Berck, aby rozmówić się z tamtejszymi
lekarzami i poszukać odpowiedniego sanatorium. Pojechał już
następnego dnia i wrócił późno w nocy. Był zachwycony.

-- Tam się wyleczysz. Chorzy prowadzą tam zupełnie normalne
życie, w sanatoriach wyglądających jak zwykłe hotele. Nawet nie
czujesz, że jesteś chory. Zresztą sam zobaczysz...

Następnego dnia spakowali go i w południe był już gotów do
wyjazdu.

W ostatniej chwili portierka przyniosła małe zawiniątko i pod-
sunęła je dyskretnie Emanuelowi.

– To od panny Colette... – szepnęła.

Kierowany chyba najbardziej ciekawością, Emanuel otworzył
je od razu. Znajdowała się w nim paczka herbaty i kilka kostek
bulionu.

Herbata była z pewnością aluzją do ich miłości.

Co do kostek zaś, to Colette przez cały ranek głowiła się nad ta-
nim i praktycznym prezentem, aż przypomniała sobie, że podczas

wojny matka wysyłała ojcu na front bulion w kostkach, żeby mógł sobie zrobić rosół w okopach.

„Tam, dokąd jedzie Emanuel, musi być jeszcze gorzej niż w okopach...” – rozumowała prostodusznie. „Talerz ciepłego rosołu dobrze mu zrobi...”

I gdy tak rozmyślała, łzy cisnęły jej się do oczu.

Dzień przechodził w ciepły i grobowy październikowy zmierzch. Przed oknami wagonu przesuwały się miedzianoczerwone pola, zgniłe od pochłanianego przez całe lato słońca. Emanuel z ojcem jechali sami w przedziale, ogarnięci jednym uczuciem niemej bliskości. Towarzyszył im rytm wybijany przez stare żelastwo pociągu, brzmiący jak szybkie uderzenia postarzałego, mechanicznego serca, ukrytego pod wagonem.

Na małym dworcu, na którym pociąg stał tylko przez minutę, przesiedli się do kolejki z wąskimi wagonami, ze starą i garbatą jak wielbłąd lokomotywą. W wagonie były tylko dwie ławki, wzdłuż ścian, z jednej i z drugiej strony, jak w tramwaju.

Po chwili pociąg ruszył niepewnie, chybocząc się na torach. Wszystkie szyby zaczęły głośno pobrzękiwać, jakby bały się podróży. Emanuel obejrzał się raz jeszcze na mały biały dworzec z różowymi glicyniami w oknach. Później ktoś zaciągnął zasłonkę i krajobraz pozostał na zewnątrz jak ucięty nożyczkami.

W wagonie cisnęło się mnóstwo ludzi z pakunkami i koszami; tłum napierał na ławki... dzieci popłakiwały z cicha... Ale gdy tylko pociąg ruszył szybciej, w całym wagonie zaczęła się ożywiona rozmowa i nastał szum wzajemnego zrozumienia i życzliwości.

Wszyscy jechali do Berck. Rolnik w niedzielnym ubraniu, z bukiem polnych kwiatów w ręce, opisywał szerokimi gestami chorobę syna szczupłej eleganckiej pani w szarym *tailleur**.

* (fr.) kostium.

Na samym przedzie siedziało na ławce dwoje młodych rodziców odwożących dziecko do sanatorium. Był to chudy i blade chłopczyk w marynarskim ubranku, z nogą owiniętą w bandaż. Ręce, cienkie i zmęczone, zwisały mu jak szmacianej lalce. Matka trzymała go na rękach, podczas gdy on, wodząc zdezorientowanym wzrokiem po wagonie, przyglądał się badawczo wszystkim tym nieznanym ludziom.

Emanuel został nagle zagadnięty przez sąsiadkę, staruszkę w żałobie.

– Jedziesz do Berck? – zapytała. – Jesteś chory?

Mówiła podniesionym głosem, usiłując przekrzyczeć podwójny zgiełk pociągu i powszechnej rozmowy.

– Gdzie cię boli? Tu? Czy tu?

Pokazała najpierw na biodro, a później na plecy.

– Tak, tutaj, w krzyżu – odpowiedział Emanuel.

Staruszka zrobiła usta w ciup i pokiwała współczująco głową.

– A masz ropień? – ciągnęła.

Emanuel nie przesłyszał się, zapytała o ropień. Ale skąd ta kobieta wiedziała, co to takiego ropień? Przybrał tak zdziwiony wyraz twarzy, że staruszka pośpieszyła z wyjaśnieniem.

– No bo, widzisz, ja trochę się znam na medycynie. Tyle już czasu jeżdżę do Berck, że zdążyłam się tego wszystkiego nauczyć. Mam tam chorego syna.

Emanuel nic nie odpowiedział, poczuł jednak po chwili, że ktoś szarpie go za rękaw.

– Pytałam cię o coś – podjęła na nowo staruszka. – Masz ropień czy nie?

– Tak, mam – odpowiedział trochę opryskliwie Emanuel. – I co z tego?

Tym razem staruszka nic nie powiedziała. W kaligrafii zmarszczek na jej twarzy pojawił się wyraźny znak wielkiego zasmucenia.

Półgębkiem ośmieliła się jeszcze zapytać, czy ropień jest sfistulizowany.

– Co to znaczy „sfistulizowany”? – zapytał zaskoczony Emanuel.

– To znaczy, czy pękł... Czy ma dziurkę, przez którą wycieka płyn...

– Nie – odpowiedział Emanuel. – Na razie lekarz ściągnął ropę strzykawką i widzę, że opuchlizna zesza.

Pociąg potrzasał ciągle swoim starym żelastwem, a jego hałas nakładał się cicho na rozmowę jak tło chóralnego murmurando na śpiew solistów w operze. Przejeżdżali teraz przez wydmy pod miastem. Do Berck zostało już tylko kilka minut. Cała podróż nie trwała nawet kwadransa.

– To dobrze, że ropień nie jest sfistulizowany – mruknęła starszka.

– A gdyby był? – spytał nieobecny głosem Emanuel.

– To zmienia postać rzeczy...

I nachyliwszy się w jego stronę, wyszeptała mu do ucha jednym tchem:

– W Berck powiadają, że otwarty ropień to brama otwarta śmierci...

– Co ona powiedziała? – zapytał ojciec.

– Myślisz, że coś zrozumiałem? Mówi tak szybko...

Kolejka zaskrzypiała zmęczona, ściągając hamulce. Byli na miejscu. Dworzec nie różnił się niczym od innych dworców na prowincji. Wysoki pan o kulach czekał na panią w szarym *tailleur*. Oprócz niego na peronie nie było nikogo. Największe zaskoczenie czekało jednak na Emanuela dopiero przy wyjściu.

Podczas gdy kierowca ładował walizki do samochodu, on zatrzymał się na kilka sekund na placyku przed dworcem i rozglądał się dokoła. Nagle osłupiał.

A to co takiego? Przenośna trumna czy nosze? Jakiś człowiek leżał na wąskim drewnianym łóżku, czymś w rodzaju ramy

z materacem, osadzonej na szkielecie z czterema gumowymi kołami. Był jednak normalnie ubrany od stóp do głów. Miał krawat, beret na głowie i marynarkę, a jednak nie ruszał się, nie wstawał, by chodzić jak inni. Leżąc tak, kupił od handlarza gazetę, zapłacił, otworzył ją i zaczął czytać z głową wspartą o poduszki, podczas gdy jakiś człowiek stojący z tyłu zaczął pchać wózek po ulicach miasta.

– Patrz! – powiedział ojciec. – Tutaj wszyscy chorzy prowadzą normalne życie. Są kompletnie ubrani, jeżdżą po mieście... Tyle że w pozycji leżącej... To wszystko... Zobaczysz jeszcze innych, jak sami kierują powozem...

Emanuel był zbyt oszołomiony, aby móc skupić myśli. W samochodzie wyglądał ciągle przez okno, chcąc dojrzeć jakiegoś chorego w powozie, ale żadnego nie zobaczył. Na zakręcie między dwoma rzędami wysokich domów pojawiła się przez chwilę, w głębi, lazuruwa, błyszcząca linia oceanu, spoczywająca na piasku jak płonąca szpada.

W progu sanatorium czekał na nich dyrektor. Wejście było ozdobione dwiema wielkimi egzotycznymi roślinami. Fajansowe wazonny oraz czarny, galowy strój dyrektora i jego białe getry nadawały temu powitaniu bardzo teatralny charakter. Dyrektor pochylił się i uścisnął najpierw dłoń ojca, a później dłoń Emanuela. Miał mocno upudrowane policzki i właśnie wyrzucił niedopałek cygara, które jeszcze przed chwilą palił. Kiedy tak trzymał cygare w kąciku ust, na twarzy odciskały mu się długie psie zmarszczki, tak że przypominał do złudzenia ubranego w czerwony frak porcelanowego mopsa na popielniczce. „Jaka szkoda, że nie ma fraka” – pomyślał Emanuel.

W sanatorium panowała przytłaczająca cisza, jednak korytarze wyglądały jak zwykłe hotelowe korytarze: białe drzwi z kolejnymi numerami. Pokój Emanuela znajdował się na trzecim piętrze.

Wjechali na nie wolno windą wydającą ciche, stłumione odgłosy. Dyrektor otworzył drzwi w głębi ciemnego korytarza. Widać było wyraźnie, że to tani pokój. Całe umeblowanie składało się z szafy, stołu i żelaznego łóżka. W kącie stała toaletka z ogromnym niebieskim dzbanem z emaliowanej blachy.

– I jak ci się tu podoba? – zapytał ojciec, kiedy dyrektor wyszedł.

A co miało mu się tu podobać? Położył się zmęczony na łóżku i zamknął oczy. W głowie dźwięczała mu ciągle jazda pociągami i pobrzmiwały strzępy rozmowy ze staruszką w żałobie. Dni spędzone w łóżku strasznie go osłabiły. Ojciec zapalił światło. W pokoju zapanowała nieprzyjemna i dziwna atmosfera nędznego hotelu, w którym spędza się jedną noc przejazdem.

Nagle ktoś zapukał do drzwi.

– Eva! – przedstawiła się oschle pielęgniarka, wchodząc do pokoju. Miała tak długi i spiczasty nos, że nawet gdyby obracała głowę na różne strony, to i tak wyglądałaby ciągle jak z profilu.

Wywiedziała się krótko o chorobę Emanuela.

– Tutaj się pan wyleczy – mruknęła znudzonym fachowym tonem.

– Dużo jest tutaj chorych na to, co ja? – zapytał. – Wszyscy mają zaatakowany kręgosłup?

Eva wzniosła ręce ku górze niczym antyczna suplikantka.

– Kręgosłup? Jeden kręgosłup? Ech! Są tacy, co mają zaatakowanych dziesięć kręgosłupów z rzędu... Inni kolano... Udo... Palce u rąk... Kostkę... Myślałeś, że jesteś sam? Ha, ha!

Zaśmiała się krótko i sucho.

Emanuel przejął się zwłaszcza tym kręgosłupem z zaatakowanymi dziesięcioma kręgosłupami z rzędu i od razu wyobraził sobie zapomnianego w popielniczce papierosa, z wolna na całej swej długości zamieniającego się w popiół. „Przeklęte próchno” – pomyślał.

– A doktor Cériez? – zapytał ojciec Emanuela. – Kiedy będzie w klinice? Rozmawiałem z nim, kiedy byłem tu wcześniej...

– O, to bardzo dobrze! Bardzo dobrze! – przerwała mu Eva. – Tak się składa, że doktor Cériez jest właśnie w sanatorium. Przyszedł do pacjenta po operacji. Pójdę go zawołać.

Emanuel leżał na łóżku, spokojny i wyczerpany. Wokół niego miotał się ojciec, drzwi otwierały się i zamykały, działo się wiele rzeczy, ale on nie brał już w nich udziału. Można by powiedzieć, że świat stał się nagle gęstszy i bardziej nieostry... Jedyną rzeczą, która utrzymywała się w nim wyraźnie, było ogromne wycieńczenie. Gdzieś daleko, w jednym z pokoi, lamentował astmatycznie i rzewnie akordeon.

Pielęgniarka wróciła po kilku minutach w towarzystwie doktora Cérieza.

Był to młody jeszcze mężczyzna, bardzo wysoki i pleczysty, ale już lekko szpakowaty. Miał wspaniałą lwią czuprynę, zaczesaną starannie do tyłu, i nalaną, kamienną twarz. Tylko pogodne niebieskie spojrzenie zawierało w sobie kontrastujący z wyrazem twarzy odcień bezgranicznej dobroci i wprowadzało do rysów doktora mieszaną dziecięcość i surowość.

Zbadał dokładnie Emanuela, obejrzał zdjęcia, pomacał ropień i również stwierdził gruźlicę kręgu.

– Tutaj, w Berck, powietrze jest rześkie i ożywcze. Staraj się jak najczęściej wyjeżdżać powozem i dużo odpoczywaj...

Po czym zwrócił się do pielęgniarki:

– Na razie zostawmy go tak, jak jest... Jutro przywieziecie mu wózek... A za parę dni, kiedy już się przyzwyczai do pozycji leżącej, założymy mu gips...

– Gips – wyszeptał przerażony Emanuel. Lekarz odwrócił się w jego stronę.

– To nic takiego... Naprawdę nic takiego! Będziesz sobie leżał w gorsecie wygodnie jak w fotelu... Mogę ci to zagwarantować.

Podał mu rękę i wziął kapelusz, gotów do wyjścia. Zatrzymał się jeszcze na chwilę.

– Znasz kogoś w sanatorium? Zdążyłeś się już z kimś zaprzyjaźnić?

I kiedy Emanuel potrząsał przecząco głową, lekarz dodał:

– Przyślę ci Ernesta. To dobry chłopak, na pewno znajdziesz z nim wspólny język...

I wyszedł śpiesznie. Ojciec Emanuela zamknął za nim powoli i z szacunkiem drzwi, jakby doktor poprzez zwykłe dotknięcie klamki nasączył ją fluidami swojej znakomitej osoby.

– Widzisz? – powiedział jowialnie, zacierając rękę.

Całą sprawę choroby uważał teraz za pomyślnie załatwiony interes.

Emanuel czekał jeszcze przez jakiś czas na Ernesta, ale ten chyba nie zamierzał przyjść tego wieczoru. Zaczął rozbierać się do spania. Nie chciało mu się ani jeść, ani pić. Błogie znużenie rozlewało się po całym jego ciele.

W ciemności, która zapadła w pokoju, echo akordeonu nałożyło się melancholijnie na koniec dnia.

Emanuel przeleżał w łóżku cały ranek. Ojciec przysunął do niego krzesło i siedząc tak w tym pogrążonym w nieładzie pokoju, przy otwartym oknie, patrzyli na ogromną jasność oceanu. Od horyzontu bił mleczny blask, pokrywający dalekie kontury wydm i cienie domów i zatapiający je w oślepiającej aureoli. Fale szumiały tak blisko, że z sanatorium nie dobiegał żaden odgłos. Tylko co jakiś czas brzęczał gdzieś dzwonek i wtedy podrywali się obaj, wytrąceni na chwilę z błogostanu.

W końcu przyszedł sanitariusz, aby go ubrać. Od tej pory miał mu już pomagać codziennie. W ruchach mężczyzny widać było ogromną wprawę: najpierw, gdy Emanuel ciągle leżał, włożył mu powoli spodnie, a następnie koszulę i marynarkę – wolno, bez pośpiechu i w taki sposób, że Emanuel tylko odchylił się nieco w jedną i drugą stronę, by dało się przełożyć rękawy.

„Ubiera mnie dokładnie tak, jak się ubiera trupa” – pomyślał i chciał to powiedzieć ojcu, ale się powstrzymał.

Sanitariusz otworzył drzwi i wepchnął do pokoju wózek. Było to łóżko, na którym od tej pory Emanuel miał leżeć przez cały czas. Miało nowy pokryty czarną ceratą materac i dwie twarde poduszki u wezłowania.

– Proszę! – powiedział sanitariusz i pomógł mu zsunąć się z łóżka na wózek. – Teraz będzie pan musiał spać tutaj, jak wszyscy chorzy... Ale jeśli pan chce, możemy panu zostawić też zwykłe łóżko. Można na nim trzymać książki, rzeczy...

Właśnie wtedy gong wybił godzinę obiadu.

– Schodzą panowie do jadalni czy zostają w pokoju? – zapytał sanitariusz.

Emanuel spojrzał pytająco na ojca.

– Zejdźmy... Tak... tak będzie lepiej – odpowiedział.

Sanitariusz powoli wypchnął wózek na korytarz, po czym wprowadził go do windy.

Emanuel, odurzony jeszcze światłem i spokojem tego ranka, potraktował to łagodne sunięcie na wózku na resorach jako odprężający spacer. Kiedy winda zaczęła zjeżdżać, poczuł lekki, przyjemny zawrót głowy.

Dopiero na dole, w sali jadalnej, dostąpił pełnego zrozumienia choroby. Tam po raz pierwszy naprawdę uświadomił sobie okrucieństwo życia, które właśnie rozpoczynał.

Była to zwykła sala restauracyjna, obszerna, wysoka, biała, z zasłanami w oknach i wielkimi egzotycznymi roślinami w kątach. Ale kto obmyślił ten uroczysty i szpitalny zarazem wystrój pomieszczenia? Kto wyreżyserował ten precyzyjny, oszałamiający spektakl?

Wzdłuż ścian, po dwie osoby przy stoliku, leżeli na swych wózkach chorzy. Można to było wziąć za starożytny bankiet z gośćmi leżącymi przy stołach, gdyby zmęczone i blade twarze większości z nich nie pokazywały wyraźnie, że nie są to bynajmniej jowialni biesiadnicy na wesołej uczcie.

Jakiż to mroczny umysł złożył z prawdziwych elementów tak straszny, niesamowity i obłądny obraz?

W pewnej powieści sensacyjnej jeden pisarz opisał przewrotną i kapryśną królową, która mumifikowała swoich kochanków i trzymała ich trumny w okrągłej sali.

Czym jednak była owa mglista wizja w zestawieniu z okrutną rzeczywistością tej jadalni pełnej żywych, a jednak martwych

ludzi, zastygłych w nieruchomych pozach, rozciągniętych i zmumifikowanych, choć tętnili ciągle życiem?

Wózek Emanuela postawiono przy jednym ze stołów, obok pensjonariuszki w niebieskiej sukni. W scenach rozgrywających się we śnie najbardziej osobliwe i zdumiewające jest to, że najdziwniejsze zdarzenia mają miejsce w znanej i banalnej scenerii. W jadalni elementy snu i rzeczywistości przenikały się do tego stopnia, że przez kilka sekund Emanuel czuł, iż jego świadomość zupełnie się rozpadła. Stała się niesamowicie przejrzysta, a przy tym strasznie ulotna i niepewna. Co się działo? Czy to naprawdę on, Emanuel, był tym ciałem na wózku, pośrodku sali, na której wszyscy współbiesiadnicy leżeli przy stołach ozdobionych bukietami kwiatów? Co to wszystko znaczyło? Żył naprawdę? Śnił? W jakim świecie, w jakiej rzeczywistości działo się to wszystko?

Jego sąsiadka przy stole uśmiechnęła się do Emanuela w lusterku. Ona też leżała na wózku, też była kompletnie ubrana, też pozornie normalna, tyle że nie opierała głowy na poduszkach. Trzymała ją zupełnie płasko i nie ruszała nią ani w lewo, ani w prawo. Aby widzieć, co się dzieje dokoła, miała nad sobą metalowy wysięgnik z lusterkiem. Mogła nim obracać na wszystkie strony i obserwować w ten sposób, co się dzieje na sali. W blasku kryształu, w którym pływał jej wycięty policzek (jak w jednej z tych tanich jarmarcznych sztuczek optycznych z odciętą głową), Emanuel dostrzegł przeznaczony dla niego uśmiech.

– Od dawna jest pan chory? – bez żadnych wstępów zapytała dziewczyna.

– Od wielu lat – odpowiedział Emanuel – ale dopiero niedawno zdiagnozowano moją chorobę.

– Tak samo było z nami wszystkimi – powiedziała chora z lekkim westchnieniem.

Po swojej prawej stronie Emanuel zobaczył chłopaka z głową w książce. Zaczął teraz przyglądać się po kolei innym chorym na sali: jedni leżeli zupełnie, inni mieli poduszki pod głową. Jeszcze inni siedzieli na wózkach jak na krześle i tylko nogi trzymali wyprostowane. Wszyscy odpowiednio ubrani: kobiety w sukienkach zdradzających pewną kokieteryę, mężczyźni – w zwyczajnych ubraniach, z kołnierzykiem i krawatem. Wyglądało to na normalne zgromadzenie ludzi, którzy na komendę wyciągnęli się wszyscy na wózkach.

Odważył się zapytać swoją sąsiadkę, dlaczego jedni chorzy leżą zupełnie, a inni pozostają w pozycji półleżącej.

– Bo nie wszyscy chorują na to samo – odpowiedziała dziewczyna. – Jedni mają zaatakowane kręgi szyjne, jak ja, inni tylko kolano albo udo.

Rozmawiała z nim bardzo spontanicznie, ciągle uśmiechając się do niego w lusterku. Emanuel próbował odwzajemnić uśmiech, ale wargi zastygły mu w przykrym grymasie.

Jeden z sanitariuszy wprowadził do sali elegancki wózek, na którym, wsparta o haftowane poduszki, siedziała młoda dama, blondynka, bardzo żwawa; kiwała głową i witała wszystkich wokół.

Towarzyszył jej wysoki młodzieniec o ciemnej karnacji, poruszający się o kulach.

Wózek został postawiony w przednim rzędzie, a młodzieniec usiadł przy tym samym stoliku.

– Kim jest ta dama? – zapytał Emanuel.

Jego rozmówczyni odwróciła lusterko we wskazanym kierunku.

– A, to pani Wandeska, Polka, jest w sanatorium od prawie roku. Właściwie już wyzdrowiała, zaczęła nawet chodzić... Miała mocno zaatakowane kolano. Dawno już powinna była wyjechać, ale ciągle zwleka...

– Dlaczego? – zapytał ciekawie ojciec Emanuela.

– Hm! Trochę trudno to wytłumaczyć zdrowemu człowiekowi... Kolano ma już zdrowe, ale sztywne, i nie może zginać nogi. Utyka, kiedy chodzi. Wolałaby zostać tutaj, wśród chorych, gdzie wszystkim coś dolega, niż stać się obiektem niezdrowej ciekawości ze strony ludzi zdrowych. Ale nie może, będzie musiała wrócić do rodziny... Uzdrowienie jest równie bezlitosne jak choroba...

Zaczęto podawać do stołu. Pacjenci ostrożnie położyli sobie na piersi talerze z zupą. Emanuel też miał tak jeść. Ojciec, który usiadł obok niego, przez jakiś czas podtrzymywał mu talerz. Później, kiedy zobaczył, że Emanuel już się trochę przyzwyczaił, pozwolił mu jeść samemu. Z każdą łyżką zupy talerz jakby tracił równowagę, a jego zawartość już prawie miała się rozlać. Jedzenie w ten sposób było prawdziwą sztuczką akrobatyczną, ale starzy pacjenci wykonywali ją z taką zręcznością, że nawet nie patrzyli przed siebie i kontynuowali obojętnie rozmowę.

Naprzeciwko nich pani Wandeska zaśmiewała się z tego, co mówił siedzący obok młodzieniec.

– To mąż tej pani? – zapytał Emanuel, pokazując go w lusterku.

– Tonio? Nie, nie! To jej przyjaciel... Argentyńczyk... On też od dawna zdrowy, ale woli powietrze naszego sanatorium niż swojej kancelarii adwokackiej...

Właśnie wtedy w głębi sali jakiś pacjent upuścił sztuciec, który upadł z bardzo głośnym brzękiem. Jego wózek był dość niski i gdyby wyciągnął trochę rękę, z łatwością dosięgnąłby upuszczonego przedmiotu. Emanuel zauważył jednak, że chory patrzy na sztuciec beczynn timer. Jego sąsiadka również przyglądała się tej scenie. Wkrótce podeszła kelnerka i przyniosła drugi.

– Dlaczego go nie podniósł? To nic trudnego... – powiedział Emanuel.

– Myślisz, że to takie proste? Przewróciłby się na pewno, przecież ma na sobie kilkudziesięciokilogramowy gips.

Emanuel zdumiał się niepomierzenie. Widział dobrze, że chory leżał sztywno na wózk, jednak nic nie wskazywało na to, że ma pod ubraniem gorset.

– Doktor Cériez bardzo dobrze je robi, czyż nie? – dodała dziewczyna. – Niepodobna odgadnąć kształt gipsu pod ubraniem... Kroci je na miarę.

I zastukała palcami w swoją suknię, która zadźwięczała twardo i sucho, zdradzając sztywną warstwę pod spodem. Ona też nosiła gorset, a jednak była ubrana od stóp do głów, bez żadnej zewnętrznej oznaki swej ułomności.

– Mnie też założą gips – powiedział Emanuel z ogromnym zniechęceniem w głosie.

Teraz, kiedy tak patrzył na rzędy leżących, kwestia choroby nie ograniczała się dla niego do abstrakcyjnego stwierdzenia: „być chorym” w przeciwieństwie do „być zdrowym”. Czuł się, jakby awansował do ich stopnia, jak na przeglądzie wojska. Solidarny z nimi w chorobie, solidarny w gipsie... Nawet samo ciało przybrało na wózk, prawidłową, sztywną postawę kaleki...

Obiad miał się już ku końcowi, kiedy na salę wszedł śpiesznie Ernest w towarzystwie jeszcze jednego chorego. Ernest szedł normalnie, podczas gdy ten drugi zatrzymał się na chwilę w progu i mierzył wzrokiem odległość dzielącą go od jego stołu, jak gdyby zbierał siły, aby przejść przez salę.

Ale jak nazwać tę nową i przygnębiającą niespodziankę? Chodem kaleki, popisem błazenady, sztuczką kuglarską?

Chory wspierał się na dwóch laskach i z każdym krokiem wyrzucał gwałtownie jedną nogę w powietrze. Trzymał ją tak przez sekundę, trzęsąc się w zawieszeniu, po czym odrzucał w bok i, ciągle się trzęsąc, stawiał na podłodze. Był to chód tak konwulsyjny, tak nieskoordynowany i tak nieludzki, że żaden pajac na

świecie nie zdołałby go odtworzyć. Jakby męczyzna skakał, ale jednak trudno to było nazwać skokami. Atak padaczki, tak, to było to. Prawdziwy atak padaczki nóg.

W tym czasie Ernest wydawał się szukać kogoś na sali. Obiad mało go obchodził. Kiedy dojrzał Emanuela, szybko do niego podszedł.

– To ty jesteś tym nowym pensjonariuszem, o którym mówił mi doktor Cériel? – zapytał i przedstawił się.

Wykonywał gwałtowne, niemal dzikie ruchy, a w jego oczach płonęła ciekawość.

– Znasz swoich sąsiadów przy stole? – zapytał znów.

Pensjonariusz z prawej wystawił na chwilę głowę zza książki, nadąsany, że mu przerwano.

– Przedstawiam ci pana Rogera Torna... Dobrego przyjaciela panny Cory.

I pokazał pensjonariuszkę w niebieskiej sukni, z którą Emanuel do tej pory rozmawiał. Zarówno Roger Torn, jak i Cora zaczerwienili się po same uszy.

– Jesteś nieznośny! – zgniała Ernesta dziewczyna.

– Faktycznie można odnieść takie wrażenie – odparł. – Ale myślę, że niedługo zmienisz zdanie... Już ja wiem, jak załatwić pewne sprawy... – dodał, mrugając chytrze okiem.

Ernest poszedł jeść. Do sali wszedł sprzedawca gazet i zaczął roznosić między stołami dzienniki i czasopisma. Chorzy otworzyli je i zabrali się do czytania. Obiad się skończył i sanitariusze wyprowadzali teraz po kolei wózki do ogrodu. Emanuel, odkąd zobaczył pacjenta, który chodził, rzucając nogami na boki, pogrążony był w ogromnym smutku. Serce mu się ścisnęło, kiedy patrzył, jak sanitariusze pchają wózki. Ten kontrast między prawie normalnym życiem – czytaniem gazet, jedzeniem razem z innymi obiadu w restauracji, chodzeniem w normalnym ubraniu, ten kontrast

między byciem człowiekiem jak wszyscy inni, a jednak leżeniem uwięzionym w gipsie, z kośćmi toczonymi przez gruźlicę, to było najbardziej bolesne i smutne w tej chorobie. Paradoks polegał na istnieniu, a jednak byciu „nie w pełni żywym”...

Wyjechał oszołomiony z sali. Zostawiał za sobą ożywione rozmowy i gwar. Dziewczęta z obsługi sprzątały ze stołów, uśmiechając się w biegu do chorych.

Ernest przyszedł mu zaproponować, aby pojechał z nim po południu na przejażdżkę powozem.

– Piękne jesienne dni są już w Berck policzone – powiedział. – Wkrótce deszcze zamkną nas na długo w domu.

Emanuel chętnie się zgodził.

– W gruncie rzeczy mnie osobiście choroba nie wydaje się taka straszna – powiedział Emanuel do Ernesta, kiedy czekali w pokoju na wiadomość o przybyciu powozu. – Drzemiące we mnie od zawsze pokłady lenistwa czują się teraz w pełni zaspokojone – ciągnął dalej. – Rozprostowuję kości na wózku, wspaniale wypoczywam, znakomicie się czuję... Nawet chodzić mi się nie chce... Myślę, że gdybym wstał, w plecy znów wstąpiłyby mi okropne bóle. Jedna tylko rzecz nie daje mi spokoju...

Ojciec, który leżał na łóżku i udawał, że czyta gazetę, podniósł gwałtownie głowę.

– Dręczy mnie myśl, że powoli, powoli, będę musiał stać się prawdziwym chorym... Bo to, co postrzegam teraz jako wałkonienie się i relaks, wkrótce zamieni się w straszną katorgę... Boję się, że będę chodził o dwóch laskach, skacząc jak żaba...

– Ja przecież wyzdrowiałem – dodał mu otuchy Ernest i uderzył się pięścią w pierś, która wydała głuchy odgłos.

– Ty też nosisz gorset? – zapytał Emanuel.

– Tak... Ale zwykły, nie gipsowy – odparł półgębkiem Ernest.

– Mogę go zobaczyć?

Ernest zdjął marynarkę i koszulę. Wyglądał teraz jak antyczny zapaśnik zakuty w pancerz albo jak biust mechaniczny, cały w śrubach i rzemieniach, wystawiony w oknie gabinetu ortopedycznego. Gorset usztywniał mu ciało od bioder do ramion. Wykonany był z różowego celuloиду podziurawionego tysiącami

otworków i związanego na plecach tasiemkami. Wokół szyi, koło bioder i na bokach był skręcony i ściśnięty nader skomplikowaną nikielową oprawką.

– Jak długo jeszcze musisz go nosić? – zapytał Emanuel.

– Już zawsze... – odpowiedział Ernest. – Zdejmuję go tylko w nocy, do spania... I tak już cały czas... Może do końca życia...

Emanuel zamyślił się.

– Gdybym miał wrócić do życia zamknięty hermetycznie w takim aparacie, to wolałbym już raczejj...

Urwał w pół zdania. W pokoju zapadła cisza. Ojciec pogrzyżył się znów w lekturze, podczas gdy Ernest z powrotem się ubierał.

Po kilku minutach ojciec odłożył gazetę i zaczął się pakować. Wyjeżdżał tego popołudnia. W zażenowaniu i milczeniu wszystkich obecnych w pokoju widać było utrzymujący się jeszcze efekt słów Emanuela.

– Tylko nie rób głupstw – powiedział ojciec, który pakował się, unikając jego wzroku. – Będę ci przysyłał pieniądze, żebyś miał na leczenie... Żebyś wyzdrowiał... Będę pracował dla ciebie... Tylko dla ciebie... Pamiętaj o tym...

Emanuel roztkliwił się łatwo i na krótko. Kiedy słuchał, jak ojciec przemawia z takim uczuciem, do oczu napłynęły mu momentalnie łzy, ale już po sekundzie zapomniał o wszystkim i zadzwonił niecierpliwie, aby zapytać o powóz.

Po chwili przyszedł chłopak z wiadomością, że powóz nadjechał.

Walizka też była gotowa – pozostawało im tylko zejść na dół.

Na dziedzińcu czekało coś w rodzaju ogromnej łodzi z budą, osadzonej na kołach i ciągniętej przez konia. Więc tak wyglądał powóz dla chorych? Tak, właśnie tak. Emanuel nawet nie musiał się ruszać. Rama z materacem, na którym leżał, wjeżdżała do powozu od tyłu i łóżko wsuwało się na wałku jak trumna do karawanu. Sanitariusz zamknął drzwiczki i wręczył lejce Ernestowi.

Emanuel leżał lekko podniesiony, tak żeby swobodnie patrzeć przed siebie. Jego ojciec i Ernest usiedli obok niego. Było dosyć miejsca również na walizkę – ten powóz mógł pomieścić ekwipunek całego statku...

Jesień dożywała swych słonecznych, choć chłodnych dni. Zioła wędły po ogrodach i zmęczona jasność popołudnia szeleściła spokojnie na drzewach z czerwonymi pokurczonymi liśćmi. Ulice wyglądały jak opuszczone... Emanuel wodził wzrokiem po nieznanym domach, po willach z zatrzaśniętymi okiennicami, w tym miasteczku zagubionym gdzieś w świecie pod zamglonym jesiennym niebem.

Na końcu ulicy ukazał się nagle ogromny blask oceanu... Widmowe cienie statków rybackich płynęły w oddali w złocie i świetle.

Emanuel chciał powozić samemu, wziął lejce do ręki i pojechał prosto na plażę. Były tam łagodne, drewniane zjazdy, prowadzące z esplanady prosto na piasek. Stały tam też, ustawione w krąg inne powozy. Chorzy rozmawiali, krzycząc z jednego powozu do drugiego. Ktoś grał na mandolinie, jakaś kobieta robiła na drutach.

Ocean połyskiwał kryształem i lazurem. Emanuel oddychał tą niewymowną pełnią ogromnego blasku – powietrzem przestworzy, bezmiarem wód.

Jego ojciec i Ernest poszli na spacer. Do odjazdu pociągu była jeszcze prawie godzina. Emanuel ucieszył się, że może zostać sam. Wziął głęboki oddech, śledząc wolne ślizganie się czarnych statków. Miał przez chwilę poczucie ogromnego opuszczenia. Wkrótce jednak obaj wrócili i jego lekka ekstaza się skończyła.

– Jeszcze przez pół godziny będziemy razem – powiedział ojciec, bardzo wzruszony.

Emanuel prowadził teraz powóz szeroką ulicą z ogromnymi wystawami sklepowymi, z rzadka ożywianą obecnością przechodniów. Był tam po raz pierwszy, a jednak jakby już ją kiedyś widział.

Czuł, że teraz należy bardziej do tej ulicy, do oceanu, którego światłem oddychał, do tej obcej jesieni aniżeli do ojca. Wywróciło się w nim nagle całe rozumienie rzeczy i pewne uczucie intymności przeszło z jednej szali wagi na drugą. Ulica miała w sobie nostalgię odległych wspomnień. Może widział ją kiedyś we śnie...

Pożegnanie było zwyczajne i szybkie.

Zamarudzili nieco po drodze i została im już tylko minuta do odjazdu pociągu.

Ojciec uściskał go w biegu i oddalił się chwiejnym krokiem. W duszy dźwigał, jak nieznośny ciężar, melancholię tego nazbyt szybkiego wyjazdu.

Emanuel, zostawszy sam, przeżył chwilę zawahania. Stał teraz przed nieznanym i strasznym życiem. Co miał robić? Co się z nim miało stać? Zdarzają się zwykle momenty w rzeczywistości, banalne samotne chwile, byle gdzie, na przykład na ulicy, kiedy powietrze świata zmienia się i nabiera nagle nowego znaczenia, cięższego i bardziej męczącego.

-- Coś posmutniałeś – powiedział Ernest po powrocie z peronu. – Dlaczego twój ojciec nie został jeszcze dzień, dwa?

Głęboko poruszony Emanuel nie wiedział, co odpowiedzieć. Ernest złapał lejce i poprowadził ich po nieznanym ulicach. Przed oczami Emanuela defilowały domy, dachy... okna... wiele okien... zaciszne i staromodne prowincjonalne ogródki, z płonącymi buketami czerwonych pelargonii...

Z odrętwienia wyrwał go głos Ernesta:

– Na pewno zauważyłeś, że Roger Torn jest na ciebie zły?

– Kto to jest Roger Torn?

– Twój sąsiad z prawej... Ten rudy ze stołówki, z nosem w książce.

– A, tak! Wiem... Mówisz, że jest na mnie zły? A co ja mu takiego zrobiłem? – zapytał zdziwiony Emanuel.

– Właściwie to nic... Ty jesteś zupełnie niewinny... Ale zanim się tu pojawiłeś, Roger Torn i panna Cora siedzieli przy stole obok siebie... Od dawna czuli do siebie sympatię. Dyrektor sanatorium, który nie przepuści żadnej okazji do małej intrygi, kiedy tylko przyjechałeś, umieścił cię między nimi, żeby ich rozdzielić.

– I co teraz? – zapytał Emanuel. – Może poproszę o inne miejsce... Ernest pomyślał przez chwilę.

– Tak, tak chyba będzie najlepiej. Powiedz dyrektorowi, że chcesz siedzieć koło mnie...

Tego samego popołudnia, po powrocie, Emanuel poprosił, by go zawieźć do gabinetu dyrektora, ponurego pokoiku z gładkim biurkiem bez żadnych papierów. Jedynym przedmiotem na stole był aparat telefoniczny. Dyrektor siedział przed nim, z głową opartą na dłoni, jak najedzony pies przed obgryzioną kością.

Wysłuchał prośby Emanuela z cierpką i profesjonalną życzliwością.

– Tak, czemu nie... Wydam odpowiednie dyspozycje – powiedział, usiłując przybrać uśmiech, który jednak przekształcił się w grymas kogoś, kto przełknął gorzką pigułkę.

Wieczorem, przy kolacji, Roger Torn i Cora znów byli razem. Cora pomachała Emanuelowi ręką na znak wdzięczności.

– Widzisz? Wcale nie jestem taki nieznośny! – powiedział Ernest, przechodząc obok niej.

I zbliżywszy się do stolika Emanuela:

– Aby uczcić pojednanie, jutro wieczorem, o dziewiątej, wieczorek towarzyski i... taneczny w moim pokoju...

Emanuel, zmęczony, dawno już położył się spać, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Przez cały dzień leżał zamknięty w salonie razem z innymi chorymi. Padał zimny ponury deszcz i gwałtowne poddmuchy wiatru uderzały wodą w okna. W sanatorium panowała przeraźliwa cisza pustego miejsca.

– Kto tam?

– Śpisz już? Możemy wejść? Przyszliśmy po ciebie...

Był to Ernest, w towarzystwie Tonia, wysokiego Argentyńczyka, przyjaciela pani Wandeskiej.

Emanuel zapomniał o wieczorku; prawdę mówiąc, wziął to wszystko za żart.

– Przecież widzicie, że jestem w piżamie – powiedział. – Przykro mi, ale muszę odmówić...

– E tam, nie opowiadaj głupot... Jakbyś tylko ty był tutaj w piżamie... – powiedział Tonio.

Ernest też miał na sobie jedynie koszulę i spodnie. Gorset lśnił mu dziwnie pod szyją w słabym świetle dochodzącym z korytarza. Tonio miał na sobie egzotyczny kwiecisty szlafrok. Tego wieczoru chodził tylko o jednej lasce.

– Popatrz na nas... Czy to jest wieczorowy strój? Dalej, przestań wymyślać – nalegał Ernest.

Emanuel nie miał wyjścia. Ernest i Tonio wystawili jego wózek na zewnątrz. Pokój Ernesta był na tym samym korytarzu, ale z drugiej strony budynku, od ulicy.

Mogła być dziesiąta. Sanatorium już spało. Szli w milczeniu korytarzem. Całe piętro oświetlała anemicznie jedna tylko lampa.

– Powoli, uważaj... Obijamy się o wszystkie drzwi – szepnęła zdenerwowany Ernest. – Dyrekcja mogłaby się szarpnąć na jeszcze jedną lampę na korytarzu.

– Jedną? Dlaczego tylko jedną? Mogliby oświetlić *à giorno** – mruknął ironicznie Tonio.

Z pokoju Ernesta dobiegał stłumiony gwar wielu głosów.

Wejście Emanuela przywitano oklaskami.

– To nasz nowy przyjaciel i najnowszy nabytek szanownej dyrekcji! – zaanonsował go Ernest.

W pokoju panował niewyobrażalny rozgardiasz i bałagan. Niektórzy goście leżeli na wepchniętych pod okno wózkach, inni stali. Emanuel rozpoznał Rogera Torna i Corę, złączonych ze sobą wózkami. W kącie pod oknem leżał gruby, śniady mężczyzna o jastrzębim nosie i palił spokojnie fajkę. Emanuel domyślił się, że to Zet. Ernest zdążył mu już o nim opowiedzieć poprzedniego dnia. Był kiedyś kierowcą rajdowym. Wszyscy mówili na niego Zet, bo na koszulce miał ten właśnie inicjał. Zdobył mnóstwo trofeów, aż jednego dnia pogruchotał sobie w wypadku samochodowym stopy od kostki w dół. Leżał teraz na wózku z kocem przykrywającym w miejscu stóp coś wysokiego. Ernest wyjaśnił mu, że Zet trzymał nogi w bloku gipsu i że kawałki palców i skóry miał pospinalane srebrnymi klamerkami. „Istny paszтет!” – zakończył Ernest.

Oprócz nich w pokoju był jeszcze jeden mężczyzna, który rozprawiał o czymś z Zetem i z dwiema dziewczynami. Obok łóżka leżał na wózku jeszcze jeden chory, przybyły z innej kliniki. Nazywał się Valentin i miał strasznie nijaką twarz.

* (wł.) jak w dzień; rześście.

Ernest przedstawił ich sobie. Jedna z dziewczyn była Irlandką i miała na imię Katty.

– Katty, po prostu Katty! – powiedział Ernest. – O nie do końca ustalonej tożsamości... Lat dwadzieścia jeden... Przyjechała do Berck studiować chorych, tak jak inne dziewczęta w jej wieku wyjeżdżają do Włoch studiować dzieła sztuki...

Katty zaśmiała się głośno. Widać było wyraźnie, że jest lekko wstawiona. Jej rude włosy były zupełnie potargane i ze swoją rumianą piegową twarzą wyglądała jak krzykliwie umalowana ozdobna salonowa lalka.

Ernest zaczął wlewać do miski białe wino, by przygotować poncz.

Pomagała mu druga z dziewczyn, milcząca poważna blondynka o delikatnych i prostych gestach.

Emanuel przyglądał się, jak szybko i zręcznie obiera banany i jabłka.

Nie przedstawiono mu jej, ale wpatrywał się w nią tak natrętnie, że dziewczyna spostrzegła to, zaczerwieniła się lekko i mruknęła nieco zmieszana:

– Jestem Solange...

I wytarła dłonie ręcznikiem, aby się z nim przywitać.

Kiedy poncz był gotowy, Katty chciała porozlewać go do kieliszków.

– Chwileczkę! – powiedział Ernest.

W butelce była jeszcze resztką rumu, którą też wlał do miski.

Napój był bardzo mocny. Wszyscy mieli kieliszki do wina, tylko Tonio i Zet zażyczyli sobie szklanek. Wypity alkohol i wisząca w pokoju chmura dymu zamroczyły trochę Emanuela. Patrząc teraz na całe to zgromadzenie przez mglistą zasłonę odurzenia. A melodyjne, srebrzyście brzmiące imię Solange pobrzmiwało w nim jak dopełnienie rauszu.

– Co to za soczek dla pensjonarek? Hej, Ernest... Nie masz nic innego?

– Jest koniak, jeśli wolisz. Ale czysty, nie byle co. Taki, że jak go wlejesz do gardła, to pali jak lawa...

– Zaraz zobaczymy! – odrzekł Tonio.

Ernest przyniósł dwie butelki i otworzył jedną z nich.

– Hej, Zet! – krzyknął Tonio z drugiego końca pokoju. – Robimy wyścigi w picu koniaku? Szybka odpowiedź!

– Po kolei ze stoperem czy równocześnie?

Zet podszedł do sprawy jak zawodowiec.

– Równocześnie!

Ernest otworzył również drugą butelkę i wręczył każdemu po jednej. Uwaga wszystkich zwrócona była teraz na nich.

– Raz!... Dwa!... Trzy!... – odliczył Ernest.

Zet przytknął butelkę do ust w tej samej sekundzie co Tonio. Rozległ się krótki, dźwięczny gulgot, po czym Tonio cisnął pustą butelką o łóżko. Wypił jej zawartość trzema łykami, jakby konał z pragnienia.

– Od razu widać, że jesteś zakochany... – odezwał się ktoś.

Kto to powiedział? Tonio spojrzął nieruchomo przed siebie, wziął ze stołu kieliszek wina i podniósł go do ust. Na chwilę zapadła cisza. Leżący obok Valentin stał się jednak bardzo rozmowny. Nic do tej pory nie mówił i teraz nagle rozwiązał mu się język.

– Bo niby nie wiemy, że jesteś zakochany w pani Wandeskiej! – powiedział z ożywieniem, natarczywie i tępo.

Tym razem Tonio zdumiał się.

Przez kilka sekund patrzył wokół, na każdego po kolei, jakby błagając o pomoc:

„Patrzcie no tego smarkacza, jak kpi sobie ze mnie w żywe oczy!”

Nagle uniósł kieliszek i powiedział uroczystym głosem, niemal krzycząc:

– Szanowni zebrani... Wszyscy... wszyscy tu obecni... Przysięgam wam... na swoje sumienie i na swój honor, że nie łączą mnie z panią Wandeską żadne... stosunki. Jesteśmy tylko przyjaciółmi... To wszystko... Słyszeliście?

Stracił zupełnie głowę. Valentin też musiał być pijany, bo wcale nie miał zamiaru się uciszyć.

– Ha, ha! Ha, ha! – zaśmiał się chytrze. – Bo niby nie wiemy, że chodzisz do niej co wieczór.

– Tylko rozmawiamy, bydlaku! Rozmawiamy! – wrzasnął Tonio. – Nie wiesz, że pani Wandeska jest w gipsie... po same udo? Że ma całą nogę w gipsie? Niby jak mielibyśmy coś zrobić?

Powiedział to z wielkim wahaniem w głosie. Widać było, iż dręczy go sumienie, że musi składać podobne oświadczenia, ale po takiej ilości alkoholu nie panował już nad sobą.

– I co z tego, że ma gips? – ciągnął Valentin. – Że niby z gipsem się nie da?... Przecież można popieścić... Pocałować... Tu i tam...

Tonio podszedł do niego, zgrzytając zębami. Popatrzył mu prosto w oczy, po czym wylał przed siebie, prosto na niego, zawartość kieliszka, który ciągle trzymał w ręce.

Valentin, zdezorientowany i cały mokry, zaczął się wycierać, a kiedy trochę ochłonął, wściekle złapał stojący na toalecie kubek, by rzucić nim w głowę Tonio.

– Ej, ej, bardzo was proszę, tylko bez przemocy! – krzyknął Ernest i stanął między nimi, chcąc ich rozdzielić.

– Ty, Tonio, połóż się tutaj... – rozkazał mu i pchnął go na łóżko. – Leż grzecznie i przetrawiaj w spokoju koniak.

Jednocześnie przestawił Valentina wraz z wózkiem na środek pokoju, z dala od Argentyńczyka.

– Co za bydlę! Co za bydlę z niego! – bełkotał Tonio, wyciągając się na pościeli... – Gdyby Ernest nie interweniował, dałbym mu cztery razy w pysk i padłby trupem na miejscu!

– Od czterech razy w pysk się nie umiera! – orzekł spokojnie Zet w swoim kącie, niczym bezstronny sędzia na meczu.

W ramach dywersji, Ernest zaczął nucić cicho pewną melodię, a pozostali podjęli chórem:

Votre mari... bididi... bididi...

Il est dans la soupenne...

– Ciszej! Ciszej! – nakazał Ernest.

En train de baiser bididi... bididi...

Ernest westchnął komicznie i wszyscy zaczęli się śmiać.

En train de baiser la servante...

Była to monotonna i smutna melodia, ze słowami pełnymi pijackich sprośności...

Piosenka ta jednak, zamiast ich ożywić i przebudzić, wprawiła wszystkich w stan jeszcze większego odrętwienia. Na zewnątrz deszcz dzwonił o szyby i świstał wiatr, lamentliwie i przeciągle.

Wszyscy tkwili w swym zamroczeniu niczym pogrążeni w głębokiej zadumie, którą każdy przetrawiał w ciszy. Katty rzuciła się na łóżko obok Tonia, zanurzyła rękę w jego włosach i pogłaskała je lekko.

– Daj spokój, przejdzie ci... Tonio... Tononio... Tonononio...

– A to co takiego? – zapytał niewyraźnie Tonio.

– W szkole udawaliśmy tak, że mówimy po chińsku – powiedziała dziecinnie Katty.

Valentin zaczął deklamować wiersze, gdy nagle między Zetem a siedzącym obok niego dżentelmenem rozgorzała sprzeczka.

Tym dżentelmenem był pewien inżynier z Paryża, przyjeżdżający czasami do Berck na urlop, aby odpocząć i zapolować na dzikie kaczkę w słynącej z nich zatoce Authie.

– A ja ci mówię, że trafię ją jednym strzałem – upierał się inżynier.

Palcem pokazywał na okno.

– No to zgaście na chwilę światło! – zarządził Zet. – Po ciemku będzie lepiej widać...

Teraz do ciemnego pokoju docierały przez okno chybotliwe błyski lampy ulicznej poruszanej przez wiatr.

– Trafię ją za pierwszym razem...

– To się zaraz okaże... – powiedział spokojnie Zet.

Założyli się, czy inżynier trafi ze strzelby w lampę na ulicy.

– Chyba powariowaliście do reszty – powiedziała przerażona Solange.

Inżynier poszedł jednak do swojego pokoju i wrócił po paru minutach z czymś ciężkim w ręce. Ernest drzemał w ciemności i nie bardzo wiedział, co się wokół niego dzieje, póki inżynier nie otworzył okna i zimny podmuch wiatru i deszczu nie wpadł do pokoju, wszystko wywracając.

Ernest przebudził się tym razem na dobre i podszedł chwiejnym krokiem do okna.

– Naprawdę chcecie to zrobić? Czy wyście wszyscy dzisiaj powariowali?

Było już jednak za późno. Inżynier przyłożył strzelbę do oka, wymierzył i strzelił.

Rozległ się potężny huk. Wszyscy zamarli z przerażenia. Oczywiście obudziło się całe sanatorium.

Co teraz będzie? Trzęśli się z niepokoju i emocji. Zamroczony Tonio obudził się i przy wtórze przeraźliwego rżenia wyrzucił teraz z siebie całą zawartość żołądka.

Na ulicy lampa paliła się ciągle na wietrze. Ernest na próżno usiłował zamknąć okno, podczas gdy Solange próbowała wyrwać Zetowi strzelbę, którą ten przejął od inżyniera.

Był całkowicie zdecydowany oddać strzał i nic nie mogło mu w tym przeszkodzić.

– Jeśli nie puścisz strzelby, to strzelę w sufit! Trzymam palec na spuście – krzyknął porywczo Zet.

Podniósł się już zresztą na wózku i nabrawszy powietrza w płuca, mierzył do lampy na dworze.

Ernest odsunął się i rozległ się drugi strzał, silniejszy, straszniejszy, bardziej przerażający.

Wszystko to, wliczając oba strzały, trwało nie dłużej niż minutę.

Lampa na ulicy zgasła: w końcu została trafiona.

Ogólna konsternacja sprawiła, że nikt już nie protestował. Zet oparł strzelbę o krzesło. Ernest zamykał okno – po cichu, zdrętwiałymi rękami, jak po jakimś kataklizmie, którego nie można już odwrócić. Zęby szczękały mu z zimna i ze zdenerwowania; szukał odpowiednio ostrego, odpowiednio mocnego słowa, aby wyrzucić z siebie całą zgromadzoną wewnątrz grozę, ale strzały przygniatały go ciągle ciężarem przeraźliwego strachu.

Emanuel uczestniczył w całej scenie z wyraźnym poczuciem, że nic nie dzieje się naprawdę. Kilka minut temu, dokładnie wtedy, gdy zaczęła się kłótnia między Toniem a Valentinem, wszystko dookoła nabrało niezrozumiałego i sztucznego wymiaru. Czy to byli prawdziwi ludzie? Czuł się, jakby uczestniczył w śmiesznie fałszywej i bezsensownej inscenizacji. Czy uda im się odegrać swój teatr z tą samą powagą aż do końca?

Strzały, zamiast otrzeźwić, wprawiły go w jeszcze większą dezorientację i oszołomienie. Niczym dobijające ciosy zburzyły swym hukiem całą rzeczywistość i pogrążyły ją w nocy. To, co miało się wydarzyć od tej pory, mogło być już tylko miękkie, wiotkie, jak

w świecie zbudowanym ze szmat i waty. Emanuel nie miał już siły wyobrazić sobie, co nastąpi dalej. Mogło się zdarzyć dosłownie wszystko...

Zet mamrotał w kółko:

– No i co! Trafiłem! Niby kaleka, ale ciągle jeszcze człowiek... He, he... Niby już do niczego, a pokonałem takiego strzelca... He, he...

Kazał sobie nalać. Upojenie alkoholowe przybrało u niego postać tej smutnej powagi, z jaką pijacy obstają przy robieniu rzeczy absurdalnych.

Ernest chodził po pokoju tam i z powrotem, nie mogąc sobie znaleźć miejsca.

– Co to teraz będzie? Co to będzie? Zobaczycie, jutro rano dyrektor wszystkich nas wyrzuci... Co za wariactwo!

Odkąd padły strzały, w sanatorium otwierały się i zamykały drzwi, słychać było szepty, kroki na korytarzu. Ernest podszedł do drzwi i nasłuchiwał.

Gdzieś w głębi któregoś korytarza trzasnęły głośno drzwi.

– To dyrektor! Idzie na inspekcję! I co mam mu powiedzieć? Wszyscy w oczekiwaniu wstrzymali oddech.

– Proszę teraz wszystkich o ciszę! Absolutną ciszę...

Coraz bliżej pokoju słychać było człapiące kroki.

Ernest przekręcił cicho klucz w zamku.

– Cisz! – szepnął. – Myślałem, że to dyrektor, ale...

Ktoś zapukał do drzwi.

W pokoju panowała cisza jak makiem zasiał.

– Proszę otworzyć! Panie Erneście, niech pan otworzy! Co się tam dzieje? Co wy tam wyprawiacie?

Był to skrzekliwy głos staruszki. Zaczęła szarpać drzwiami, krzycząc jak ptak.

– Proszę otworzyć! Proszę otworzyć drzwi...

– Co jest? Kto tam? – zapytał Ernest z pokoju.

– Niech pan otworzy, panie Erneście, bo zawołam sanitariuszy, żeby wyważyli drzwi... To ja, portierka... Proszę otworzyć!

– Czego pani chce? – zapytał spokojnie Ernest.

– Jeszcze się pyta czego! Pijatyki, strzelaniny... Co to jest, sanatorium czy knajpa?

– Burdel! – wykrzyknął niewzruszony Ernest.

Teraz sam zaczął wrzeszczeć.

– Czego pani chce? Kto panią na mnie nasłał? Kto strzelał? Zwariowała pani? Mnie też obudziły strzały... To na ulicy ktoś strzelał. A co ja jestem, policja? Niech pani idzie zobaczyć, kto to był, i da mi święty spokój!

Ktoś w pokoju obok zaczął stukać w ścianę, aby uciszyć awanturę.

– Strzały słyhać było stąd – twierdził uparcie skrzekliwy głos. – Idę po dyrektora!

Ernest przekręcił klucz i gwałtownym ruchem otworzył szeroko drzwi.

Teraz stał twarzą w twarz z dozorczynią, on, wysoki, barczysty, i ona, wątła staruszka w białym fartuchu, wychudła zjawa w bladym świetle korytarza, cheralwe widmo w samym środku nocy.

– O co chodzi? Proszę mi w końcu powiedzieć, czego pani chce! Dlaczego przychodzi pani do mnie? Czemu to ja jestem zawsze kozłem ofiarnym w tym sanatorium? Ktoś nalał wina do fortepianu w salonie – to na pewno Ernest. Jest gdzieś hałas – z miejsca leciecie do Ernesta... Strzela ktoś – znowu winny jest Ernest. Niech pani powie dyrektorowi, że jutro wyjeżdżam. Mam tego dosyć! Słyszała pani?

Dozorczydniemiała ze zdumienia pod tą lawiną argumentów. Ernest protestował z taką gwałtownością i szczerością, że człowieka niemal ogarniało współczucie dla tego prześladowanego chłopaka.

Teraz to dozorczyńni była w tarapatach i nie wiedziała, jak z nich wybrnąć.

– No już dobrze... Dobrze... Pójdę zapytać policjanta – wymamrotała zdezorientowana i odeszła korytarzem w brzęku kluczy, który wtórował jej szurającym krokom.

Ernest wrócił dumnie do pokoju.

– Widzieliście? Jeśli chcecie wystraszyć tę staruszkę, wystarczy jej powiedzieć, że wyjeżdżacie z sanatorium. Pracuje tu od czterdziestu lat i popadła w rutynę... Jak ten budynek w ruinę...

Teraz trudniej było odprowadzić każdego do jego pokoju: Ernest był zbyt zmęczony i w dodatku bolał go krzyż, a Tonio... nie byłby w stanie mu pomóc – zasnął znów w cuchnącej kwaśno kałuży wymiocin. Na razie postanowili, że zostaną wszyscy w pokoju i prześpią się trochę, a rano dadzą parę franków jakiemuś sanitariuszowi, żeby się nimi zajął, tak aby nikt się o niczym nie dowiedział.

Deszcz ustał. Ernest uchylił okno, chcąc wypuścić ciężki zapach wina i papierosów. Zet spał z ustami otwartymi dokładnie w kształt litery „o”, tak jakby jeszcze we śnie dziwił się udanym strzałem.

Emanuel nie widział Rogera i Cory, ale po ich namiętnych szeptach i charakterystycznym skrzypieniu sprężyn domyślał się, gdzie są, złączeni wózkami.

W świetle zapalniczki, którą zapalił Ernest, by poszukać kubka z wodą, mignęli przez chwilę Roger i Cora, obrócenie na bok i objęci.

– Ocierają się gipsami, to wszystko, co mogą zrobić – szepnęła Emanuelowi na ucho Ernest.

A Solange? Gdzie była Solange?

Emanuel dostrzegł ją koło okna, jak patrzyła w noc. Na dworze ciemność stawała się coraz bardziej dziurawa i rozproszona, a na

jej tle Emanuel usiłował wyodrębnić dokładny zarys sylwetki dziewczyny. W pokoju zapadła zupełna cisza.

– Posuń się, brutalu! – Ernest popchnął Tonia i też położył się obok Katty.

Valentin spał jak zabity, oddychając głośno i cienko przez nos. Jego chrapanie pokrywało ciszę w pokoju jakby siecią dźwięków rozsnuwającą się nad śpiącymi ciałami... Emanuel nawet nie wiedział, kiedy zasnął, wpatrując się w majaczącą w oknie niewyraźną plamę Solange.

Przebudził się o świcie, oteściały – nie tyle zmęczony, ile smutny. W pokoju panowała poekscytowana melancholia. Atmosfera „wieczorku” rozplynęła się w popielatym, dusznym powietrzu, wraz z nadejściem przygnębiającej jasności pochmurnego poranka.

Solange już dawno wyszła. Katty i Tonio również. Ernest razem z sanitariuszem męczyli się teraz z wózkiem panny Cory.

Kiedy tylko wyszła, Roger Torn podniósł koc, którym byli przykryci, i przyjrzał się uważnie materacowi.

– Ale bagno! – wykrzyknął z przejęciem. – Wszystko mokre: materac, piżama...

Miał otwarte fistuły i najwyraźniej źle mu założono opatrunek.

– Co to? Co to jest? – zapytał skacowany Valentin. – Przebiło?

– Tak... I to jeszcze jak... Co za dziadostwo! Aż do ósmej, póki nie otworzą kliniki, będę musiał leżeć w tym sosie...

Emanuel zobaczył ze swojego miejsca prześcieradło całe w zielonkawym ropnym płynie.

Po chwili Ernest wrócił z sanitariuszem i też zaczęli kontemlować katastrofę.

– Rozrabiałeś całą noc – powiedział Ernest – więc teraz masz za swoje.

– Dobra, dobra, będzie mi tu prawić morały o piątej nad ranem – odpowiedział z goryczą Roger Torn.

Przyszła kolej na Emanuela; pomachał wszystkim ręką na pożegnanie.

Ernest pchał wózek i ziewał przeraźliwie od ucha do ucha.

Emanuel znalazł się nagle sam w swoim pokoju i dzień wydał mu się jeszcze bardziej pusty... jeszcze bardziej przygnębiający... W jego piersi nastąpiła głęboka pustka, jak głęboka potrzeba oddechu albo płaczu.

Tego dnia Emanuel spałby aż do obiadu, gdyby nie nieoczekiwana wizyta.

Zrobił wielkie oczy, ujrzawszy w progu doktora Cérieza w towarzystwie dwóch pielęgniarek.

„Na pewno przyszedł mnie zbesztać za wczorajszy wieczór” – pomyślał. Zrobiło mu się wstyd, że będzie musiał wysłuchać kazania, leżąc na wózku; lekarz będzie patrzeć na niego z góry, on zaś nie będzie mógł nawet odwrócić wzroku ani zmienić tej poniżającej pozycji zwierzęcia gotowego do wiwisekcji.

– Już ta godzina, a ty jeszcze śpisz? – zapytał doktor swoim niskim jowialnym głosem.

Ten przyjacielski ton strasznie dopiekł Emanuelowi. Poczuł pod kołdrą, że robi mu się gorąco.

– Jesteś w nastroju, aby w taką paskudną pogodę usłyszeć niemiłą wiadomość? – ciągnął lekarz z tą samą poczciwością. „Pewnie chce mi oznajmić, że wyrzuca mnie z kliniki” – wyobraził sobie Emanuel i podniósł gwałtownie głowę, uśmiechając się beztrudno i próbując przybrać szelmowską minę.

– Więc dobrze, powiem ci, po co przyszedłem. Chciałem cię zapytać, czy chcesz mieć dzisiaj założony gips. Pędzej czy później i tak będziesz musiał go nosić... Trzeba unieruchomić kręgi, żeby zaatakowane miejsce się wyleczyło. No więc, co ty na to? Zakładamy gips dzisiaj czy poczekamy jeszcze jeden dzień?

Emanuel odetchnął z ulgą, szczęśliwy, że nie chodziło o imprezę. Nie myślał nawet o gipsie i przystał skwapliwie na wszystko.

– Oczywiście, choćby i dziś! Pewnie! Niech pan zakłada! Chyba już przywykłem do pozycji leżącej i nie powinien mi przeszkadzać...

– Jesteś pierwszym pacjentem, który ucieszył się na gips. – Lekarz uśmiechnął się. – Inni, kiedy im o tym mówię, robią zwykle minę, jakby mieli za chwilę zemdleć.

Sanitariusz zawiózł go do kliniki.

W białym, antyseptycznym pokoju, pośród aparatów ortopedycznych, Emanuel poczuł nagle, jak ściska mu się serce, i w przepływie szczerości pożałował swojego wcześniejszego entuzjazmu.

„Mimo wszystko lepszy gips niż wysłuchiwanie morałów” – dodał sobie niemrawo otuchy. Myśli plątały mu się trochę i ze wszystkiego, co go otaczało, jedyną wyraźną i zrozumiałą dla niego rzeczą była silna woń fenolu.

Eva, pielęgniarka, zdjęła mu piżamę.

– Musiała być niezła zabawa – mruknęła cicho, by nie usłyszał jej doktor.

Lubiła wtrącać się w osobiste sprawy kuracjuszy i uważać się za ich powierniczkę, a jednocześnie donosiła na wszystkich lekarzowi. Ernest już kilkakrotnie przyłapał ją na roznoszeniu kłamliwych plotek.

Emanuel udał, że nie wie, o co chodzi.

Doktor był już zresztą gotów i chciał zaczynać.

Miał na sobie szeroki, zapięty pod szyję fartuch i gumowe buty, aby nie pochlapać się gipsem.

W klinice było dość zimno.

– Zaraz się ogrzejesz – szepnęła perfidnie Eva, poirytowana, że Emanuel odrzucił jej poufałości.

Ubrała go w cienką białą flanelę, przypominającą sportowy podkoszulek. Emanuel, przeglądając się w wypukłym odbiciu niklowanego pudełka, uznał, że nawet mu w tym do twarzy.

– Będziesz to miał na sobie, aż nie zdejmemy ci gipsu – powiedział lekarz.

W ten sposób cały czar przysł.

Położyli go brzuchem do dołu, na dwóch złączonych ze sobą stołach. Następnie rozdzielili stoły i Emanuel zawisł w próżni całym środkiem ciała, tworząc w ten sposób kładkę między nimi.

W stojących na krzesłach miskach czekał biały proszek, ciepła woda i pasy płótna.

Operacja była bardzo prosta: doktor brał po jednym pasku, obtaczał go w gipsie i zanurzał w wodzie, a następnie przykładał na całej jego długości do pleców Emanuela jak kompres. Bach! Raz... Bach! I jeszcze raz! Pasy przyklejały się do żeber, do piersi... do bioder... Przywierały do skóry jak lepkie zwierzęta, żywe i podstępne. Lekarz pracował z szybkością murarza, któremu robota pali się w rękach. Wyciskał ściekający gips otwartą dłonią, uklepywał go lekko i modelował na ciele. Paski padały wiotko jeden po drugim i zamykały Emanuela od szyi po biodra w białej tunice.

Faktycznie zaczęło mu się robić ciepłej; nie było to ani nieprzyjemne, ani bolesne. Wewnątrz gorsetu przylepiała się do niego letnia, nawet dość przyjemna wilgoć, ale od czasu do czasu strużka wody spływała szybko z ramion na plecy, przejmując go dreszczem delikatnej kaligrafii dotyku.

Tył był już gotowy. Gips należało jeszcze pogrubzić z przodu, na piersi. Zaczął już zresztą twardnieć.

– No to zobaczmy, możesz odwrócić się sam twarzą do góry? – zapytał doktor, łącząc stoły.

– Oczywiście... Już się robi... – odpowiedział śpiesznie Emanuel i oparłszy się o róg stołu, spróbował się przewrócić.

Ale co to?

Oślupiał. Ile tysięcy kilogramów teraz ważył? Niepodobna było wykonać żadnego ruchu. Leżał bezsilny, obezwładniony, więzień w gorsecie. A więc to tak!

Skorupa trzymała go hermetycznie zamkniętego, nieruchomego, przygniecionego, zmiażdżonego jak głazem. „Żegnaj, Emanuelu! – powiedział do siebie. – Właśnie umarłeś!” I aż ścisnęło go w gardle.

– I co teraz? – zapytał.

Pielęgniarka i lekarz odwrócili go twarzą do góry. Manewrowali nim jak manekinem bez życia, podnosili, okręcali, kładli leciutko na stole, aby go nie uderzyć... Emanuel, pozbawiony wszystkich swoich normalnych odruchów, miał straszne wrażenie obezwładnienia, które dotychczas odczuwał jedynie we śnie.

Doktor wyciął mu na brzuchu kwadrat, żeby umożliwić oddychanie.

Nożyczkami zaokrąglił jeszcze gorset w okolicy kości łonowej i bioder. Kiedy Emanuel podniósł trochę głowę i obejrzał się po czubki palców u stóp, odkrył, że stał się hybrydowym posągami, dziwnym połączeniem skóry i gipsu.

Zawieźli go do pokoju. Pielęgniarka przyniosła butelki z ciepłą wodą, by gips szybciej wysechł. Na dworze znów padała natarczywa mżawka, bębniąc o szyby. Włączono kaloryfer i obłożono gips butelkami z ciepłą wodą. Wcześniejsze przyjemne ciepło kompresów przemieniło się teraz w wilgoć chlupoczącą wewnątrz gorsetu przy najmniejszej próbie ruchu. Leżąc z twarzą do góry, patrzył na rysy w suficie. Z upływem czasu gips twardniał coraz bardziej, a wilgoć stawała się coraz zimniejsza. Ciepło butelek z wodą nie mogło przeniknąć do samego środka. Przyniesiono mu obiad, ale niczego nie tknął. Po co ładować jedzenie w to gipsowe pudło?

Zaraz po obiedzie przyszedł go odwiedzić Ernest.

– Założyli ci mundur! Awansowałeś! – wykrzyknął. – I to akurat po imprezie. Na pewno od razu wytrzeźwiałeś.

Położył się na stojącym obok wózka łóżku i zapalił papierosa.

– To ci dopiero wariaci, Zet i ten jego inżynier! Mogła z tego być wielka awantura...

Emanuel przypomniał sobie spędzoną u Ernesta noc, ale teraz, w świetle deszczowego popołudnia, w ciszy zakłócaanej tylko lekkim poświstywaniem kaloryfera, wszystkie szczegóły wczorajszego wieczoru ginęły w spokojnej beznadziei. Tak jakby nic nigdy się nie zdarzyło ani nie istniało poza tą mokrą i zimną powłoką gorsetu.

Ernest śledził na szybko kręty bieg strużek deszczu. On też był zupełnie przytłoczony tym jesiennym dniem.

– Lubię, kiedy pada... – powiedział w końcu. – To pogoda, która nam, chorym, odpowiada najbardziej. Deszcz, zasnućie niebo, zimno... Wtedy wiesz, że cały świat ogranicza się do takiego samego pokoju o czterech ścianach... do takiego samego smutku.

Emanuel tak dobrze go rozumiał...

– Kiedy na dworze jest ładnie, kiedy jest ciepło i słonecznie – ciągnął Ernest – wtedy wszystko wydaje mi się strasznie bezsensowne i niezrozumiałe. Co może robić człowiek pośrodku takiej jasności świata? Nawet gdyby coś robił... to byłoby to zbyt jasne... zbyt widoczne i zbyt niezrozumiałe. Najbardziej niepokojąca jest ta tajemnica, która odsłania się nam w najprostszej oczywistości. Lubię te ponure, deszczowe dni, kiedy siedzisz skulony w domu i czujesz się jak zbity pies...

Zamilkli obaj na jakiś czas i słuchali deszczu. Emanuel zamknął oczy.

– Zostawić cię samego? Będziesz spał?

– A skąd... W tym bagnie? Czuję, jakby wilgoć wdzierwała mi się pod skórę... aż do kości... aż do serca... Jakby mi podchodziła powoli do głowy...

– To faktycznie bardzo nieprzyjemne uczucie – przytaknął Ernest. – Znam to, wiem, co to znaczy... Będzie tak jeszcze dwa, trzy dni, póki gips nie wyschnie... A później nawet go nie będziesz czuł.

Emanuel pomyślał z przerażeniem o tych „dwóch, trzech dniach”.

– Myślisz, że kiedyś się do niego przyzwyczaję? – powiedział i uderzył wściekle w swoją skorupę. – Za każdym razem, kiedy się poruszę, gips będzie mnie trzymał w miejscu i będzie mi przypominał, że jestem w nim hermetycznie zamknięty.

– Przyzwyczaisz się... Przyzwyczaisz... Będziesz się ruszał, ile dusza zapagnie... Zobaczysz, będziesz się poruszał razem z gipsem, jakby to była zwykła koszula...

Ernest wstał i skierował się ku wyjściu.

– Chciałem cię o coś zapytać – powiedział Emanuel. – Kim jest ta wysoka blondynka, która była wczoraj u ciebie, panna Solange?

– A, Solange! Ona też jest byłą kuracjuszką. Ona też leżała na wózku, tak jak ty teraz. I widzisz, zupełnie wyzdrowiała. Tyle że to nie panna, tylko pani... Była mężatką i kiedy zachorowała, mąż ją zostawił. Bardzo miło i elegancko z jego strony, nie sądzisz?

– Więc czego ona teraz szuka w Berck?

– No właśnie, to bardzo ciekawa sprawa... Berck to nie jest miasto chorych. To niezmiernie subtelna trucizna. Wsącza się prosto w krew. Ten, kto tu trochę pożył, nie znajdzie już sobie miejsca nigdzie na świecie. Ty też to poczujesz pewnego dnia. Wszyscy tutejsi kupcy, wszyscy lekarze, aptekarze, a nawet sanitariusze... To wszystko dawni kuracjusze, którzy nie potrafili żyć gdzie indziej.

– A Solange? – zapytał znów Emanuel, aby wrócić do tematu, który nie dawał mu spokoju.

– Mieszka sama. Sama się utrzymuje. Jest maszynistką w jednej kancelarii adwokackiej.

Ernest otworzył drzwi, ale Emanuel zatrzymał go jeszcze.

– Mógłbym z nią porozmawiać? Mógłbym się z nią spotkać?

– A, czyli to coś poważniejszego! Zakochałeś się w niej? To też znam... To jak z gipsem, ale dokładnie odwrotnie: sucha i gorąca tortura. Jutro pewnie będę z nią rozmawiał, to ją tutaj zaproszę. Może przyjdzie. Do widzenia!

I zostawił Emanuela na pastwę wilgoci, samotności i palącej niecierpliwości.

Wilgoć stała się przez noc tuniką utkaną z gorączki i koszmarów. Emanuel zasypiał na chwilę i jakby zapadał się w bagno. Był zimowy dzień, świeciło słońce i śnieg topił się na dachach. Emanuel w kaloszach brodził w wodzie, a ulica była cała zalana słońcem. Słońce! Słońce! Jak kule ognia lecące we wszystkich kierunkach! Sztuczne ognie – ale w dzień, w pełnym świetle, na śniegu! Oślepiające! Tego zawsze pragnął Emanuel: stać w słońcu z dziewczyną, w takim dniu jak ten. Z Solange. Czemu nie. Fiołki mokre jeszcze żywnością gliny. Ależ pachną! Widzisz te dwa białe ptaki latające z dachu na dach? To nasze dusze... Tama i ruina. „Lepiej poczekam w cieniu na słońce i na Solange...” W cieniu wszystko staje się niebieskie. A później bańki... Tak już musi być... Błogość zawsze pochłaniana jest przez cień i bańki... Lodowate, galaretowate bańki...

Emanuel budził się i zapalał światło.

W niektórych miejscach gips dźwigał całe litry wody. Obok zeber pojawiała się neutralna przestrzeń, gdzie oddech mógł się na chwilę uwolnić, ale gdzie indziej przyklejał się znów do zimna. Światło elektryczne wznagało wszystko i potęgowało udrękę zmagania się z każdą rzeczą z osobna. Bardziej znośny był mrok.

W ciemności Emanuel wytyczył mapę wilgoci i tortury. Były tam ostre cyple wbijające się głęboko aż do szpiku kości... Nieco dalej spokojne i rozległe przestrzenie zimnej wilgoci... A jeszcze dalej zatoki względnej ciszy. W głowie rysował mu się obraz Solange.

Nie mógł jednak oddzielić wspomnienia jej jasnego niebieskiego spojrzenia od odrażającej pleśni wilgoci.

Zaczął drzeć z zimna. Później zimno minęło, ale zaczął drzeć ze zdenerwowania.

W końcu zasnął złożony zmęczeniem. Czuł, że ogarnia go sen, wiedział, że śpi, a właściwie, że jest tylko pogrążony w sennej jawie, ale nie miał już siły myśleć o tym wszystkim. Płynął w bardzo ciężkich, wyczerpujących wodach...

Emanuel spędził cały ranek w salonie, razem z innymi chorymi, dziećmi i robiącymi na drutach starszymi damami, rozpartymi na wózkach jak hinduskie posągi. Ze ścian łuszczyła się zielona wyblakła farba, jakby straszna, tajemnicza choroba toczyła budynek.

Emanuel, przykryty po szyję białymi narzutami, ledwie mógł ruszać głową w prawo i w lewo.

Widział za to dobrze „markizę”, była nauczycielką, zawsze w sukni z fioletowego aksamitu, z bransoletami i pierścionkami na palcach oraz z medalionami i koronkami zdobiącymi jej ogromne zwiędłe piersi.

W kącie dziesięcioletni może chłopczyk wygrywał na katarynce natrętny i przyprawiający o neurastenię refren złożony z tych samych trzech nut w molowej tonacji. Był to synek pewnego kupca z Wiednia. Ojciec dziecka siedział obok niego i głaskał je po włosach.

Na forum toczyła się rozmowa. Emanuel dostał się w jej środek jak nowa, łatwa do upolowania ofiara. Wszyscy zaczęli się interesować jego gipsem. Emanuel odpowiadał z życzliwym znużeniem. Dręczyło go sekretne oczekiwanie. Ernest poszedł na dół do telefonu, aby zapytać Solange, czy może przyjść do sanatorium.

– Rano na pewno jest w pracy, ale może po południu... – oznajmił. – Co mam jej powiedzieć? Jaki podać powód?

Emanuel zastanowił się krótko.

– Powiedz po prostu, że chcę się z nią zobaczyć...

Ernest długo nie wracał. Ze zniecierpliwienia Emanuel zaczął odpowiadać pokrętnie na pytania sąsiadów.

– Boli cię głowa? – zapytała „markiza”.

– Tak, strasznie... Głowa i szyja... I lewe biodro... – odpowiedział z niezmierną powagą Emanuel, tak że dali mu wreszcie spokój.

W końcu rozległy się kroki Ernesta.

– Przyjdzie! – Dał mu dyskretny znak, już od progu mrugając chytrze okiem.

Emanuel poczuł nagle, jak wielki ciężar spada mu z gipsu.

Ale Solange spóźniła się i przyszła dopiero w porze obiadu. Sanitariusze zaczęli zabierać chorych do windy. Emanuel poprosił, aby go odwieźć do pokoju. Korytarzem szli za nim Ernest i Solange. Była to jedna z tych dziwnych sytuacji związanych z chorobą, kiedy za chorym na wózk idą ludzie zdrowi. Trochę jak krewni kroczący za marami zmarłego... albo podróżni na dworcu biegnący za wózkiem z bagażami.

Emanuel chciał zostać choćby przez chwilę sam na sam z Solange. Ernest to zrozumiał i już miał sobie pójść, kiedy Solange go zatrzymała.

Zainteresowała się bliżej gipsem.

– Bardzo nieprzyjemne, co? Ja też przez osiem miesięcy leżałam w gipsie, ale zdążyłam już o wszystkim zapomnieć...

W pokoju nie było żadnego krzesła. Solange usiadła na łóżku, obok Emanuela. Znajdowała się tak blisko, że czuł jej perfumy, nierozróżnialną mieszankę mandarynki i lawendy, świeży zapach, którym przesiąknięta była jej prosta koszulka, niebieska flanela z białym, wykładanym jak u pensjonarek kołnierzykiem. Cały wdzięk tej młodej kobiety brał się z pewnej surowości w ubiorze, w gestach, w zapachu...

Rozmawiali o błahostkach, podczas gdy Emanuel zastanawiał się usilnie, jak by tu ją skłonić, żeby znowu do niego przyszła, ale sama.

Zaczął nagle jęczeć, najpierw bardzo dyskretnie, a później nasilając jęk aż do tego konkretnego punktu, kiedy inni mogliby go słyszeć i myśleć jednocześnie, że chce go stłumić.

– Co ci jest? – zapytała Solange.

Emanuel zamilkł i zmarszczył brwi. Musiał to dobrze zagrać, na tyle wyraziście, aby było widać, że cierpi, ale woli po stoicku milczeć.

– Nie, nic, zupełnie nic – powiedział z tak wielkim wysiłkiem, że aż ich przestraszył.

– Przecież widzę, że coś cię boli, musisz nam powiedzieć... Nigdzie nie idę, póki nie dowiem się, co cię boli – powiedziała Solange z nagłym współczuciem.

Emanuel nie posiadał się z radości, ale zaprotestował ponownie tym samym melancholijnym tonem.

– Zapewniam was, że to nic takiego... Zaraz mi przejdzie...

Solange wyglądała na szczerze zmartwioną.

– No powiedz, co ci jest...

– To wątroba... – wymamrotał Emanuel. Nigdy w życiu nie bolała go wątroba.

– Gdzie cię boli? Pokaż... – powiedział Ernest.

Emanuel nie bardzo wiedział, gdzie się odczuwa ból podczas ataku wątroby. Pokazał otwartą dłonią całą klatkę piersiową i połowę brzucha. Powinno wystarczyć.

– Oho! – zdziwił się Ernest. – Masz bóle promieniujące do miednicy...

– I właśnie teraz musiałeś dostać ataku, kiedy leżysz w gipsie...

– To straszne – wyszeptał Emanuel i tak szczerze się nad sobą rozczulił, że prawie łzy napłynęły mu do oczu.

– I co teraz? – zapytała Solange.

W tej samej chwili przyniesiono mu tacę z jedzeniem. Emanuel padał z głodu.

– Lepiej nic teraz nie jedz – poradził Ernest.

– Tak, tak... – przytaknęła Solange. – Herbata, zwykła herbata i sucharki.

Salowa odeszła z pełną tacą, ciągnąc za sobą przyjemny tren zapachu ciepłej zupy. Teraz Emanuel posmutniał naprawdę, ale musiał odegrać swoją komedię do końca.

– Już mi lepiej – wymamrotał.

– Leż spokojnie, dobrze? Przejdzie ci. Tak strasznie żałuję, że nie mogę dłużej zostać – powiedziała Solange, spoglądając na zegarek. – I bardzo mi przykro, że musisz tak cierpieć...

Emanuel znów wykrzywił twarz w krótkim ataku kolki wątrobowej, który zniósł jednak nad wyraz dzielnie.

– Żeby tylko to... – szepnął. – Wszystkie bóle, wszystkie gipsy są niczym w porównaniu z tą straszną, przeraźliwą męką samotnego leżenia w pokoju... Dzień w dzień...

Ernest pojął teraz wszystko i chrząknął aprobująco.

– Dlaczego nie odwiedzasz go częściej? – zapytała Solange Ernesta, ale ten milczał, podczas gdy Emanuel ciągle pojękiwał.

– No dobrze, w takim razie ja przyjdę cię odwiedzić – powiedziała bohaterko Solange. – Tylko kiedy? – Zastanowiła się przez chwilę. – Na przykład w niedzielę. W niedzielę mam wolny cały dzień...

– Dziękuję... Dziękuję za wszystko – jęknął Emanuel w ostatnim podrygu poniżenia i błazenady.

– Tylko nie zapomnij – powiedział Ernest.

Wyszli oboje. Zostawszy sam, Emanuel mógł się wreszcie trochę odprężyć. Właśnie przyniesiono mu herbatę.

– Resztę też – polecił. – Proszę przynieść całą tacę... Z jedzeniem... Jestem głodny... Atak mi przeszedł...

I ku ogromnemu zdumieniu salowej odesłał anemiczny syropowaty napój.

Po obiedzie Emanuel nie mógł narzekać na brak towarzystwa. Przyszło go odwiedzić wielu chorych. Pierwszy zjawiał się Tonio. Był bardzo przybity: przed paroma dniami przyjechał z Polski krewny pani Wandeskiej, podobno jej kuzyn, który miał ją zabrać do domu.

– I co ja pocznę sam? – gryzł się.

Dręczyła go zwłaszcza zagadka tego młodego kuzyna o całkiem miłej aparycji, który równie dobrze mógł być kochankiem...

Później z krótką wizytą przyjechał na swoim wózku Zet, a pod wieczór, kiedy Emanuel znów został sam, przyszedł Quitonce, pensjonariusz poruszający się o dwóch laskach i rzucający nogami na boki.

Ten został trochę dłużej.

Był jeszcze dość młody, ale miał już przyprószone siwizną skronie. Wydawał się nigdy nie myśleć o swojej ułomności. Sam to zresztą przyznał.

– Rozumiesz, ja choruję od dziecka. Znam wszystkich lekarzy, wszystkie pielęgniarki, wszystkie sanatoria w Europie. Tak jak istnieją międzynarodowi złodzieje, co przemierzili cały świat i wiedzą, w jakim dokładnie mieście, do jakiego banku najlepiej się włamać, tak samo ja znam na pamięć geografię klinik leczących choroby kości. Mogę ci powiedzieć, w którym sanatorium w Szwajcarii są najuprzejmiejsze pielęgniarki i gdzie w Niemczech robią najlepszy gips... Jestem specjalistą... Jako pacjent etap amatora mam już dawno za sobą. Stałem się prawdziwym „profesjonalistą”.

Quitonce był synem sławnego inżyniera z Paryża. Emanuel widział kiedyś w gazecie zdjęcie jego ojca z inauguracji jakiejś ważnej budowy.

– Jesteś bohaterem choroby, nie profesjonalistą... – powiedział Emanuel.

– A co to znaczy być bohaterem? – Quitonce aż podskoczył. – Jeśli bycie bohaterem to osiągnięcie czegoś na tym świecie, to ja nie jestem żadnym bohaterem, bo niczego nie osiągnąłem. Zaraz ci powiem, co to jest heroizm chorych..

Przerwał na chwilę, żeby wziąć oddech. Cierpiał na astmę, co nadawało jego sposobowi mówienia spokoju i wręcz uroku. Ta spokojna mowa, na jednostajnym tonie, utrzymywała się jednak tylko tak długo, jak długo Quitonce siedział na krześle. Gdy tylko wstawał, uruchamiał się szarpiący mechanizm nóg, a wraz z nimi zaczynała się trząść również reszta jego ciała, jak fabryka, która drży cała, kiedy pracuje w niej potężny silnik.

– Aby być bohaterem, osiągnąć jakiś cel – ciągnął Quitonce z lekkim zmęczeniem w głosie – potrzeba pewnej szczególnej energii i szczególnej woli, niezbędnej do pokonania najróżniejszych trudności. No dobrze, ma je każdy chory. W ciągu roku przeciętny chory zużywa dokładnie tyle energii i woli, ile potrzeba do zdobycia całego imperium... Tyle że jest to czyste marnotrawstwo. Dlatego chorzy mogą być nazwani co najwyżej bohaterami negatywnymi. Każdy z nas jest „tym, który nie był Cezarem”, mimo że spełniał wszystkie warunki, żeby nim być. Rozumiesz? Mieć wszelkie dane ku temu, żeby być Cezarem, i być... chorym. To najbardziej ironiczna forma bohaterstwa.

Pocierał ręką twarz jak maskę. Wydawał się zresztą zaprzątnięty zupełnie czymś innym niż to, o czym mówił.

– Za dwa tygodnie albo za miesiąc, nie wiem dokładnie kiedy, znów trzeba będzie mnie operować. Dwunasta operacja w moim

życiu... Obcięto mi już zgniłe palce, usunięto kawałki czaszki. Spójrz na te blizny... O tutaj... I tam też... Ech, gdyby oprócz tego wszystkiego trzeba mi jeszcze było bohaterstwa, by znieść tę nową próbę, popełniłbym samobójstwo... Nie wytrzymałbym...

– A jednak zniesiesz ją – powiedział Emanuel.

– Pewnie, pewnie... Jednak nie będzie to miało nic wspólnego z bohaterstwem... Ani z odwagą... Ani z nadzieją... Z niczym... Zachowałem na tę operację najzupełniej neutralne uczucie, takie na przykład, jakie towarzyszy mi, kiedy wypijam szklanę wody... Ani to odwaga, ani tchórzostwo... Tak jakbym wypijał szklanę wody, i tyle.

Znów potarł ręką policzek i zamilkł z twarzą ukrytą w dłoni. W pokoju zrobiło się już ciemno, ale Emanuel nie chciał zapalać światła, żeby nie niszczyć magii tego początku przyjaźni.

– Wszystkiego w życiu próbowałem – powiedział Quitonce. – Zznałem całej gamy uczuć, od bólu po... chciałem powiedzieć „rozkosze”... po głupstwa... Zapal na moment światło!

Wyjął z kieszeni pękaty portfel i zaczął w nim szperać.

– Popatrz na to...

Wręczył Emanuelowi plik zdjęć.

Wszystkie były pornograficzne, zresztą dość dobre. Na wszystkich pojawiała się ta sama naga postać muskularnego mężczyzny, preżącego dumnie swą męskość, oraz dwie kobiety o wyjątkowo delikatnie wyrzeźbionych ciałach.

Emanuel, spojrzawszy uważniej, zorientował się, że hiperseksualnym mężczyzną jest nie kto inny, tylko Quitonce.

– Zawsze odnajdowałem siły między dwiema operacjami – wyjaśnił. – I co ty na to? Robi wrażenie, co?

Emanuelowi nie dawała spokoju jedna rzecz, nie ośmielił się jednak o nią zapytać. Czy podczas aktu seksualnego Quitonce tak samo rzuca nogami jak podczas chodzenia? Wizja rozprzęgniętego

frenetycznie pajaca, rzucającego i podrygującego całym ciałem podczas miłosnych igraszek, była wprost żenująca. Podziękował i oddał zdjęcia.

– Robi wrażenie, co? – powtórzył Quitonce, mlasnąwszy językiem.

Tej nocy Emanuelem targaly straszne żądze. Było to jedyne w swoim rodzaju, straszliwie jednostronne cierpienie. Seksualność przerodziła się w żywy ból, w gwałtowną wewnętrzną torturę samej skóry, która – wraz z jego wyczerpującą męskością – wyrwała mu z podbrzusza całą resztę niezbędnego dla snu spokoju. Był to stan najwyższej tkwiącej głęboko w ciele przytomności, najwyższego niewolniczego wysiłku...

A później, nad ranem, pod wyschniętym już gipsem, zaczęła go swędzieć skóra. Było to nowe cierpienie, nowa męczarnia, nowe zimne, halucynacyjne rozdarcie. Na próżno Emanuel tarł gorset bezsilnymi rękami. Paznokcie jedynie rysowały grubą gipsową tunikę. Wewnątrz skóra zapalała się w pewnych miejscach i podrażnienie wzmagало się gwałtownie, jak po polaniu kwasem albo pod dotknięciem małego pazura sunącego tam i z powrotem po najdelikatniejszej siatce nerwów.

Zamykał oczy i zaciskał mocno powieki, czując, że nie zniesie dłużej tego jednostajnego, obłądnego swędzenia. Próbował się drapać, ocierając się od wewnątrz o ściany gipsu, ale od natarczości swędzenia zapalały się nowe obszary skóry, a równolegle z jej podrażnieniem narastała tortura seksualności.

Emanuel raz jeszcze naprężył mocno wszystkie włókna twarzy i skupił się w najwyższym oporze.

Z zaciśniętymi pięściami i powiekami, skulony i zredukowany do minimum, postanowił zaczekać w ten sposób na wypalenie się ognia, który ogarnął jego ciało.

Nadeszła wreszcie niedziela. Deszcz ustał. Wszyscy kuracjusze zostali wyprowadzeni na powietrze. Leżeli w szeregu na wózkach pod wąską budą z brudnego, wypłowiałego na deszczu płótna, które kiedyś było żółte. Przed nimi wznosił się obsesyjny i ponury budynek sanatorium. Kilka nędznych metrów suchego trawnika i ze dwa krzewy zwiędłych róż składały się na cały ogród. Był to skromny i smutny ogród, zamknięty między murami jak nieszczęśliwe zwierzę w klatce.

Emanuel okrył się dobrze dwoma kocami, aby nie przewiały go pod gipsem zimne prądy powietrza. Od oceanu wiała ostra wilgotna bryza, nasycona mocnym zapachem alg i zgnilizny.

Czekał niecierpliwie na Solange, choć wiedział, że nie przyjdzie z samego rana.

Zapalił papierosa i zaciągał się spokojnie. Dym wił się błękitną, przerywaną wiatrem smużką, którą Emanuel śledził bezwładnie, milcząco i bezmyślnie.

Cała ta straszna noc męczarni i szarpaniny rozplynęła się w przedziwny sposób w bezkresnym powietrzu jesiennego poranka. Toaleta zimną wodą w pokoju orzeźwiła go tak, jakby założył na twarz i ręce nową skórę. Absurdalnie i niepotrzebnie przetaił mokrą gąbką również gipsową tunikę, jakby tylko dla moralnej satysfakcji, po czym włożył jak należy koszulę, niczym na dokładnie umyte ciało. Gips wewnątrz wysechł już prawie zupełnie.

Emanuel został w ogrodzie, w pewnym oddaleniu od innych chorych, do samego obiadu. Po południu zamknął się w pokoju, podekscytowany oczekiwaniem.

W sanatorium panowała pusta atmosfera nudy niedzielnych popołudni. Od czasu do czasu w jakimś pokoju rozbrzmiewało chrobotliwe matowe echo płyty gramofonowej, po czym znów zapadała cisza, jeszcze bardziej przytłaczająca i hipnotyzująca. Emanuel wsłuchiwał się w najmniejszy hałas na korytarzu. Czy tym razem to Solange? Kroki zbliżały się zwodniczo i przemieniały nagle w obojętny chód kogoś innego, jak w kuglarskiej sztuczce z szybką podmianą przedmiotów.

Czekał na próżno aż do późnego wieczora.

Solange nie przysłała ani tego dnia, ani następnego. Doprowadzony do ostateczności, wysłał przez sanitariusza list do pensjonatu, w którym mieszkała. Jednak to też nie odniosło żadnego skutku.

Upokorzony Emanuel przeżuwał teraz opanowaną, ale ciągle silną złość. Oczekiwanie przerodziło się w pragnienie, aby nigdy więcej już jej nie widzieć, ale to pragnienie był równie świadome i uporczywe jak poprzednie. Mijała kolejna godzina, kolejny dzień „oczekiwania, aby nigdy jej już nie widzieć”. Wiedział, że przypadek postawi mu ją znowu przed oczami, i odmierzał prawdopodobny czas, w jakim to spotkanie miało nastąpić.

Pewnego wieczoru, pod koniec tygodnia, Solange zapukała nieoczekiwanie do drzwi. „No i co teraz powie? Jaki banalny i absurdalny powód poda?” – pomyślał Emanuel. Solange wpadła do pokoju z przyspieszonym oddechem i wypiekami na twarzy. „Biegła? Czemu się tak śpieszyła? Co za komedia!” – pomyślał. List dostała cztery dni temu, więc miała dosyć czasu, żeby przyjść bez pośpiechu...

W ręce trzymała otwarty list. Była ubrana w prosty podróżny płaszcz.

– Jesteś na mnie zły, że nie odpisałam od razu? – zapytała, widząc jego nadąsaną minę.

Emanuel nic nie odpowiedział.

– Jadę prosto z dworca. Byłam w pensjonacie tylko przez moment, tyle ile mi zajęło przeczytanie listu. No więc... tego dnia, kiedy tu byłam ostatnio, mój szef miał ważne sprawy do załatwienia w Paryżu i zabrał mnie ze sobą... Od pięciu dni stukam w kółko na maszynie umowy, już dostaję obłędu... Jedna tutejsza fabryka łączy się z innymi. Nie masz pojęcia, ile liczb i paragrafów mogą pomieścić brzuchy fabrykantów...

Mówiła szybko, chcąc uspokoić Emanuela, i śledziła na jego twarzy oznaki rozpodzenia.

– W niedzielę dostałam dwie godziny wolnego. To wszystko. Kupiłam sobie kanapkę i poszłam do kina, trochę odpocząć, zerwać się i najeść.

Emanuel poczuł, że cała szorstka obojętność, którą szykował na jej powitanie przez te wszystkie dni, rozplynęła się nagle jak dym po wybuchu. Miał ochotę złapać ją za rękę, całować je, wyznać jej, że ją kocha, by ten nudny moment każdego początku miłości minął jak najszybciej.

Solange zdjęła płaszcz.

Emanuel patrzył na nią, jak stała przed nim, wysoka, zwyczajna, i aż przeraził się jej oszałamiającą obecnością, całkowitą, niewyrażalną, zawartą nagle w tym strasznie pustym do tej pory pokoju.

Znów usiadła na łóżku, obok niego, jak kilka dni temu. Zawrotne uczucie rzeczywistości po tak długim oczekiwaniu...

Podczas podróży jej suknia przesiąkła kwaśnym powietrzem pociągu, ale przez przejrzystość tego zapachu Emanuel wyczuwał dobrze sobie znaną woń lawendy.

W końcu zapytał ją, czy nie chce czegoś zjeść. Poprosiła o herbatę i o pomarańczę.

Patrzył na nią w świadomym rozmarzeniu, jak jadła pomarańczę. Z każdym gestem realizowała się prosta pemia odnalezienia. Solange podzieliła owoc na cztery części i wprost wbijała się w czerwony, soczysty miąższ, tak głęboko, że aż zostawały jej między zębami białe włókna.

– Wybacz, że tak pochłaniam tę pomarańczę jak jakaś dzikuska – przeprosiła.

Emanuel od kilku minut czuł się przytłoczony ciężarem gipsu.

Dokładnie od chwili, kiedy przeszło mu przez myśl, że Solange mogłaby być jego kochanką.

Ale mniej więcej w takim samym stopniu, w jakim ciążył mu gorset, przeszkadzała mu również wyraźna dezynwoltura Solange. Szukał kilku prostych i bezpośrednich słów, ale wszystkie układane w myślach zdania zacierały się momentalnie wobec jej zwykłej obecności.

Przez chwilę rozmawiali jak przyjaciele.

Solange opowiedziała mu o swoich perypetiach podczas podróży i opisała swojego szefa jako „finansistę, którego pierwotne powołanie na pewno długo wahało się między pokusą zostania albo rzeźnikiem, albo hyclem”.

Emanuela przesładowało pragnienie złapania jej dłoni w swoją. Będzie się opierać? Cofnie ją? Dłoń Solange spoczywała obojętnie na żelaznej ramie łóżka.

Paraliżowała go zwłaszcza wyrazistość własnej wyobraźni: w myślach widział już ich dawno skonsumowaną sielankę, śledził dokładnie ich miłosne zachowania, które jeszcze nie miały miejsca, przypominał sobie nagle rzeczy, które jeszcze się nie wydarzyły, żywe sceny, odwracające gwałtownie jego uwagę i spowijające atmosferę terażniejszości w spokój zdarzeń dawno minionych...

Następnie wszystkie jego myśli zakotwiczyły nagle w niemożliwości złapania jej dłoni; w paraliżu najprostszego i najbardziej oczywistego gestu.

W końcu, zebrawszy resztki sił, wyciągnął ku niej rękę, ale gest ten był tak szybki i brutalny, że Solange aż zamilkła przestraszona.

Ścisnął teraz mocno jej dłoń swoimi wychudłymi palcami, zamykając oczy jak w hipnotycznym transie.

Solange patrzyła na niego zdezorientowana. Kiedy jednak Emanuel przyciągnął ją do siebie, zrozumiała wszystko i poddała się bez protestu jego ustom. Wargi drżały jej lekko. Zapach jej włosów palił Emanuela równie mocno jak fascynująca niespodzianka pocałunku, jak jasne ciepło jej odkrytego ramienia.

– Dobrze wiem, co robię – szepnęła. – Po to tu przyszłam.

Objęła go i przyłgnęła gorącym policzkiem do jego policzka.

I wtedy stało się coś strasznego. Przez tych kilka chwil Emanuel zdążył zapomnieć, że ma na sobie gips. Teraz, w ramionach Solange, ciążył mu on nieznośnie. Solange obejmowała kamienne popiersie. Emanuel na próżno wodził rękami po jej ramionach, gips ustanawiał między nimi barierę obojętności i tworzył nową organiczność, bezosobową i niesamowicie twardą... Niemal chciało mu się płakać ze złości. Ucisk gorsetu jeszcze bardziej burzył w nim krew i wyzwalał gwałtowne żądze. Zaczął bezwiednie pieścić jej ramiona, a potem uda. Wyczuł nagle materiał sukni, brzeg pończoch i gładkość skóry powyżej.

Wyciągniętą ręką udało mu się zgasić światło. W ciemności wszystko przyspieszało w coraz bardziej gwałtownym pożądaniu sprowadzającym się do bezradnej szamotaniny na wózku i zgrzytania zębami.

Nagle, kiedy Emanuel wsunął rękę pod jej suknię i poczuł ciepłe ciało, a zaraz potem niewymowny, gorący kąć złączonych ud, Solange wyszeptała:

– To ci może zaszkodzić!...

Emanuelem wstrząsnął wewnętrznym dreszcz i jego straszne oszołomienie ożywiło się znów gwałtowniejszym uniesieniem i pożądaniem. Słowa szeptane przez nią rozpałały mu krew jak gorący, żrący płyn. „To ci może zaszkodzić”, powtarzał, „to!..”, to znaczy to, czego pragnął, to, co go teraz dręczyło i wstrząsało nim tak gwałtownie.

Dotykał teraz jej sekretnej kobiecości, a jego męczarnia stawała się prawie wściekła.

Na próżno próbował zsunąć się obok na łóżko; gips unieruchamiał go i przykuwał do wózka. Solange padła na niego na całej długości, na przygwożdżone gorsetem ciało, jak na nieżywego manekina.

Teraz gips jeszcze bardziej krępował swobodę i naturalność ruchów...

Nagi Emanuel zdołał jedynie wdrzeć się konwulsyjnie między jej zaciśnięte uda, tam, gdzie gorące ciało stało się przez chwilę zwodnicze... Przez chwilę, kiedy uniesienie wzrosło niepomiarne i rozładowało się w maksymalnym wyczerpaniu.

Było to sprowadzenie żywego, normalnego aktu, do przykrej symulacji, którą Emanuel czuł się upokorzony i zawstydzony.

Rad nierad zapalił światło. Gorzka, wyczerpująca rozpacz brzęczała mu w głowie niczym niespożyty, niemożliwy do zatrzymania mechanizm.

Solange pogładziła go po czole, po czym, czując cały jego smutek, przylgnęła znów policzkiem do jego policzka.

– Nie smuć się... Bardziej niż leżeć w łóżku obok ciebie wolałabym być twoim psem i spać w proggu. To jest całe poświęcenie, do jakiego czuję się zdolna...

Emanuel poczuł, że jakaś część jego życia, wolna i ważna, zniknęła, może bezpowrotnie. Jej miejsce zajęła spokojna, bolesna gorycz, niczym nowe wewnętrzne światło pełne smutku.

W tym tygodniu miało miejsce zdarzenie, które bardzo poruszyło Emanuela.

Tonio od kilku dni nie mógł sobie znaleźć miejsca. Z rozchełstaną na piersiach koszulą, ciągnąc za sobą krawat jak pies łańcuch, snuł się nieprzytomnie po korytarzach. Zbliżał się dzień wyjazdu pani Wandeskiej.

– Ech! Żebym chociaż wiedział, czy ten chuderlawy blondyn, co nie odstępował jej na krok, to jej kochanek, czy nie – powiedział jednego wieczoru do Ernesta.

W jadalni zachowywał jednak swoją dawną postawę, pełną godności i obojętności. Wchodził wsparty na jednej tylko lasce i unosił lekko głowę, rzucając roztargnione spojrzenia, kiedy witał panią Wandeską. Próbował opanować rozpacz z zimną, męską dumą, jednak z oczu wyzierała mu cała melancholia nieprzespanych nocy.

Od czasu do czasu wymykał mu się spod kontroli jakiś prosty gest, drobny ruch, bądź pojawiał się w bladości twarzy wyraźniejszy odcień, i to zdradzało jego prawdziwy stan.

Biedny chłopak próbował też jak najmniej utykać, gdy miał zdrowego kuzyna o rumianych policzkach.

Zawsze gdy Emanuel wyjeżdżał powozem, zastawał Tonia przy stoliku przed podrzędnym barem na esplanadzie, z błędnym wzrokiem, nad szklanką z żółtym płynem, który sączył przez słomkę. Wydawać by się mogło, że to oranżada, ale było to coś zgoła innego.

– To wynalazek właściciela – wybełkotał Tonio. – Bardzo dobre... Wódka z rumem i paroma żółtkami. Bardzo dobre i krzepiące...

Tak krzepiące, że kiedy wstawał od stolika, ledwie mógł się utrzymać na nogach.

Na próżno Ernest i Emanuel próbowali go przekonać, że jego podejrzenia są bezpodstawne.

Pewnego popołudnia, bardziej pijany niż zwykle, nie mógł już dłużej opanować niepokoju. Pobiegł do Ernesta. Do głowy przyszła mu pewna myśl.

– Pokój Emanuela przylega do pokoju pani Wandeskiej, zgadza się?

– W rzeczy samej – odparł Ernest.

– W pokoju Emanuela widziałem szafę, za którą na pewno są drzwi. Co by było, gdyby dziś wieczorem?... Rozumiesz?

Ernest udał, że nie wie, o co chodzi.

– Jak to? Nie rozumiesz? Pójdę tam wieczorem, kiedy przychodzi do niej kuzyn, odsunę szafę i będę słuchał pod drzwiami, i wtedy dowiem się na pewno, czy...

Straszne przypuszczenie nie chciało mu przejść przez gardło, jakby bał się je usłyszeć ze swoich ust.

– Nie wydaje ci się, że powinniśmy zapytać Emanuela? – powiedział Ernest.

Poszli do niego, ale go nie zastali. Był na przejażdżce powozem po plaży.

Tonio płonął z niecierpliwości. Pomysł ten tkwił w jego głowie i miotał się w niej jak fryga, rozrywając wszystkie siatki myśli jak nitki pajęczyny.

I tak musiał czekać do wieczora, ale pobiegł poszukać Emanuela na plaży, jak gdyby nerwowość mogła przyspieszyć czas, popędzając go jak batem.

Dyszząc ciężko, wspiął się na wzgórze wychodzące na ocean. Irytacja, zazdrość i odurzenie przekształciły się teraz w dzikie, uparte pragnienie odnalezienia przyjaciela.

Było to maksymalne skupienie wszystkich ważnych uczuć na drobnym i nieznaczącym fakcie, absurdalne skierowanie wszystkich sił w wąski rynsztok.

Zastał plażę zupełnie pustą. Wszędzie rozciągał się piasek, jakby podkreślając pustkę tego miejsca, zaaranżowaną specjalnie po to, aby go doprowadzić do ostateczności.

Spacerował przez chwilę po wybrzeżu, chaotycznie, brzegiem ogromnego spokoju, jak po pustyni swojego smutku. Słońce zachodziło z jak zawsze głupią i bezsensowną wspaniałością natury pośrodku poważnych problemów.

Wrócił do sanatorium i padł ciężko na fotel w holu.

Posłał chłopaka z personelu po papierosy.

– Jakie kupić? – zapytał.

– Weź najtańsze – odpowiedział Tonio.

Był to dla niego nowy rodzaj umartwienia.

Chwycił gazetę, ale litery, skacząc mu kapryśnie przed oczami, rozplywały się zupełnie lub zlewały w bloki niczym w nieprzekraczalne bariery. Śledził czas na ogromnym zegarze ściennym, ale powierzchnia cyferblatu z trudem pochłaniała jego niecierpliwość, filtrując ją zbyt wolno w dokładnie odmierzonych minutach.

Zapalił papierosa, potem jeszcze jednego...

Był tak pochłonięty czekaniem, tak skoncentrowany na swoich myślach, że nawet nie poznał Emanuela, kiedy ten przejechał pociągiem na wprost otwartego okna. Przez kilka sekund ów prosty fakt, na który czekał z takim napięciem od dwóch godzin, kołatał mu się po głowie, wywołując konsternację. „Wrócił Emanuel... No i co z tego?...” Aha! Przypomniał sobie, że to właśnie z nim chciał rozmawiać.

Wyrzucił gwałtownie papierosa i pobiegł jak szalony na dziedziniec, by wyjść Emanuelowi na spotkanie.

Ten nie był jednak sam. Towarzyszyła mu Solange.

Tonio musiał więc poczekać jeszcze parę minut, aż dziewczyna sobie pójdzie. Weszli do sanatorium. Z trudem tłumaczył, o co chodzi, nie mogąc się wysłowić.

W tym samym momencie minęła ich na korytarzu pani Wandeska, wieziona przez sanitariusza w stronę jadalni.

Tonio popatrzył za nią przeciągle. Obok wózka siedł jej kuzyn i czytał gazetę.

– Dziwka! – Tonio zgrzytnął zębami.

Po czym szybko się zmitygował.

– Udaj, że tego nie słyszałeś...

I zagryzł lekko wargi, aby przywrócić w nich krążenie krwi.

Wieczorem, zaraz po kolacji, przyszedł do pokoju Emanuela. Był strasznie zmęczony całym tym dniem i musiał chodzić o kulach. Odsunął wolno szafę, ale zaraz się zreflektował.

– Mam podsłuchiwać pod drzwiami? Nie, nigdy, przenigdy!

Wyszedł bez pożegnania, ale zrobił tylko kilka kroków na korytarzu i wrócił do pokoju. Zapadła niezręczna cisza. Emanuel wziął książkę, otworzył ją na chybił trafił i pogrążył się w lekturze. Winda wozila chorych. Słyszać było jej stłumiony szmer, a później przerwy na piętrach, kiedy się zatrzymywała.

Teraz zatrzymała się znów na trzecim. Tym razem była to pani Wandeska. Jej wózek lekko skrzypiał, więc Emanuel poznał go od razu. Nauczył się rozpoznawać wszystkie odgłosy w sanatorium. Znał doskonale żołnierski krok sanitariuszy i potajemny pielęgniarek chodzących na palcach... Znał nienasmarowane kółka każdego wózka. W sąsiednim pokoju słyszać było teraz każdy ruch...

– Na razie jest sama – powiedział Tonio.

Chciał podnieść głowę, żeby spojrzeć Emanuelowi w oczy, ale szybko spuścił wzrok... Emanuel zgasił światło.

– Tak, tak lepiej – szepnął Tonio. – To szczyt chamstwa tak podsłuchiwać pod drzwiami...

– Psst! Cicho!... – przerwał mu Emanuel.

Weszła sanitariuszka. Słysząc było, jak rozbiera wolno panią Wandeską, coś do niej szepcząc. W ciemności każdy odgłos odznaczał się bardzo wyraźnie: spadająca na krzesło suknia, szelest koszuli nocnej, przesuwanie książki po stole... Później dziewczyna wyszła i znów nastała cisza. Emanuel i Tonio milczeli w ciemności. Jak długo tak siedzieli? Minęło kilka minut albo i więcej, może nawet pół godziny.

Nagle ktoś podszedł do sąsiednich drzwi.

Napięcie ich obu ogromnie wzrosło. Emanuel czuł, jak pulsują mu zaciśnięte dłonie.

– To on – szepnął Tonio.

Rozległo się dyskretne pukanie, po czym ktoś wszedł do pokoju. Słysząc było niewyraźne szepty.

– Tak, tak, zamknij... – powiedziała głośno pani Wandeska i klucz obrócił się w zamku.

Teraz znów zapadła cisza.

Zaczęły się stłumione szepty. Słysząc było przemieszczające się po pokoju kroki. Od czasu do czasu pani Wandeska śmiała się lekko. Po drugiej stronie, w ciemności, panowała atmosfera wytężonej ciekawości i skrywanego strachu, jak gdyby ni stąd, ni zowąd ściana mogła stać się przezroczysta, a oni przyłapani na podsłuchiwanie pod drzwiami.

W miarę jak oczekiwanie się przedłużało, odgłosy stawały się coraz mniej wyraźne. Wewnętrzny szum wytężonej uwagi zagłuszał szepty dochodzące z pokoju obok. Tonio przycisnął rękę do serca, by uciszyć jego przeraźliwe bicie.

Nagle obaj wstrzymali oddech.

Teraz dało się słyszeć delikatne odgłosy pocałunków, jakby wargi muskały skórę tu i tam, namiętnie, bezwiednie... Wyobrażenia Tonia była rozpalona jak pochodnia. Słuchał z niepokojem stłoczonym w głowie, tak jakby spłynęła mu tam nagle cała krew. Czuł, jak płoną mu policzki.

Teraz wszystko było już jasne. Robiła mu miejsce obok siebie... Znów śmiechy... Tonio zaciskał zęby. Miał ochotę płakać, biegać po korytarzu, krzyczeć. Przez myśl przemknęło mu nawet, aby rzucić się do szybu windy. Ale jak? Kiedy?

Emanuel poczuł nagle gorącą, ciężką dłoń na swojej dłoni.

Z sąsiedniego pokoju dobiegło kilka nowych szmerów, kilka szybkich, rytmicznych ruchów i znów zapadła cisza... Splecione ciała zwierają się... uderzają o siebie, słysząc jakby jęki... Czy to wszystko działo się naprawdę? Poderwał ich trochę głośniejszy dźwięk... Znów kroki, a następnie kubek wody wlanej nagle do miski. Odgłos równie prawdziwy jak eksplozja ich napięcia.

– Idę do nich – powiedział nieprzytomnie Tonio i wstał. Emanuel nie wierzył, że Argentyńczyk naprawdę się odważy, ale usłyszał, jak tamten chwyta za kule. Wyciągnąwszy po omacku rękę, Emanuel zdołał złapać jedną z kul. Tonio próbował mu ją wyrwać.

– Tonio, uspokój się, poczekaj – szeptał Emanuel, nie wiedząc, co powiedzieć, żeby go powstrzymać.

Wszystko słysząc było tak wyraźnie...

– Idę do nich – wyszeptał oszołomiony Tonio. – Chcę ich zobaczyć nago.

Złapał mocno za kulę, wyszarpnął ją i wyszedł, zostawiając otwarte drzwi.

Teraz w całym sanatorium słysząc było już tylko jego kroki na korytarzu.

Tonio zatrzymał się przed drzwiami sąsiedniego pokoju i nasłuchiwał uważnie, chcąc lepiej zarejestrować ich ostatnie ruchy i dokładniej wyobrazić sobie nieprzyzwoitą pozycję, w jakiej ich przyłapie.

Załomotał do drzwi.

Uderzenia rozniosły się w ciszy straszliwym echem.

– Kto tam? – zapytał wystraszony głos pani Wandeskiej.

Emanuel czekał z przejęciem na odpowiedź Tonio, lecz temu jakby słowa ugrzęzły w gardle i tylko zastukał raz jeszcze.

– Kto tam? Kto tam? O co chodzi?...

– To ja, Tonio... Przyszedłem życzyć pani dobrej nocy...

– A, to ty! Ale mnie przestraszyłeś – dał się słyszeć znów głos pani Wandeskiej. – Ale po co ten hałas? Co się stało?

– Proszę otworzyć – wrzasnął niemal Tonio.

– Już... Chwileczkę... Poczekaj...

W pokoju obok ktoś zaczął prędko sprzątać porozrzucane rzeczy, po czym rozległ się odgłos przekręcanego w zamku klucza i otwieranych drzwi.

Dla Emanuela nastąpiła chwila osłupienia i gorączkowego wyczekiwania.

– Dobry wieczór... Przyszedłem życzyć pani dobrej nocy – z sąsiedniego pokoju dobiegał teraz głos Tonio, ale tak zmieniony i zmieszany, jakby Tonio dostał obuchem w głowę. Pani Wandeska coś mu tłumaczyła...

Zamiast oczekiwanej awantury Emanuel usłyszał jedynie bardzo spokojny szept.

Tonio zresztą szybko stamtąd wrócił. Emanuel zapalił światło. Twarz Argentyńczyka była przeraźliwie zmieniona. On sam zaś, zupełnie wyczerpany, włókł za sobą kule niczym połamane skrzydła.

Patrzył na Emanuela wzrokiem człowieka wyrwanego z głębokiego snu.

– Co to było?

Ale Tonio nie mógł wydobyć z siebie ani słowa.

W końcu zaczął coś bełkotać niezrozumiale.

– To była pielęgniarka... Kąpała ją, jak co tydzień... Tak jak innych chorych... A te odgłosy... to było nalewanie wody... To wszystko, co wzięliśmy za... to były tylko... odgłosy mycia... Plusk wody, w której ją myła... pielęgniarka...

I wbił wzrok przed siebie, osłupiały i strasznie zawstydzony. Następnie, z ogromną siłą, jakiej nikt by się po jego wiotkim, zmęczonym ciele nie spodziewał, zaczął walić się kulą po głowie.

– Ale ze mnie cham! – mamrotał. – Ale ze mnie cham!...

Emanuel częściej jeździł teraz na przejażdżki powozem. Towarzyszyła mu Solange, która starała się jak najszybciej kończyć pracę, by mieć wolne popołudnia. Zaczęła się straszna jesienna pogoda z częstymi mżawkami, zasnuwającymi ulice drobną siatką w szarym, piwnicznym świetle, i z silnymi podmuchami wiatru w tym wyludnionym mieście, w zwiewne i strasznie ulotne popołudnia... Plaża była pusta. Ocean obmywał blade fale burożółtą pianą. Jeździli przeważnie na wieś, wąskimi, opuszczonymi drogami, po wydmach porośniętych zimową roślinnością; ogromne trawy niczym wystające z piasku miecze i uschłe osty na bezkresnych przestrzeniach jak pokrywające ziemię najprawdziwsze zsiniałe rany.

Czasami zaskakiwał ich deszcz i chociaż podnosili budę powozu, woda wdzierała się do środka, zraszając im policzki. Solange wycierała Emanuelowi twarz, podczas gdy on poganiał dalej konia. Na poboczu drogi zatrzymywali się w ustronnym miejscu pod wysokim murem jakiejś wiejskiej posiadłości. Znalazłszy schronienie przed burzą i przed całym światem, obejmowali się bez entuzjazmu z policzkami mokrymi od deszczu. Solange wychodziła z powozu i zrywała na polu chwasty o ostrym i dzikim zapachu ziemi albo liście, które wydzierały trupa woń, jeśli potarło się je przez chwilę w dłoni. Wyściełała cały powóz ostami i przybierała jego budę ogromnymi liśćmi polnych roślin, barwy ponurej i smutnej zieleni. I wracali tak, powozem przyozdobionym i wyłożonym chwastami jak cygański wóz.

Często zatrzymywali się w wiejskich zajazdach z rumianymi szynkarkami ubranymi dostojnie w czarne suknie z koronką, jak na niedzielę. Jedli tam mięso o świeżym smaku krwi, a do picia podawano im produkowane przez chłopów ciemne gorzkie piwo, w którym znajdowali jeszcze łuski ziaren. Był to najsmaczniejszy trunek, jaki Emanuel w życiu pił.

Jednego razu, w gospodzie zagubionej wśród gęstwiny i zarośli, zamówili kawę z mlekiem i zaserwowano im na tacy, razem z dwiema łyżkami, gorący, parujący płyn w dwóch wielkich talerzach do zupy. Emanuel był nieco zdziwiony.

– Tak się u nas je kawę – powiedział właściciel, chłop równie surowy i zdziwały, jak odludna okolica, gdzie prowadził zajazd. – A do środka wrzucamy kawałki chleba.

I przyniósł dwie kromki grudowatego chleba, a Emanuel i Solange łamali je na kawałki i maczali w talerzach z kawą.

Jesień okrywała ich swym pochmurnym niebem jak sufit ogromnego salonu, w którym znajdowali się tylko oni. Ręce mieli zsiniałe z zimna i wiatr zaciął ostro. Była to sielanka pełna zwykłych, elementarnych spraw.

Niekiedy dłonie grabiały Emanuelowi na lejcach i zatrzymywał się wtedy, aby rozruszać palce i rozluźnić kurcz, który ścisnął je przez tyle godzin.

Solange brała je wówczas, wsuwała sobie pod bluzkę, pod koszulę, i przyciskała do swojego gorącego ciała, do rozpalonych piersi. Dłonie były jak dwie bryły lodu przyłożone do skóry, ale zamykała oczy i znosiła dzielnie ich przeszywający chłód, podczas gdy one powoli rozmarzały.

Ciepło przenikało w Emanuela delikatnymi strużkami, rozlewając się przez palce po całym ciele. Łączyli się w ten sposób przez krew i żar, aż po mroczne organiczne głębie. Ten kontakt łączył ich krwiobieg i Emanuel odnajdywał swój puls w biciu jej

serca. Przyciągał ją do siebie i całował jej włosy. Opierał na niej głowę i wdychał ciepły zapach, kobiecy, lawendowy. Była równie wspaniałym zwierzęciem jak jego koń, poza którym świata nie widział, i powtarzał:

– Jesteś tak samo piękna jak Blanchette...

Klacz, słysząc swoje imię, odwracała łeb. Było to zwierzę rasy normandzkiej z kępkami sztywnych włosów u kopyt, z krótką i twardą jak szczotka grzywą. Emanuel widział ze swojego miejsca jedynie jej mocny zad, ale gdy wołał ją po imieniu, obracała łeb i patrzyła na niego wielkimi, smutnymi oczyma człowieka proszącego o papierosa (jaka szkoda, że nie paliła – koń z fajką w zębach wyglądałby bardzo naturalnie). Emanuel podawał jej przez Solange kawałki cukru, a Blanchette chwyciła je płaskimi czarnymi wargami, obwąchując wyciągniętą dłoń.

– Jesteś tak samo piękna jak ona... Masz tak samo cudowny, szeroki zad – mówił do Solange. Następnie wsuwał rękę pod jej suknię i pieścił gorące uda, łydki i pełne plecy, wgłębienie lędźwi i pełnię jej zadu młodej klaczy.

– A którą kochasz bardziej? – spytała Solange.

– Obie kocham tak samo...

– No to my też tak samo – odpowiedziała, akcentując to „my”, solidaryzując ją zwierzęco z Blanchette.

Emanuel kładł Solange obok na wózk, przyciskał do siebie, po czym przewracał się i przygwałdził ją ciężarem swojego ciała i gipsu. Teraz tak przywykł do gorsetu, że wykonywał ruchy, o jakich kiedyś nie pomyślałby nawet, że są możliwe. Solange jęczała cicho z rozkoszy i pod przygniatającym ją ciężarem. Miejscami gips wrzynał jej się w uda i czuła ból przemieszany z miłosnym uniesieniem, niczym gorzką rzeczywistość ich surowej miłości uprawianej w bezkresnym powietrzu wydm pośrodku bezkresnego pustkowiecia.

Następnie Emanuel padał wycieńczony na wznak, z szeroko otwartymi oczami, zagubionymi w niewyraźnym białym niebie, jak w jasności bez znaczenia, pochodzącej z wewnętrznego poczucia spokoju tych chwil.

Była to błogość o gorzkim smaku, prosta i trochę brutalna, taka jak Solange.

Tak wyglądały ich wędrówki po wydmach. W niektóre popołudnia niebo się rozpogadzało i chmury złościły swoje koronkowe brzegi jak olbrzymie, wydobyte z ziemi artefakty z zachowanymi jeszcze resztkami złota na bokach. Emanuel poganiał konia w kierunku sekretnego miejsca na mostku przed zatoką, skąd zachód słońca widać było w nieskończoności odcieni krwawego kataklizmu.

Cofając się, ocean pozostawiał za sobą w zatoce tysiące wypełnionych wodą, wyżłobionych głęboko w piasku bruzd.

Zmierzch podpalał je swoją rudością, a wtedy jawiły się one na całej powierzchni niczym sieć krwi i ognia. Można by powiedzieć, że ziemię obdarto w tym miejscu ze skóry, aby odsłonić jej wewnętrzny krwiobieg, straszne płonące arterie, którymi spływały do środka rozpalone złoto i purpura. Była to chwila przeraźliwej, zapierającej dech wspaniałości.

Zachodzące w głębi słońce rozlewało ostatnie potoki krwi. Całe powietrze zaćmiewało się nagle jak roztwór o coraz to większym stężeniu, a w jego głębokim błękitcie błyszcząca sieć nabierała delikatności i precyzji stalowej konstrukcji, rozciągającej się daleko jak ogromna, dziwaczna metaliczna płaszczyzna.

Emanuel i Solange opuszczali to miejsce z duszami znużonymi pięknem.

Pewnego wieczoru, na początku grudnia, Quitonce wysłał do Emanuela list, w którym zapraszał go do siebie. Było to w przeddzień operacji i chciał się jeszcze raz z nim zobaczyć, by się „pożegnać”. W sanatorium kultywowano taki rytuał przyjaźni w przededniu ważnych wydarzeń.

Emanuel zastał Quitonce'a w łóżku, trochę bladego, owiniętego po szyję białą gazą.

– Umyli mnie, ogolili całe ciało, posmarowali jodem i owinęli w bandażę jak mumię – powiedział Quitonce. – W razie czego jestem już gotów odegrać rolę trupa...

– Cicho, nie mów tak – skarciła go Eva.

Krzątała się po pokoju, nie wiedząc, czym się zająć – układała książki na etażerce, strząsała z nich nieistniejący kurz, tak jakby pokój też należało przygotować do operacji.

Przed wyjściem jeszcze raz podeszła do łóżka Quitonce'a.

– Dobrze się czujesz? Chcesz coś do jedzenia? Albo do picia?

– Raczej coś do jedzenia... – odparł Quitonce, który przez cały dzień pościł. – Co się tak wypytyujesz?! – wrzasnął nagle.

Męczyły go strasznie te wszystkie środki ostrożności przed operacją, te wszystkie badania, które trzeba było wykonać, a najbardziej grobowe i przejęte miny, jakie przybierali przy nim pielęgniarzki i lekarz. Jak tylko Eva wyszła z pokoju, odetchnął z ulgą. Podniósł się na poduszkach, wspierając się na łokciach.

– Ta cała gorąca miłość, którą mi okazuje, też ma swoje wytłumaczenie... Eva chciałaby dostać w spadku mój gramofon, dawno

już zagięła na niego parol... Mówię ci, mało ją to obchodzi, czy chce mi się pić, czy jeść, albo czy boli mnie głowa. Chce gramofon i stąd te bezsensowne dowody oddania. Już ja znam te jej gierki...

Quitonce opanowywał beznamiętną wewnętrzną nerwowość. Cała irytacja uchodziła z niego koniuszkami lekko drżących palców jak prąd.

– Nie można układać się z przeznaczeniem – powiedział, zmieniając ton i temat rozmowy. – Od wczorajszego wieczora na próżno próbuję się dowiedzieć, jakie mam jutro szanse na przeżycie.

Złapał leżący na stoliku słownik i otworzył go na chybił trafił.

– Tysiąc dwieście pięćdziesiąt siedem – przeczytał u góry strony i zaczął dodawać poszczególne cyfry. – Jeden plus dwa równa się trzy... plus pięć: osiem... plus siedem: piętnaście... Czyli pięć – pół na pół. Chciałbym, żeby mi trzy razy z rzędu wyszło więcej albo mniej niż pięć... Żebym już wiedział, co ze mną będzie: wóz albo przewóz. Od wczoraj wychodzą mi tylko takie wyniki... Sześć... cztery... A potem znowu pięć... To straszne, kiedy los waha się w tak wąskim przedziale... Można by rzec, że sam drży... W gruncie rzeczy – kontynuował Quitonce – teoretycznie nie mogę liczyć na pewny prognostyk... Nawet gdyby takie prognozy były dokładne, pomyśl, ilu takich Quitonce'ów czeka dziś wieczorem na jutrzejszą operację? Ilu jest na świecie chorych takich jak ja, próbujących poznać wyrok na chwilę wcześniej? Przepowiednia podzielona między tyle osób staje się nieścista... Nazbyt rozrzedzona prognoza rozmywa się zupełnie...

W pokoju było cicho i trochę zimno.

Drzwi na taras pozostały otwarte i z dworu bił chłód nocy, niczym łopot ogromnego skrzydła. Milczeli obaj. Nagle Quitonce zmarszczył brwi, wpatrując się w ciemność, po czym zaśmiał się cicho, jakby do siebie, i wzięwszy słownik, zaczął czytać z niego na głos definicje.

Emanuel nie rozumiał, co się stało. Quitonce na przemian śmiał się i czytał jakieś absurdy. Po kilku minutach znów wyrżał na zewnątrz i z satysfakcją zamknął słownik.

– Nareszcie! Poszła sobie! Co, myślałeś, że zwariowałem? Widzisz tę prostokątną plamę światła, tam, w ciemności?

Pokazał mu w mroku wyraźny punkt.

– To odbicie naszych otwartych drzwi w szybach tarasu – ciągnął. – Nagle zauważyłem przemykający się tam cień. Ktoś skradał się z zewnątrz, by podsłuchać, o czym rozmawiamy...

I strasznie rozbawiony swoim odkryciem:

– To była Eva, pielęgniarka... Wiecznie ta Eva... Chciała podsłuchać, czy czasem nie zaprosiłem cię po to, aby ci sprzedać gramofon. Wtedy zacząłem czytać ze słownika, żeby jej się odechciało szpiegowania... Teraz już na pewno myśl o gramofonie nie da jej zasnąć.

Następnie objaśnił mu szczegółowo, na czym będzie polegać jutrzejsza operacja: chodziło o usunięcie guza, który utworzył się w jednym z kręgów i uciskając rdzeń kręgowy, powodował zaburzenia funkcji nóg podczas chodzenia. Wyjątkowo delikatna operacja... Należało ją przeprowadzić niebywale ostrożnie, by nie uszkodzić rdzenia kręgowego i nie doprowadzić do jeszcze poważniejszych powikłań w organizmie.

Emanuel uznał, że zbyt długie odwiedziny mogłyby zmęczyć Quitonce'a. Poprosił go więc, aby zadzwonił po sanitariusza.

W tym samym momencie do pokoju wszedł drobny mężczyzna w starszym wieku, z białą bródką i w okularach w delikatnej złotej oprawie.

– Zapomniałem ci powiedzieć, że w związku z operacją przyjechali moi rodzice. Zostań jeszcze parę minut – powiedział Quitonce.

Po chwili przysła też jego matka, dostojna staruszka o zupełnie białych włosach, zaczesanych wysoko jak peruka. Inżynier zainteresował się chorobą Emanuela.

Dodał mu otuchy w łagodnych, wyrozumiałych słowach, po czym zaczął mówić o synu.

– On też wyzdrowieje – powiedział, pokazując na leżącego w łóżku młodego Quitonce’a. – Tak, tak, jestem tego pewien... Wszystko mi się w życiu udało... Wszystko, co przedsięwziąłem... Dokonałem niesłychanych rzeczy, w których powodzenie nikt nie wierzył. Zbudowałem takie mosty, że moi uczniowie zdejmują kapelusze, kiedy po nich przechodzą. Tak... Zdejmują kapelusze... I tylko z kręgami mojego syna sprawy się pokomplikowały... Ale on z tego wyjdzie! Dokładnie za rok zapraszam was obu do najbardziej eleganckiej restauracji w Paryżu. Urządzimy sobie prawdziwą ucztę. Papa Quitonce stawia...

Optymizm staruszka niknął w ciszy jak odgłos działającego w próżni mechanizmu.

Matka Quitonce’a spacerowała po pokoju zamyślona i poważna, przysłuchując się rozmowie; zatrzymywała się od czasu do czasu przed biblioteczką i czytała tytuły książek z tą bardzo natężoną uwagą niespokojnego człowieka, który właściwie nie widzi nic z tego, co ma przed oczami...

Rankiem następnego dnia Emanuel pojechał powozem na plażę. Niebo rozjaśniło się już do intensywnego, prawie twardego odcienia błękitu. Był spokojny, słoneczny grudniowy dzień.

Ocean błyszczał w oddali jak bezkresna platynowa przestrzeń. Rząd willi na esplanadzie rozbłysnął we wszystkich położonych słońcem szybach jak miniaturowa makieta w dziecięcej grze.

Od strony miasta nadeszło kilku rybaków i zaraz zabrało się do pracy. Trwał przypływ, więc zaczęli spychać łodzie do wody, aby wypłynąć na połów.

– Hej-rup! – krzyczeli rytmicznie i przewlekle, ciągnąc za liny przywiązane do ogromnych żaglówek. Była to niesamowicie ciężka praca. Łodzie sunęły z trudem po piasku; mięśnie ludzi napinały się, jakby miały za chwilę pęknąć.

– Hej-rup! – krzyczeli, a kadłuby znaczyły za nimi w piasku głębokie, jakby wyżłobione przez pług bruzdy.

Emanuel jechał sam powozem wzdłuż plaży.

„Co się z nim teraz dzieje? O tej godzinie na pewno jest już na sali operacyjnej, podczas gdy ja, wolny, leżę sobie i patrzę na morze... Jakiż skalpel wbija się właśnie w jego ciało?”

Poczuł nagle zupełny bezsens tego wspaniałego dnia.

W tej samej chwili, w której ranek wstawał ogromny w całej swej świeżości, gdzieś na stole operacyjnym leżał pacjent i wypływały z niego strużki krwi. Absurdalna i groteskowa różnorodność rzeczy! Ileż bezsensownego spokoju mieścił w sobie tego ranka ocean wobec niepokoju i wzburzenia jednego człowieka...

Było już dość późno, kiedy Emanuel zorientował się, że zapędził konia za daleko. Przyptyw ciągle narastał, tak że musiał zaraz wracać, jeśli nie chciał, by zaskoczyły go fale. Dotarł na esplanadę około dziesiątej. Napoił konia u kamiennej studni. Leżał i patrzył nieobecny wzrokiem na Blanchette pochłaniającą chciwie wodę, a gdy odwrócił głowę, dostrzegł nadchodzących, trzymających się za ręce jak na spacerze, rodziców Quitonce'a.

Operacja tak szybko się skończyła?

Emanuel pomachał do nich i uśmiechnął się lekko. No cóż, łatwiej już było znieść myśl, że wszystko się skończyło, niż to męczące, niekończące się czekanie. Jego uśmiech napotkał tylko smutek na twarzach staruszków.

– Już po wszystkim? – zapytał Emanuel. – Co mówią lekarze? Jak on się czuje?

– Ciągłe go operują – odpowiedział inżynier, wpatrując się jak zahipnotyzowany w czubki palców.

Emanuel zdumiał się.

– Myślałem, że... No nic... Nie wiedziałem, czy... – mrucał zmieszany pod nosem. Staruszka tymczasem chwyciła znów męża za rękę, żeby kontynuować spacer.

– Chodźmy, Quitonce... – powiedziała. Emanuel już wcześniej zaobserwował ten francuski zwyczaj, tę uniżoność niemal, z którą starsze kobiety zwracały się do mężów po nazwisku, jak do obcych: „Chodźmy, Quitonce...”.

I ruszyli dalej esplanadą, drobnymi krokami, ze zmęczonym, spokojnym wzrokiem.

Po powrocie do kliniki Emanuel na próżno próbował dowiedzieć się czegoś od pielęgniarek i sanitariuszy. Wszyscy udzielali mu tej samej sztamkowej odpowiedzi:

– Wszystko w porządku... – Otępiające pacjentów hasło oraz wygodna i wyświechtana formułka mająca ukryć złe wieści.

W ten sposób minęło kilka dni bez żadnych pewnych wiadomości. Rano, kiedy wieziono go na śniadanie, Emanuel przejeżdżał wózkiem obok pokoju Quitonce’a; przed drzwiami rozłożono na podłodze gruby, tłumiący odgłosy z korytarza dywan. W pokoju panowała zupełna cisza, nie słyhać było na zewnątrz żadnego ruchu.

Pewnego popołudnia przyszedł inżynier i oznajmił mu, że może odwiedzić jego syna, który czuje się już lepiej. Zaczynało zmierzchać. Wszedłszy do pokoju Quitonce’a, Emanuel na początku z trudem rozróżnił zarysy przedmiotów. W pomieszczeniu paliła się jedna tylko lampa, obok łóżka, przykryta grubą niebieską zasłoną. Stęchłe powietrze pachniało jodoformem i chyba walerianą, mieszkanką antyseptyku i lekko mdłego zapachu środków odurzających.

W chybotliwym, stłumionym świetle Emanuel dostrzegł Quitonce'a, żółtego i z wychudłą twarzą, z głową zapadłą w poduszki, bardzo postarzałego. Przyćmiony blask lampy kładł mu się na twarzy matowymi zielonkawymi cieniami, tak że tu i ówdzie jego policzek wydawał się przezroczysty.

Był sam, czekał na odwiedzin.

– Co słyhać? – wyszeptał słabym głosem, akcentując każde słowo.

Emanuel nie miał odwagi odpowiedzieć „dobrze” ani zapytać go, jak się czuje, więc milczał.

– Jeśli chodzi o mnie – ciągnął z trudem Quitonce – to już chyba koniec... Może bym i z tego wyszedł, gdyby... robili mi... więcej... więcej zastrzyków... z olejku kamforowego... Tego mi trzeba, ale nie chcę... Wszyscy... Wszyscy... to świnię... Tak... świnię... świnię...

Astma dusiła go bardziej niż zwykle i kaszłał sucho od czasu do czasu, wydobywając z piersi urywane odgłosy, przypominające brzęk tłuczonego przedmiotu. Uczepiał się jakiegoś słowa i powtarzał je, obsesyjnie i z roztargnieniem, aż przypomniał sobie resztę zdania, które chciał powiedzieć.

W chwili kiedy Emanuel chciał mu odpowiedzieć, weszła Eva ze strzykawką w ręce. Przyszła, aby mu zrobić zastrzyk z olejku kamforowego. Robili mu je dwa razy dziennie, bo częstszych by nie wytrzymał, jednak Quitonce nabrał przekonania, że robią mu ich za mało.

I nic nie było w stanie przekonać go, że jest inaczej.

– To potrwa tylko chwilę... Poczekaj...

Aby lepiej widzieć, pielęgniarka zdjęła z lampy zasłonę. W pokoju zrobiło się nagle jasno i ukazały się w całej okazałości bałagan i śmieci. Na podłodze wałały się kawałki waty i zgniecione kartki papieru, a na stole buteleczki z lekami mieszały się z różnymi pudełkami i proszkami.

Pielęgniarka ściągnęła przykrycie i w jaskrawym świetle ukazał się nagi, owinięty bandażami Quitonce, o przeraźliwie chudym ciele i brudnej, nieogolonej twarzy (przed chwilą, w ciemności, policzków wydawał się pokryty cieniami).

Pośrodku jego nagości skurczony siny członek skrywał się pod zmierzwionymi włosami kości łonowej z dużymi żółtymi plamami na spalonej jodem skórze. Był to ten sam członek, który Emanuel widział kiedyś na zdjęciu, w pełni męskości, i nie było nic bardziej poruszającego niż nałożenie się w tej chwili obrazu zachowanego w pamięci na obecną rzeczywistość, nędzną i marną.

Z osłupieniem patrzył na ten nędzny, skulony członek, na tę skurczoną i bezużyteczną męskość, która tak strasznie podkreślała marność życia... Był to szczegół bardziej ludzki i bardziej dotkliwy niż wszystkie te bandaże i sama operacja. Najbardziej wymowny znak bezwartościowości ludzkiego ciała...

„A zresztą... A zresztą w każdym razie... – powtarzał w myślach Emanuel – co człowiekowi po jego ciele?” Uczucie bólu i męczarni dopełniało się w ten sposób zdumiewająco poprzez tę prostą, pokorną oczywistość, ujawniającą nagle wyczerpanie najbardziej istotnego aspektu życia oraz zimny i deprymujący atak cierpienia aż po same granice ciała, aż tam, gdzie Quitonce z pełnowartościowego mężczyzny z żądzami i popędami stawał się zwykłym systemem rozkładających się po kolei narządów, razem ze zbutwiałymi kręgami i z członkiem – dawnym członkiem nadającym jego ciału cały sens i całą żywotność – który stał się kawałkiem mięsa kurczącym się zwiotczale i gnijącym wolno, jeszcze przed ostatecznym rozkładem.

Pielęgniarka wbiła igłę w mięsień i skóra nabrzmiała nagle, blada i miękka, bez kropli krwi. Kiedy skończyła, obejrzała opatrunek i przyłożyła w pewnym miejscu kompres z gazy, aby przykryć go dokładniej.

– Myślisz, że ta gaza była potrzebna? – powiedział Quitonce, jak tylko Eva wyszła. – Przychodzi sprawdzać urojone rzeczy... Tylko po to, by pokazać, jak bardzo mi jest oddana... Ach, ten gramofon!...

Emanuel chciał sobie iść, ale Quitonce podniósł głowę na poduszkach, jakby miał powiedzieć mu coś ważnego.

– Chciałbym dać ci coś na pamiątkę... Żeby zostało ci coś po Quitonsie...

Poszperał chudą ręką w szufladzie i wyjął zawiniętą w papier paczuszkę.

– Pomyślałem najpierw o zdjęciach, wiesz których... Ale później doszedłem do wniosku, że to zbyt bolesne oglądać człowieka robiącego różne świństwa... na zdjęciu... kiedy wiadomo, że leży w grobie...

Kaszel dusił go coraz bardziej, może ze zmęczenia, może ze wzruszenia. Podał paczuszkę Emanuelowi, ten zaś rozwinął papier.

Co to było? Drzazga, kamyczek?

– To kawałeczek kości z mojego kręgu... – wyjaśnił Quitonce. – Poprosiłem felczera, żeby go dla mnie odłożył... Możesz go wziąć do ręki... Nie bój się... Jest zdezynfekowany... Dokładnie wymyty w alkoholu... Pomyśl o mnie, kiedy będziesz na niego patrzył...

Emanuel był zbyt poruszony, aby cokolwiek odpowiedzieć: krew tętniła mu silnie w skroniach i gdyby dokładnie w tej samej chwili nie przyszedł po niego sanitariusz, może by tam zemdłał, w tym pokoju przesiąkniętym zapachem waleriany.

Kilka dni później spotkał w ogrodzie ojca Quitonce'a. Przyszedł podzielić się nowinami.

– Jest lepiej – powiedział. – Dużo lepiej... Dzisiaj rano się ogolił... Doktor powiedział, że to dobry znak. Może za tydzień zejdzie znów do jadalni – dodał staruszek z wyraźną radością w głosie.

Quitonce umarł dwa dni przed Bożym Narodzeniem, zanosząc się od śmiechu. Choroba kpiła sobie z niego do samego końca. Agonia była wybuchem wesołości, tak jak u innych była zazwyczaj pełna jęków i krzyków. Ale jak miał umrzeć Quitonce, który przez całe życie chodził, rzucając nogami jak pajac, jeśli nie w groteskowych konwulsjach? Był to śmiech tak straszny, że jego wybuchy słyhać było w nocy aż w pokoju Emanuela. W całym sanatorium rozbrzmiewało ich głuche grobowe echo, jak wycie zwierzęcia; potem przechodziły w przeraźliwe rżenie. Zaiste był to śmiech cierpiącego pajaca, gorzka radość ściskająca boleśnie serce.

Emanuel rozmawiał o tym z lekarzem następnego dnia.

– Czasami ból się myli – tłumaczył mu doktor Cériel. – Zamiast wywołać krzyk, wywołuje na tym samym odcinku nerwowym napad wesołości... Można by powiedzieć, że jakaś niewidzialna ręka myli przełącznik... Prąd płynie ten sam, ale gdy dociera do końca, zamiast zamienić się w grymas bólu, zamienia się w wybuch śmiechu...

Pogrzeb odbył się z typową w takich przypadkach dyskrecją. O świcie ciężarówka z trupem wyruszyła w stronę miejskiego cmentarza. Pochowano Quitonce'a w Berck, zgodnie z jego życzeniem.

Rano, kiedy Emanuel przejeżdżał wózkiem przed pokojem nieboszczyka, drzwi były już oklejone paskami papieru, tak by opary siarki, którą zdezynfekowano pomieszczenie, nie wydostawały

się na korytarz. Były to znaki towarzyszące zawsze operacji i śmierci w sanatorium. Najpierw na prowadzącym do kliniki korytarzu leżał przez kilka dni gruby, tłumiący hałasy dywan, co oznaczało, że jakiś pacjent był operowany i leży w jednym z pokoi. Później, po kilku dniach, dywan zniknął, a drzwi oklejano gazetami. Wiadomo było wówczas, że operowany zmarł. Poza tym nikt nic nie mówił, nie było słyhać żadnych lamentów, a trupa pozbywano się nocą, aby całą sprawę załatwić możliwie jak najdyskretniej.

O śmierci takiego na przykład Quitonce'a, który od miesiąca nie schodził już do jadalni, poza Ernestem i Emanuelem nikt w sanatorium nie wiedział. Wszyscy tłumaczyli jego przedłużającą się nieobecność w sposób zupełnie naturalny wyjazdem do innej kliniki.

Był ponury, spustoszony wiatrem i deszczem dzień. Padające płatki zmieszanego z deszczem śniegu tworzyły cienką warstwę błota, w którym jakby pluskały wszystkie przedmioty, całe powietrze, wszystkie wypowiedane słowa...

Emanuel leżał pod oknem i patrzył na ogród. Ze swojego pokoju widział doskonale taras Quitonce'a, gdzie wietrzyły się teraz jego rzeczy. Eva układała je brutalnymi ruchami, wyraźnie wściekła.

Okolo czwartej przyszedł z wizytą Ernest. Miał pod oczami sińce z niewyspania i wyglądał na bardzo zmęczonego. Przez dwie noce z rzędu czuwał przy Quitonsie, a później o świcie odprowadzał trumnę na cmentarz. Wyjrzał przez okno i zobaczył rozwścieczoną Evę, ze wstrętem obracającą w rękach materac.

– Jest strasznie zła – mruknął. – Ale ją Quitonce załatwił! Zapisał gramofon dzieciom, do ich sypialni, żeby też miały jakąś rozrywkę...

Dokładnie w tej samej chwili z dziecięcego tarasu huknęła z niesłychaną siłą wygrywany przez gramofon marsz wojskowy.

Pielęgniarka rzuciła straszne spojrzenie w tamtym kierunku i ciśnieńa trzymanym w rękach materacem o ziemię. Może nawet zakłęła.

– Jest cała żółta ze złości – zauważył Emanuel.

Ernest opowiedział mu później kilka szczegółów z pogrzebu. Padało bez przerwy i dół wypełnił się do połowy wodą. Trumna była odkryta i gdy wpuszczono ją do środka, trup prawie cały wpadł do kałuży i zanurzył się w błocie. Quitonce niepotrzebnie chował za życia w szafie, specjalnie na ten ostatni użytek, piękny czarny garnitur. Woda przemoczyła go do suchej nitki i pokryła gliną.

– A później, nie wiem kto, chyba jego ojciec, wrzucił do dołu bukiet kwiatów – dodał Ernest. – A bukiet zaczął pływać na powierzchni kałuży.

Emanuel ukrył twarz w dłoniach i opadł na poduszki. W pamięci tkwił mu ciągle ostatni obraz Quitonce'a, bardzo jeszcze pewna, choć teraz bardzo już odległa i boleśnie nieuchwytna rzeczywistość.

Zima w Berck przynosiła porywisty północny wiatr z rozszałymi deszczami przypominającymi otwarte katarakty. Na miasto opadała często mgła i pokrywała je warstwą brudu.

Czasem niebo stawało się czarne jak smoła, po czym skraplało się w masy wyblakłych obłoków, burych jak bagnisty ściek ponad domami.

W Wigilię dzieci z sanatorium odegrały przedstawienie. Przyszła też Solange w czarnej sukni, która czyniła jej sylwetkę wyższą i bardziej delikatną. W holu wznosiła się ogromna, obwieszona zabawkami i płonącymi lampkami choinka. Panował nieopisany harmider, nie można było niczego zrozumieć; wózki stały słożone w rogu, dzieci klaskały i krzyczały co sił. Jeden chłopczyk, który dostał w prezencie bębenek, kiedy już się znudził

uderzaniem w niego, rozpiął koszulę na piersi i zaczął bębnić w gipsowy gorset. Stojąca pośrodku choinka roztaczała duszący dym i zapach palonej żywicy. Dzieci zaintonowały chórem rzewną melodię starej kolędy.

Ernest podszedł stuknąć się kieliszkiem wina z Emanuelem i Solange.

– To już moje szóste Boże Narodzenie w sanatorium – powiedział.

– A moje dopiero pierwsze – odrzekł smutno Emanuel.

Tego samego wieczoru zaprowadzono kuracjuszy do kościoła, na pasterkę. Solange bardzo zależało, aby pchać wózek Emanuela. Nocny spacer po deszczu dobrze mu zrobił. Dawno już nie widział ulic miasta w deszczową noc. Asfalt błyszczał jak napięta skóra; latarnie sączyły weń drżące smugi bladej elektryczności...

Wnętrze kościoła wydawało się oślepiająco jasne, ale tylko w pierwszej chwili, kiedy wchodziło się z zewnątrz. Był to skromny kościół, zbudowany przez rybaków z belek i słupów, dokładnie tak jak statek. „Co by było – pomyślał Emanuel – gdyby teraz cała ta budowla popłynęła w świat, po falach oceanu, w ostatnią nocną podróż, niczym wypełniony chorymi, świecący z oddali okręt, by rozbić się i zatopić wszystkie te gipsy, całe to kalectwo, całą tę beznadzieję zebraną w jednym miejscu?”

Chorzy leżeli na wózkach ustawionych w długim rzędzie, a ksiądz chodził od jednego do drugiego jak lekarz podczas obchodu.

Wiatr wiał chaotycznie pomiędzy belkami i poruszał cały czas płomieniami świec. Chorzy, choć dobrze okryci, przemarzli na kość.

W drodze powrotnej Emanuel zaprosił Ernesta i Solange do siebie. Otworzyli butelkę wina.

Ernest wznosił kieliszek.

– Za zdrowie zdrowych! – powiedział wesoło.

– A co z chorymi? – zapytała Solange.

– Chorym zdrowie niepotrzebne – ciągnął Ernest tym samym tonem. – Leżą sobie na wózkach, wszędzie ich wożą, jeżdżą na wycieczki powozem... Prawdziwie szczęśliwi, w pełni szczęśliwi...

– Tak sądzisz? – spytał sceptycznie Emanuel.

– Oczywiście – odparł Ernest. – Bardziej tragiczna jest moja sytuacja. Wyzdrowiałem i wkrótce będę musiał wrócić do normalnego życia. Będę musiał być ciągle zdrowy, podczas gdy na wózku mogłem sobie pozwolić jednego wieczoru na gorączkę, a innego na torsje...

Wypił prawie cały kieliszek wina i stał się bardzo gadatliwy.

– Co ja takiego mogę robić w normalnym życiu? Co zaskakującego, niezwykłego może mnie jeszcze spotkać? Będę mył codziennie zęby, jadł obiad, a wieczorem pił kawę z mlekiem, bez względu na to, czy zdarzy się gdzieś katastrofa kolejowa, czy umrze mi ktoś z rodziny. Ciągle będę mył zęby, siedział przy stole... To ciągle będę ja. Rozumiesz? Rozumiesz, jakim przeraźliwie monotonnym zwierzęciem się stanę?

Milczał przez chwilę, a później podjął na nowo:

– Kto raz został wyrwany z życia i miał wystarczająco dużo czasu i spokoju, aby zadać sobie to jedno zasadnicze pytanie o jego sens – to jedno jedyne pytanie – pozostanie zatruty na zawsze... Oczywiście świat będzie istniał dalej, ale ktoś stał już gąbką z rzeczy ich znaczenie...

Emanuel nie słuchał go zbyt uważnie. Od kilku minut zaprzątnięty był małym wypadkiem, jaki mu się przytrafił. Podnosząc kieliszek do ust, w chwili nieuwagi wylał na siebie trochę wina, które poleciało mu zaraz po szyi i ramionach prosto pod gips. Całe plecy miał mokre i wykręciwszy rękę, próbował włożyć ją pod opatrunek, żeby odkleić flanelę od skóry. Gdy ją wyjął, stwierdził bardzo nieprzyjemną rzecz: ręka cuchnęła zgnilizną. W ten sposób

Emanuel uświadomił sobie nagle, w jakim brudzie i plugastwie tkwiło jego niemyte od miesięcy ciało. Po raz pierwszy dotykał gorsetu od spodu. Ogarnął go nagle wstręt do samego siebie i mimo że usiłował ukryć poruszenie, na jego twarzy odmalował się wyraźny smutek.

Ernest, przekonany, że to jego wywód tak zasmucił Emanuela, przybrał zadowolony uśmiech dialektyka, który zręcznie przeprowadził dowód, i nalał sobie jeszcze jeden kieliszek wina...

Miejsce pani Wandeskiej w jadalni zajęła nowa pacjentka. Ernest ją znał: mieszkała w Berck od lat, w willi na esplanadzie, sama z opiekunką. Jako że teraz jej stan się pogorszył i musiała mieć codziennie zmieniane opatrunki, przeniosła się do kliniki, gdzie miała pielęgniarki do stałej dyspozycji.

Roztaczała się wokół niej aura tajemnicy i ekscentryczności. W ogrodzie ktoś już wcześniej opowiadał o niej, jak poleciała raz samolotem do Belgii, leżąc na wózku. Emanuel spotkał też pewnego dnia Corę, wystrojoną i rozemocjonowaną.

– Idę z wizytą do Isy – powiedziała. – Dzisiaj jest u niej dzień przyjęć.

Isa to była ta nowa kuracjuszka w sanatorium.

Emanuel nie pomylił się co do niej, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy w jadalni. W stroju i gestach miała tak dobrze zamaskowaną wytworność, że można by ją wziąć za najbanalniejszą prostotę.

Zaintrygowały go zwłaszcza dziwne rysy jej twarzy o podniesionych wysoko kościach policzkowych, które nadawały jej trochę mongolskiego wyglądu, i krótko obcięte włosy z postrzępioną grzywką, jak u Chinek (później usłyszał, że urodziła się w jednej z południowoazjatyckich kolonii i że jej matka była mieszanej krwi). Miała bladą, lecz bynajmniej nie anemiczną cerę, można by powiedzieć: matowy połysk żółtawego, długo szlifowanego kamienia.

Ernest, wszedłszy do sali, skierował się prosto do niej.

– Mogę ci przedstawić swojego przyjaciela? – zapytał ją, po tym jak zamienili kilka słów.

I pokazał na Emanuela przy jednym z dalszych stołów.

Isa skierowała na niego lusterko i uśmiechając się, pomachała przyjacielsko ręką.

Tego samego dnia, przy kolacji, Emanuel znalazł pod serwetką książkę i liścik od niej:

Lubisz czytać? Znasz tę książkę?

Był to gruby tom, oprawny w czerwony safian. Emanuel poczuł się mile połączony tym nieoczekiwanym upominkiem. Otworzył i przeczytał na chybił trafił:

W małym lasku, otoczony kwiatami, leży hermafrodyta, głęboko uśpiony na trawie, którą zrosił swymi łzami. Zbudzone ptaki, pełne zachwyty, oglądają przez gałęzie drzew tę melancholijną postać i słowik nie chce śpiewać swych kryształowych kawatyn. Las jest dostojny jak grobowiec...

W innym miejscu ktoś podkreślił mocno paznokciem: *...mych oczu zbolałych od wiecznej bezsenności życia**.

„Wieczna bezsenność życia”... Kim był ten autor, którego smutek objawiał się tak głęboko i poruszająco?

Emanuel zerknął na okładkę: Comte de Lautréamont, a pod spodem, grubymi literami: *Les Chants de Maldoror*.

Całą noc czytał tę niesamowitą książkę. Świt zaskoczył go, jak kartkował ją poządlawie, zachwycony jej czarującą melancholią, dręczony jej gorzkimi imprekacjami, jej wzniosłą obrzydliwością i oszałamiającą poetycznością. Było w tej książce wszystko, co nuda, smutek, marzenia i frenezja mogły zebrać razem

* *Pieśni Maldorora* w przekładzie Macieja Żurowskiego.

w wierszach o fantastycznym i przejmującym pięknie. Na próżno próbował doszukać się czegoś podobnego we wszystkim, co już kiedyś czytał: książka ta nie kojarzyła mu się z żadnym wierszem, żadną poetycką ckliwością, żadnym literackim przełomem. Zawierała w sobie trujący jad, wsącżający się wolno w krew podczas czytania, wywołujący zawroty głowy i gorączkę, jak niepostrzeżony zjadliwy mikrob.

Oddał książkę następnego dnia, dołączony do niej list z pytaniem, kiedy może przyjść z wizytą. Pragnął poznać bliżej tę dziewczynę o skośnych oczach i tajemniczym wyglądzie, która od razu potrafiła go zaintrygować tak fascynującą lekturą.

Otrzymał odpowiedź, że może przyjść choćby tego popołudnia. Jej opiekunka czekała na korytarzu o umówionej godzinie. Emanuela już od progu uderzył ciepły, przyjemny zapach herbaty i ciastek. Pokój ani trochę nie przypominał innych sanatoryjnych sal. Wprawdzie też był pomalowany na biało, ale ściany obite miał tkaniną w kolorze bardzo ciemnej czerwieni. Wprowadzało to nieco przytłaczającą, prawie pogrzebową atmosferę.

– Nie znoszę szpitalnej bieli... W mlecznobiałych pokojach sanatoryjnych jedyne, co możesz zrobić, to zwariować... – wyjaśniła Isa Emanuelowi, gdy tylko się przywitali.

W całym pokoju nie było żadnych ozdób poza stojącym na szafce ogromnym kryształowym naczyniem z szyszkami.

Emanuel, dziękując za książkę, zdziwił się, że nie widzi nigdzie żadnej biblioteczki albo chociaż pojedynczego tomu.

– Bo ja nie lubię książek!... Książka nie jest przedmiotem – powiedziała Isa. – To coś martwego... co zawiera rzeczy żywe... Coś jak rozkładający się trup, w którym szeleszczą tysiące robaków. Wszystkie książki trzymam obok, w pokoju mojej opiekunki, w skrzyni pod łóżkiem.

I dodała szeptem, jakby się zwierając:

– Wstyd mi, że musiałam poznawać życie tylko z książek...

Zawołała opiekunkę, aby mu ją przedstawić. Była to zgarbiona staruszka o nijakiej twarzy przypominającej czerstwy chleb.

– Przedstawiam ci Celinę – powiedziała. – Popatrz na nią i powiedz, czy nie jest podobna do chrabąszcza. Tyle tylko, że nie bzyczy...

Opiekunka faktycznie miała na sobie małą kawową pelerynę połyskującą jak skrzydła owada. Dłonie trzymała na brzuchu i poruszała nimi ciągle, jak myjąca się mucha. Na słowa Isy zaśmiała się z cicha, miarowo i ostrożnie, jakby odmierzając ilość wesołości, jaką może przejawiać taka przyzwoita staruszka jak ona.

– Widzisz, jaka jest skulona? – powiedziała Isa, kiedy Celina poszła po herbatę. – To odzwierciedlenie jej skromności... Celina jest najmniej wymagającą osobą, jeśli chodzi o jej własne potrzeby, i najbardziej oddaną, jeśli chodzi o czyjeś kaprysy...

Na stoliku stojącym między Isą a Emanuelem postawiono parującą herbatę.

– Dawno już nie zaznałem uczucia takiej intymności – powiedział. – Ten pokój ma w sobie spokój i ciszę, które już prawie zapomniałem. Jakbym dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak samotne, wygnańcze życie wiodłem do tej pory w moim pokoju...

– Ja od lat prowadzę ten żywot obcej, w nienależących do mnie pokojach i w miejscach, których nie pamiętam z dzieciństwa – powiedziała smutno Isa. – Ale przywykłam, tak jak przywykłam do choroby, do gipsu... do opatrunków... do wszystkiego...

Isa nie mogła podnieść głowy i sączyła herbatę z dzbanuszka o długim dziobku jak z małego czajnika.

Szybko zawiązała się między nimi przyjacielska zażyłość.

– Bardzo podziwiam tych, którym choroba jest poniekąd obojętna – powiedział Emanuel. – Ale czułbym się nieskończenie bardziej nieszczęśliwy, gdybym osiągnął pewnego dnia tę całkowitą

rezygnację. Czasami budzę się w nocy i macam gips jak wariat... Prawdziwy? Na pewno prawdziwy? I zgrzytam zębami, kiedy palce ślizgają mi się, bezradne, po jego twardej powierzchni...

Isa zamyśliła się przez chwilę.

– Myślisz, że ja taka nie byłam na początku? – powiedziała. – Dla wszystkich był to wstrząs... Wszyscy budziliśmy się w środku nocy i zdesperowani macaliśmy gips. Wszyscy... wszyscy... Ale później, kiedy ciosy przybrały na sile, nic już nie czuliśmy... Wiesz, co to jest w medycynie „zabliźniona tkanka”? To ta sina i pomarszczona skóra, która tworzy się na zagojonej ranie. To prawie normalna skóra, tyle że niewrażliwa na zimno, na ciepło i na dotyk...

Zamilkła na kilka sekund. Słysząc było tylko gwizd czajnika dobiegający przez otwarte drzwi z pokoju guwernantki. Następnie podjęła szeptem:

– Widzisz, serca nas, chorych, tyle już otrzymały w życiu ciosów nożem, że stały się taką właśnie zabliźnioną tkanką... Niewrażliwą na zimno... na ciepło... i na ból... Niewrażliwą, siną i stwardniałą...

Wszystko to powiedziała z uśmiechem najgłębszego wewnętrznego spokoju.

Celina wyciągnęła spod szafy patefon i nastawiła płytę wybraną przez Isę, koncert organowy Bacha. Żadna melodia nie harmonizowałaby lepiej z wiśniowym, uroczystym i posępnym odcieniem tkanin na ścianach i z ciężką, choć uspokajającą atmosferą pokoju.

Utwór nie skończył się jeszcze, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Była to gruba kobieta w zielonej aksamitnej sukni, z cienkimi, wciśniętymi na czubek nosa okularami, drżącymi lekko przy każdym ruchu jak aparat rejestrujący wewnętrzną czułość, tłumioną przez masę mięsa i tłuszczu.

– No i co tam słyszać?... Jak się czujesz? – posapywała.

Od razu też zainteresowała się Emanuelem, kim jest, skąd pochodzi, na co jest chory, jaki lekarz go prowadzi. Była to prawdziwa lawina pytań, niczym długo opanowywany wybuch.

Isa odpowiadała jej z widocznym znudzeniem. Kobieta wypila filiżankę herbaty i pochłonęła kilka ciastek, przeżuując jednocześnie herbatniki i słowa.

Emanuel żałował, że tak brutalnie przerwano mu wizytę. Isa również dawała rozpaczliwe znaki. Zbliżała się godzina kolacji i kobieta w końcu sobie poszła, wylawszy wcześniej z siebie potok dobrych rad i słów otuchy.

– To jedna z zawodowych pocieszycielek z Berck – powiedziała Isa, jak tylko za tamtą zamknęły się drzwi. – Wyjątkowo ohydny gatunek ludzi, którzy nie mają przez cały dzień nic do roboty, więc chodzą w odwiedziny do chorych podarować im trochę taniego miłosierdzia... Tu wypiją herbatę, tam zjedzą kanapkę, po czym wracają do domu, z pełnym żołądkiem i spokojnym sumieniem, bo zrobili dobry uczynek...

W tej samej chwili przyszedł sanitariusz, aby zabrać ich na kolację.

– Szkoda, że byłeś tak krótko – powiedziała. – Ale przyjdiesz jeszcze?

A kiedy sanitariusz złapał za wózek:

– Chciałbyś, żebyśmy zostali przyjaciółmi?... Podobają ci się u mnie?...

– Lubię pokoje, które tak szybko przestają być dla mnie obce – odpowiedział Emanuel i poczuł, jak na policzki występuje mu lekki rumieniec.

Do Berck powoli zakradała się wiosna. Surowa roślinność wydm wbrew swej wężkości czyniła widoczny wysiłek i samo niebo zrzucało stare barwy i przybierało nowe, delikatniejsze. Plaża rozrastała się chaotycznie, mieniając się różnymi odcieniami bezkresnego rozkładu. Nad światem zalegały już tylko para i światło.

Emanuel jeździł regularnie powozem w towarzystwie Solange. Wcześniej, przez całą zimę uprawiali zrównoważoną i spokojną miłość w jego pokoju. Teraz zaczęły się znów wycieczki na wieś.

Coraz bardziej krępował go gips i Solange chyba też. Emanuel odkrywał jej ciało, podnosząc całą suknię, i całował ją odurzony białością skóry.

– Na twoim ciele odbywam swoją kąpiel oczyszczającą – mówił, czując całe to plugastwo i pleśń tkwiące pod gipsem.

Na jej ciele, w okolicy bioder, rozciągały się świeże, pachnące obszary, jak nagły powiew nowego zapachu na otwartym powietrzu, pochodzący nie wiadomo skąd. Dalej poduszki, na których opierał głowę. Jasna i ciepła łagodność krągłego łona... Delikatna, cienista czasza pępka, do której Emanuel wlewał trochę czystej wody i brzuch stawał się krajobrazem ze studnią pośrodku.

Wszystkie te zabawy zawieszane były następnego dnia rano, kiedy przychodził sanitariusz, aby go umyć, i włożywszy mu, na ile się dało, rękę pod gorset, wygarnąć stamtąd cuchnące kupki brudu i plugastwa.

Zamykał wtedy drzwi na klucz, żeby nikt go nie zaskoczył podczas tej intymnej i odrażającej czynności. Następnie, kiedy

operacja była już zakończona, chłopak przewracał go na brzuch i wkładał mu pod gips długi patyk i drapał go po plecach.

Emanuel, nie mogąc znieść piękącego świądu, wrywał mu patyk z ręki i sam się drapał, frenetycznie, aż do omdlenia...

Po południu, kiedy wiedział, że ma przyjść Solange i że będzie zmuszony dopełnić ich codziennych miłosnych rytuałów z tymi samymi pieścizotami i pocałunkami (ponieważ ich miłość, niczym najckliwsza miłostka świata, wytworzyła swoje głupie zwyczaje i rutynę), miał ochotę uciec, by kochanka go nie znalazła...

Nawet uczucie niezmiernego podziwu dla jej czystego ciała zaczęło go drażnić. Irytowała go też delikatna skóra dziewczyny oraz ich czysta miłość i elementarne maniere, których nauczyła się od niego, chcąc się mu podobać. Doprawdy wolałby już więcej nie dotykać takiej doskonałości. Co mu było po wolności i czystości czyjegoś ciała?

Wszystko, co robił, było jednak drobiazgowo dokładne, jak w pierwszym dniu ich miłości, tak aby po uwolnieniu się od tych rytuałów mógł rozkoszniej odczuć to, że ich nie ma i jak bardzo były dokuczliwe... Im ściślej będzie je wypełniał, tym cudowniejsze będzie wyzwolenie – myślał.

Podczas tego wszystkiego Solange wodziła wokół błękitnym wzrokiem, który rozjaśniało spokojne niezrozumienie.

Pewnego dnia dostała niepokojący telegram od ciężko chorego dziadka. Była jego jedyną spadkobierczynią i staruszek chciał ją natychmiast zobaczyć. Solange wyjechała jeszcze tego samego dnia. Ustaliła z Emanuelem, że zadzwoni do niego na trzeci dzień, w sobotę, o dziesiątej rano.

Pierwszego dnia samotności Emanuel czuł się wspaniale. Doszedł do wniosku, że wolne popołudnie jest niezmiernie długie i niesamowicie przyjemne... Dokładnie zaplanował swój czas, przeczytał trochę, po czym wybrał się sam na przejażdżkę, uwolniony

od ciała, które do tej pory jakby nosił razem ze swoim pod gipsem. W trafice kupił zapalniczkę o bardzo skomplikowanym mechanizmie, chociaż w ogóle jej nie potrzebował, a później cukierki w sklepie ze słodyczami. Ukryty między wydmami, wyjął z kieszeni zapalniczkę i zapalał ją i gasił po wielokroć pod budą powozu, jakby był niespełna rozumu; cieszył się płomieniem, dzieląc sam ze sobą tę małą zabawę. Postanowił nie pokazywać jej Solange, kiedy wróci, i zachować ją tylko dla swojej osobistej, potajemnej przyjemności.

Następnego dnia pojechał powozem na wieś. Wiał gwałtowny wiatr, który podnosił i niemal porywał w górę budę powozu. Koń biegł ukośnie drogą, naprzeciw wichurze.

Kiedy zatrzymał się w zajeździe, był mokry od deszczu, trząsł się z zimna i miał zgrabiące dłonie.

– A gdzie narzeczona? – zapytał gospodarz.

– Musiała wyjechać. Jestem sam, jak pan widzi – powiedział Emanuel z widocznym smutkiem.

Pomyślał, że gdy tu przyjedzie z Solange, weźmie go na świadka: „No niech pan powie, jaki byłem smutny, kiedy przyjechałem bez narzeczonej”.

A Solange na pewno będzie tym mile połączona.

Zamówił talerz kawy i zjadł ją bez pośpiechu. Był sam, nic go nie ponaglało i nie musiał parzyć sobie języka, aby skończyć jak najszybciej i pojechać na wydmy w celu dopełnienia codziennego rytuału. Niewątpliwie miłość fizyczna była bardzo przyjemną rzeczą, ale Emanuel przekonał się teraz, jak przyjemny może być czasami jej brak...

Nadszedł wreszcie dzień, kiedy mieli rozmawiać przez telefon.

Zszedł do biura godzinę wcześniej, wypalił cygaro, którym dyrektor poczęstował go z grzeczności, a które on przyjął z bezczelności, przeczytał gazety i napawał się spokojem oczekiwania.

Kiedy jednak telefon zadzwonił w końcu z kilkuminutowym opóźnieniem, Emanuel nagle poczuł straszne wzburzenie.

– Szybciej! Szybciej! – poganiał sanitariusza ustawiającego wózek koło telefonu.

Na brzęk dzwonka cały dotychczasowy spokój przerodził się w ogromną niecierpliwość, tak jak przesycony roztwór krystalizuje się nagle, jeśli wrzucić do niego jakąś substancję chemiczną.

Przyłożył słuchawkę do ucha i stwierdził, że drży mu ręka, tak jak drżała też, przepełniona lekkim niepokojem, tuba telefonu. Nagle rozległ się głos Solange, bardzo stłumiony i metaliczny. Ale co on takiego miał w sobie, że cała kabina wypełniła się nagle jej obecnością? Był to prawdziwy zalew obrazów, przenikających głęboko w ciało poprzez prosty szmer jej dalekiego i znanego głosu...

– Muszę tu zostać jeszcze tydzień. Dziadek zmarł, jutro będzie pogrzeb... Tyle mam na głowie: kondolencje, ludzie, sprawy spadkowe u notariusza... Biegłam do telefonu jak szalona...

Zamilkła i Emanuel usłyszał w tubie jej przyspieszony oddech. Ten sam spazmatyczny oddech, tyle że oderwany od ciała. Kwintesencja przyjemności, której doznawał, przyniatając ją gipsem, tyle że teraz czysta, bez ciężaru ciała, bez zmęczenia...

– Dlaczego nic nie mówisz? – zapytała, usiłując opanować drżenie głosu.

Emanuel zamknął oczy i upajał się jej słowami.

– Ty mów... Powiedz mi, co chcesz...

Solange zaczęła relacjonować długą dyskusję z notariuszem... W Emanuelu odżyły nagle dawne żądze, jakby oprócz głosu kabel przewodził też ciepło jej skóry, wlewając je bezpośrednio do krwi...

W pełni świadomy tego, co robi, wsunąwszy rękę pod przykrycie, podczas gdy Solange nie przestawała mówić, zaczął gnieść swoje straszliwe podniecenie...

– Mów jeszcze, błagam – nalegał trochę nieprzytomnie, dręcząc swe ciało w dążeniu do wygodnej i natychmiastowej satysfakcji. Ona mówiła dalej, niczego nie podejrzewając.

Następnie przez chwilę jej głos stał się ekstatyczny i Emanuel wylał w krótkim i obezwładniającym wyczerpaniu, jak w omdleniu.

– Dziękuję ci... Dziękuję... – wymamrotał do aparatu.

– Za co? – zapytała zaskoczona.

– Za to wszystko, co mi mówisz... Za wszystko... Za wszystko...

Wróciwszy do pokoju, zgrzytnął zębami ze złości, że był dla siebie taki pobłażliwy.

Pojechał jednak po nią na dworzec, dopełniając w ten sposób pozorów idealnej miłości. Kiedy wsiadła do powozu, poczuł jakby ukłucie w pewnej części gipsu... Solange usiadła obok niego na stołeczku, a Emanuel uśmiechnął się do niej. Na pustej bocznej ulicy nachyliła się nad nim i pocałowała go.

– Przez te wszystkie dni bez ciebie w ogóle nie żyłam – wyszeptła, patrząc mu w oczy bezwolnym wzrokiem wiernego zwierzęcia.

Emanuel aż się zatrzęsł pod gipsem, ze zdenerwowania, z obrzydzenia, a zwłaszcza w sprzecznie wobec pobłażliwości, z jaką wszystko przyjmował.

W tym samym tygodniu, na plaży, miał miejsce wypadek, który tylko spotęgował jego irytację względem Solange. Pewne sytuacje pogarszają się same z siebie w wyniku codziennych zajęć, odkładających się wokół nich, tak jak w wodach wapiennych kamienne przedmioty pokrywają się osadem poprzez samo pozostawianie w ich nurcie. Tamtego dnia Emanuel pognął jak zwykle konia hen na plażę, w nieuczęszczane miejsca. Trwał przypyły i morze zalało już większą część wybrzeża. Solange poradziła mu, aby zawrócić,

ale on uparł się popędzić dalej, sądząc, że znajdzie gdzieś zbrocze, po którym będzie można wjechać na klif.

– Zapewniam cię, że nie ma tu nigdzie żadnego podjazdu. Znam te okolice – błagała go Solange. – Jeszcze chwila, a nie będziemy mieli jak wrócić. Cała plaża będzie zalana... Emanuel, posłuchaj mnie...

Denerwowało go to, że miała rację i że nie było widać żadnego zbrocza prowadzącego na klif. Jaką okrutną i wyniosłą satysfakcję odczułby, gdyby nagle ukazał się im jakiś podjazd i w jednej minucie znaleźliby się na górze.

W końcu, zmęczony i rozdrażniony, zawrócił powóz. Było jednak trochę za późno. Ocean zalał już część plaży i Emanuel musiał teraz powozić ostrożnie wąskim pasem łądu pomiędzy bruzdami wypełnionymi wodą.

Aby skrócić drogę, przejeżdżał samym środkiem rowków z wodą. Solange patrzyła na niego przerażona. W końcu dotarli przed nieco szerszy rów, przed którym koń zatrzymał się nagle i nie chciał iść dalej...

– Nie da rady tędy przejechać – powiedziała Solange. – Przecież widzisz, jak jest głęboko... Objedź!... Daj mi lejce!

Emanuel w przypiływie szału zdzielił konia batem i powóz wjechał do wody.

Przez kilka sekund koń ciągnął ze wszystkich sił, ale pośrodku rowu koła powozu wjechały do połowy w mokry piasek i ugrzęzły.

Na próżno Emanuel ciągnął w desperacji za lejce i bił konia. Sytuacja była bardzo poważna, powóz nie chciał nawet drgnąć; przypiływ ciągle narastał, fale były dziesięć metrów od nich...

Solange, biała z przerażenia, zdjęła pończochy i pantofle i rzuciła się szaleńczym pędem po plaży w poszukiwaniu pomocy. Emanuel leżał bezwładnie w powozie, z twarzą ku górze, z tętniącymi skrońmi, wyczerpany emocjami, irytacją i przerażeniem.

Fale szumiały mu w uszach jak nawałnica, która rozpętała mu się w mózgu... Podczas gdy krew w nim, i woda, i ocean, i powietrze jakby zaczynały gotować się i kipieć...

Po minucie Solange wróciła z paroma rybakami. Mężczyźni otworzyli powóz, wyciągnęli Emanuela razem z ramą i materacem, i położyli go na piasku obok rowu. Następnie wyprzęgli konia i pchając dzielnie powóz, wyciągnęli go z wody.

Wszyscy ruszyli w stronę esplanady.

Utworzył się orszak, który przejmował Emanuela do głębi. Leżąc tak na ramie niesionej na ramionach przez muskularnych rybaków, cudem uratowany ze strasznego wypadku, podjął na nowo logiczny wątek irytacji.

„Jeszcze tylko tego brakowało... żebym był jej winien wdzięczność!” – pomyślał z goryczą.

Na czele konduktu podążała boso Solange, z pończochami i pantoflami w ręku. Za nią toczył się pusty powóz, pchany wolno przez dwóch rybaków z zakasnymi powyżej kolan spodniami, potem Emanuel niesiony na ramie, niczym złożony na tarczy poległy bohater, i na końcu koń, prowadzony za uzdę przez jakiegoś chłopca.

Za nimi dzieci (skąd ich się tyle wzięło?) i kilka osób komentujących wypadek (a ci skąd się nagle poschodzili?). „Istny pogrzeb wodza” – pomyślał Emanuel.

Solange odwracała od czasu do czasu głowę i uśmiechała się z niewinnością, która paliła go jak ogień.

Po powrocie do sanatorium podziękował jej z niezwykłą wylewnością, aby zadać sobie w głębi jak największy ból.

I żeby ponieść surową karę za słabość, jakiej uległ przy telefonie, wyjął z kieszeni sekretną zapalniczkę, której miała nigdy nie zobaczyć.

– Podoba ci się? – zapytał. – Proszę, to dla ciebie.

„To ostatnia rzecz, jaką ode mnie dostała – pomyślał. – Rzecz, która położy kres naszej sielance. Może gdyby jej nie przyjęła, wszystko byłoby po staremu, ale skoro ją wzięła, to znaczy, że nasza miłość musi się tu zakończyć...”

Myśl o rozstaniu strasznie go dręczyła.

Nie było jednak wyjścia. Wyjechać z sanatorium? Kiedy i dokąd? I tak będzie musiał zostać w Berck i Solange odnajdzie go wcześniej czy później.

Pewnego dnia wydarzyło się jednak coś zupełnie niespodziewanego. Emanuel wymknął się z sanatorium w tak prosty i zaskakujący sposób, że jeszcze długo potem zdumiewał się nadzwyczajną dezynwolturą swojej przygody.

Można by powiedzieć, że była to magiczna sztuczka... „Zamknij oczy, otwórz oczy!” Jeszcze przed chwilą znajdował się w sanatoryjnym pokoju, a oto, gdy otworzył oczy...

W maju zaczynał się w Berck najazd letników. Całe miasto zmieniało się wtedy, jakby zostało opanowane przez dzikie hordy.

W sanatorium przygotowywano pokoje na piętrach, które zimą pozostawały puste. Zaczynało się nieznośne poruszenie na schodach i korytarzach, szorowano parkiety, wszędzie stały miski z wodą, trzaskały w pośpiechu drzwi, a sprzątaczkki w pocie czoła czyściły mosiądze windy. Powoli, powoli sanatorium zamieniało się w hotel. Chorym nie wolno było już przebywać w wózkach na korytarzach. To mogło robić złe wrażenie na letnich gościach.

Później zaczynała się erupcja gramofonów. Najpierw, któregoś wieczoru, słychać było wyraźne pobrzękiwanie, wibrującą melodię wiolonczeli, w jednym z zagubionych gdzieś na piętrze pokoi, następnie, drugiego dnia, symfonia przybierała na sile, a wiolonczeli wtórował melodią flecików podróźny patefon, aby w końcu, w jeszcze innym pokoju, niczym gwałtowne wejście w Wagnerowskiej operze, mogła huknąć nagle wściekła, dudniąca orkiestra wojskowa... Z pokoju do pokoju wdzierał się wirus strasznej, dojmującej muzyki. Po kilku dniach całe sanatorium wibrowało frenetycznie skomplikowaną mieszanką orkiestr, skrzypiec, marszów i romansów. Budynek przekształcał się w ogromny zakład zdzierania płyt gramofonowych.

Nieprzytomni z niewyspania pacjenci zatykali uszy watą, wołkiem, albo zakrywali je zupełnie, przewiązując głowę szalem.

Emanuel brał powóz i zdjęty grozą wyjeżdżał z hotelu.

Plaża też była okupowana. Ciągnęły się na niej w nieskończoność rzędy bud, przywleczonych z placów, na których przeleżały w krzakach całą zimę. Między czterema drewnianymi ścianami z drzwiami otwartymi na oścież mieszkaly całe rodziny. Robiono tam pranie i smażono konfitury, dzieci kwiliły, podczas gdy ojciec rodziny czytał gazetę, leżąc wprost na ziemi i sącząc leniwie kawę zmieszana z piaskiem. Sama plaża była podziurawiona, rozgrzebana, pokryta rowami, szańcami i zamkami... Unosił się nad nią niebywały wrzask, przemieszany z rozpaczliwymi krzykami sprzedawców piłek i cukierków. Ze wszech stron, ze wszystkich bud wylewały się nieprzerwanie strumienie zmiętego papieru, rzeki starych gazet, papierów i pustych opakowań, i znów papierów, ocean śmieci obok prawdziwego oceanu.

Emanuel szukał schronienia między wydmami, z dala od dróg pełnych samochodów. Za miastem znajdowało się zaciszne, oddalone od ruchu miejsce, gdzie jeździł często, kiedy był sam. Solange nigdy tam nie zabierał. Zachował tę kryjówkę na godziny zupełnej samotności. Chciałby ukryć się tu na zawsze, aby nie wracać już do sanatorium. Było to dzikie, opuszczone przez ludzi miejsce. Kilka willi o odrapanych porośniętych bluszczem ścianach wyrastało z zakrywającego je do połowy piasku; nikt w nich nie mieszkał. Kiedyś zamierzano wybudować w tym miejscu stację kolejową i stworzyć dzielnicę luksusowych willi z dala od miasta. Już nawet zaczęto budowę, ale wojna wszystko przerwała. Wzdłuż oceanu widać było jeszcze tory, a w zaroślach – koła wagonów i rozpadające się mury starej stacji. W letnie popołudnia kilka kur skubało w ruinach trawę, podczas gdy kogut wspinał się na mur i bijąc skrzydłami, wydobywał z siebie przenikliwe, przeciągłe kukuryku, jak desperackie wołanie pustkowia. Jeden jedyny zajazd, mały lokal z tonącą w czerwonych pelargoniach werandą, trwał tam jako ostatnia oznaka życia... Przychodzili do

niego, by się czegoś napić, dość rzadko zresztą, rybacy, którzy zapuścili się z sieciami w tamte strony.

Emanuel zaprzyjaźnił się z właścicielem. Leżał całymi godzinami przed werandą, na piaszczystym wzniesieniu, skąd widział ocean aż po horyzont i w pewnym sensie górował nad okolicą, nad zastygłymi w piasku willami, rozwalającym się dworcem i pofalowaną powierzchnią wydm.

– Jaka szkoda, że nie powstał tu ten planowany kurort, zbudowałbym hotel jak marzenie! – mówił oberżysta, wysoki, nieco przygarbiony mężczyzna o sinych policzkach i białych, wiecznie potarganych przez wiatr włosach. Miał w oczach spokojną melancholię tego opuszczonego miejsca.

– Ech! Wiesz pan, jaka tu kiedyś była budowa? Jaki rejwach! Jaki ruch! Ceny działek dochodziły do pół miliona...

I dodał smutno:

– A dzisiaj nikt nie dałby nawet tysiąca franków...

Do gospody przychodzili rybacy z workami pełnymi świeżych sardynek. Żona właściciela, mała, okrągła jak kulka mięsa i tłuszczu kobieta w wypłowiałej żółtej peruce na głowie, targowała się z nimi zawzięcie, ze skąpstwa i dla zabicia czasu. Emanuelowi serwowano tam świeżą, pieczoną na węglach rybę.

Jednego razu Emanuelowi przysłała do głowy pewna myśl. Jak dobrze byłoby mieszkać w tym zajeździe, w jakimś pokoiku, choćby najmniejszym, choćby najbardziej niewygodnym, za to zupełnie odciętym od świata. Było to kilka dni po zejściu z Solange na plaży. Tam, między wydmami, na pewno go nie znajdzie. Zniknie nagle z sanatorium i nikt nie będzie wiedział, gdzie wyjechał. Zapytał o to gospodarza. Mężczyzna zawołał żonę, aby się poradzić.

– To niemożliwe – odpowiedziała. – Mieszkamy tu sami, właśnie dlatego, żeby nie mieć kłopotu. Prowadzimy spokojne życie i nie trzeba nam ani klientów, ani pensjonariuszy.

Emanuel poczuł się trochę urażony.

– A w tych willach nikt nie mieszka? Kompletnie nikt?

– A mieszka – odpowiedział gospodarz. – Ale tylko w jednej, w tamtej...

I pokazał dach kamiennej willi na wzgórkach na klifie, ukrytej za paroma wielkimi wydmiami.

– Ale nie przez cały rok – dodał. – Latem przyjeżdża jedna Amerykanka z synem. Mieszka tam przez parę miesięcy i wraca do siebie... Właśnie przyjechała, jakiś tydzień temu...

Emanuel zamyślił się trochę.

– A ta Amerykanka... Nie wzięłaby mnie do siebie na kwaterę? – zapytał. – Oczywiście nie za darmo...

Gospodarz i jego żona uśmiechnęli się z wyrozumiałą ironią.

– Panie, przecież to bogaczka! Po co jej chorzy pensjonariusze? A właściwie to czemu tak panu zależy, żeby mieszkać na tym odludziu? – zapytał ciekawy gospodarz.

– Ech, długo by mówić! – odparł Emanuel. – Ale jak mógłbym z nią porozmawiać? Mam tam pojechać powozem?...

Gospodarz osłupiał.

– Powozem, powiada pan? Przecież tam są wydmy wielkie jak dom! Jak pan na nie wjedziesz? Masz pan konia akrobatę?

– Mówi pan, że przyjechała tydzień temu? – zapytał zamyślony Emanuel. – Myśli pan, że jest teraz w domu?

– Może jest, nie wiem – odpowiedział gospodarz.

– No dobrze, to pojedę zobaczyć i porozmawiać z nią – powiedział spokojnie Emanuel, sięgając po lejce.

– Co? – spytał przeciągle gospodarz. – Powozem? – I spojrzął na niego osłupiały.

– Pewnie, że powozem... Przecież nie pójde pieszo!

– Zobaczymy, czy się panu uda... – rzucił prowokacyjnie gospodarz i zaczął się śmiać.

– No to zobaczymy! – odpowiedział Emanuel, przyjmując wyzwanie.

Ścisnął lejce w dłoni i ruszył w stronę pierwszej wydmy. Minęło dopiero kilka dni od wypadku na plaży, ale to wspomnienie nie robiło teraz na nim wielkiego wrażenia.

Zaczął popędząć konia. Zbocze było dość niskie i koń z łatwością pociągnął powóz na sam szczyt.

Gdy już był na górze, Emanuel odwrócił głowę w stronę gospodarza i pomachał mu.

– Do widzenia! Ruszam dalej w góry!...

Gospodarz z żoną i jeszcze ze dwóch rybaków, którzy wyszli z gospody – wszyscy stali na werandzie i patrzyli z rozdziawionymi ustami na osobliwy powóz pnący się po wydmach.

Przed nim rozciągał się płaski szmat piasku, a dalej cały łańcuch wzniesień, jakby specjalnie ustawionych tam jak bariera.

Emanuel żadną miarą nie chciał wycofywać się z zadania, którego się podjął. Powodowała nim teraz ambicja, a nade wszystko chęć poznania właścicielki willi. Gospoda znikła za piaskami; nie pozostawało mu nic innego jak tylko jechać dalej...

Podjechał na małą odległość do pagórków i zatrzymał się. Poczekał parę minut, aż klacz odpocznie, po czym pociągnął gwałtownie za lejce i koń znów wskoczył jednym susem na samą górę.

Reszta była fraszką; parę ostatnich wzniesień na drodze do willi pokonał bez najmniejszego trudu.

Zatrzymał się dopiero przed samym budynkiem; okiennice były zatrzaśnięte, brama zamknięta. Czyżby oberżysta zażartował sobie z niego? Willa była pusta? Zaczął stukać końcem bata w płot; uderzenia odbijały się po całej okolicy echem przenoszącym się z wydmy na wydmę jak hasło. Na podwórzu rozległo się szczekanie psa i zaraz też otwarła się jedna z okiennic.

W ramie okna ukazała się ruda kobieta w fioletowym szlafroku.

– Kto tam? – krzyknęła, szukając wzrokiem tego, kto stukał. Nagle zauważyła Emanuela w powozie przed bramą i osłupiała.
– Kto tam? – zapytała zdziwiona. – O co chodzi? Jak pan tu wjechał?

Emanuel chciał odkrzyknąć, ale szczekanie psa zagłuszało jego słowa. Dał kobiecie znak ręką, aby zeszła.

Wysoki, postawny, może piętnastoletni chłopak, także rudy, otworzył bramę. Emanuel wjechał na małe betonowe podwórze. Pies skakał wokół powozu, szczekając ogłuszająco.

– Cicho... cicho... – Chłopak uspokajał psa, łapiąc go za szyję i szamocząc się z nim. Był to ogromny czarny pies; kiedy stawał na tylnych łapach, a przednimi opierał się o ramiona swojego pana, był niemal tak samo wysoki jak on.

Emanuel popatrzył na willę. Budynek wydawał się raczej zaniedbany niż stary. Na szczycie, pod kalenicą, wisiała zardzewiała, pokryta bluszczem tabliczka. „Willa Elseneur” – przeczytał.

W końcu nadeszła kobieta z okna. Zdążyła poprawić trochę fryzurę i chyba też się umalować. Powiew wiatru przyniósł do Emanuela nieokreślony zapach kobiecej toalety, słodkawy i przyjemny.

– O co chodzi? – zapytała.

Emanuel przedstawił się. Podała mu rękę, wymieniła swoje nazwisko, pani Tils, i dodała nagle bardzo poufałym tonem:

– Jak się masz?

Tą formułką wita się po angielsku nawet dopiero co poznane osoby.

– Przepraszam, że niepokoję tak wcześniej – powiedział Emanuel. – Przejeżdżałem tędy powozem...

– Powozem?! – powtórzyła zdumiona.

– I niebywale spodobała mi się ta okolica. Powiedziano mi, że to jedyna zamieszкана willa i... chciałbym panią o coś zapytać...

Emanuel zawahał się, po czym wypowiedział szybko całe zdanie, aby mieć to jak najszybciej za sobą, tak jak wypija się jednym haustem gorzkie lekarstwo.

– No więc... Gdyby można było... chciałbym się tutaj zatrzymać... Bardzo mi się podoba to zacisze. Nie zgodziłaby się pani, żebym zamieszkał w jej willi...? Nie przyjęłaby mnie pani na kwaterę?

– To po to mnie pan wołał? – powiedziała kobieta, wybuchając lekko śmiechem.

Emanuel miał tak zdeorientowaną minę, że mógł jedynie wzbudzać śmiech. Zauważył, że gdy się śmiała, na policzku tworzyły jej się głębokie zmarszczki. Była to niewątpliwie starsza już kobieta, ale miała niesamowitą swobodę w gestach i zadbany od młodości wygląd.

– Bardzo mi przykro – powiedziała – ale nie przyjmuję pensjonariuszy, nigdy nie przyjmowałam i nawet nie umiałabym sobie poradzić w takiej sytuacji.

Kiedy to mówiła, w pokoju na piętrze, którego okno pozostało otwarte, wybuchł straszny harmider, jakby złorzeczenia zadziornej staruszki kłócej się z kimś napastliwym tonem.

Emanuel spojrzał zaskoczony na okno, nie zapytał jednak o nic. Zauważyła jego zdziwienie.

– Bo wiesz... Nie mieszkam tu sama. Oprócz Irvinga, mojego syna, i kucharki, mam jeszcze gościa... Jak widzisz, to bardzo nerwowa istota, strasznie krzyczy i przeklina...

– Irving, idź po nią! – powiedziała.

Chłopak wszedł do domu. Krzyki ustały i po kilku sekundach chłopak zszedł z papugą na ręce.

– Przywitaj się! – poleciła pani Tils.

Papuga rzuciła siarczystym przekleństwem i wszyscy zaczęli się śmiać. Ptak pociągnął panią Tils mocno za włosy. Pies, papuga...

Emanuel był bardzo przygnębiony tym, że nie może tu zamieszkać. Postanowił się pożegnać.

– I którądy wrócisz?

– Przez wydmy, tak jak przyjechałem...

Irving też chciał być świadkiem zdobywania wydmy.

– Bravo! Bravo! – krzyczał, klaszcząc, kiedy Emanuel był na szczycie.

Tego samego dnia, po południu, kiedy przemierzał smutny ulice i zatrzymał powóz przed jakąś wystawą, ktoś podszedł do niego i zagadnął. Była to pani Tils, tyle że w wyjściowym ubraniu, prawie jej nie poznał.

– Chciałabym ci coś powiedzieć... Wiesz, zmieniłam zdanie i byłabym skłonna przyjąć cię do siebie... Jeśli w zamian będziesz udzielał mojemu synowi lekcji matematyki... Mam duży pokój, salon z widokiem na morze. Znasz się na matematyce?

Emanuel zapewnił ją, że udzielał już takich lekcji, i zgodził się z radością. Czuł wyraźnie, że od rana tego dnia wydarzenia następowały z przyjemną, pełną niespodzianek zmiennością. Zdał się na przypadek z uczuciem delikatnej wewnętrznej rozkoszy.

– To kiedy mógłbym się wprowadzić?

– Kiedy tylko chcesz – odpowiedziała. – Choćby i jutro...

– W takim razie będę jutro rano, o dziesiątej...

...A oto, gdy otworzył oczy...

Znajdował się teraz w bardzo obszernym salonie, z otwartymi na ocean drzwiami. Na ścianach wisiały obrazy w stylu angielskim, w wytartych pozłacanych ramach. Jeden z nich przedstawiał imponującą scenę myśliwską, z jeźdźcami w czerwonych ubraniach, zebranymi na polanie i otoczonymi przez sfory psów i grających na mosiężnych rogach obławników, drugi zaś ukazywał przygotowującego się do snu staruszka w szlafroku, o białych włosach i delikatnej, pomarszczonej skórze twarzy, jaką mają wszyscy starcy na litografiach. W tle widać było jego staromodne łóżko, ze słupami i kwiecistymi kretonowymi zasłonami.

Fale oceanu szumiały chaotycznie w ogromie salonu. Dzień był ciężki od szarych chmur, wiszących jak sufit nad wydrami.

Emanuel patrzył na obrazy na ścianach. Na tych dwóch rycinach zsyntetyzowana była sytuacja, w jakiej się teraz znajdował. Staruszką przygotowującym się do snu był on sam, w samotności willi „Elseneur”. Podobnie jak staruszek odcięty od świata, w nieznanym pomieszczeniu, spokojny, sam pośród staromodnych mebli. A obok obraz z polowaniem, od którego zgiełku staruszek zdawał się stronić, odwracając się do niego plecami; obraz ten wyobrażał dokładnie miejski gwar, od którego uciekł Emanuel.

Ciężkie zasłony z wiśniowego aksamitu przypominające żalobne chorągwie z zakładów pogrzebowych kołysały się na wietrze. Emanuel zamknął zmęczony oczy. Wszystko odbyło się

w cudowny wręcz sposób i między tym rankiem, kiedy spakował swoje rzeczy w hotelowym pokoju, a tą późną popołudniową godziną, kiedy znalazł się na wydmach jako pensjonariusz pani Tils, dzień zupełnie odmienił swoje oblicze, jak gdyby był dniem innego roku i innej pory roku, innej rzeczywistości... Kto by przypuszczał, że w tej kryjówce, zagubionej między falami piasku, znajdował się on, Emanuel, dawny Emanuel? Jakby zmienił swoją tożsamość...

Leżał lekko zdezorientowany w kącie salonu, jak żyjątko wrzucone przez ocean w skalną rozpadlinę. Tak jak ono czekał na wybawicielską falę, która przywróciłaby go do pełni życia, do pełni rozumienia rzeczy.

Przypominał sobie, jakby to były stare, odległe sprawy, wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dwóch dni: to, jak zawiadomił o swoim wyjeździe dyrektora, wróciwszy z miasta po rozmowie z panią Tils; to, jak się pośpiesznie pakował.

– Jaki jest pana nowy adres? – zapytał wtedy dyrektor.

– Nie będzie panu potrzebny – odpowiedział Emanuel. – Sam tu będę zaglądał od czasu do czasu, aby odebrać korespondencję.

I w końcu to, jak przyjechał do willi „Elseneur”, dokładnie o dziesiątej rano, tak jak zapowiedział.

Po schodach wnieśli go kucharka, Irving i oberżysta, który przyszedł pomóc.

Zwłaszcza oberżysta był ogromnie zdziwiony, że pani Tils przyjęła kogoś na kwatery.

– Naprawdę wcześniej jej nie znałeś? – pytał szeptem, usiłując rozgryźć Emanuela.

– Naprawdę! Naprawdę! – odpowiedział poirytowany Emanuel. – A zresztą czy ja wiem, co tutaj dzieje się naprawdę, a co nie?

Czekał teraz na kolację. Na dworze zapadł już zmrok. Morze dochodziło w przyływie aż do podnóża klifu i uderzało

w tamę głuchym regularnym dudnieniem. Cały dzień spędził sam w ogromnym, pustym salonie. Od czasu do czasu słyszał na piętrze, niczym gruchanie, chrypliwe sylabizowanie papugi, a na zewnątrz rzadkie poszczekiwanie psa.

Gdzie było sanatorium? I Solange? W dobrze przewietrzonej ciszy salonu żaden obraz nie mógł przybrać bardziej stałej konsystencji.

Kucharka przyniosła zapaloną lampę i postawiła ją na stole. Krąg światła wokół abażuru nakreślił na pluszowym obrusie małą arenę cyrkową, wewnątrz której kolorowe kwiaty aksamitu wykonywały dziwne, nieruchome akrobacje...

W ciepłe dni Emanuel odpoczywał na tarasie przed salonem. Bezkrzes oceanu błyszczał diamentowymi cekinami jak wspinała, pieniąca się koronkami suknia balowa. Przejrzystość wody stała się galaretowatą aureolą i zasnuwała oczy. Ogromne plamy światła roztapiały się w powietrzu, pozostawiając za sobą zielone, niematerialne kontury. Fale ciemniały wówczas w oddali jak koltowy błękit...

Rozmawiał często z panią Tils. Opowiadała mu o mężu, z którym przyjechała do Berck, również chorym na gruźlicę kręgosłupa, i który zmarł osiem lat temu, właśnie w willi „Elseneur”. On również lubił samotność wydm, on również pewnego dnia przejeżdżał tędy powozem i zatrzymał się oczarowany przed willą, i nie chciał już mieszkać gdzie indziej. Kupił ją od miasta za bezcen. I on również mieszkał w salonie wychodzącym na morze.

– To dlatego przyjąłem cię do siebie – powiedziała. – Kiedy zobaczyłam, jak posmutniałeś, że nie możesz tu mieszkać, przypomniałam sobie melancholię mojego męża i jego ogromne pragnienie samotności. Przyjąłem cię przez wzgląd na niego... Przez wzgląd na niego i ponieważ chcę, aby w tym domu, gdzie on odszedł, jakiś młody człowiek odzyskał zdrowie...

Mówiła z prostotą i z wielkim oddaniem. Obdarzyła Emanuela spontaniczną i naiwną przyjaźnią, podobną do miłości, jaką żywiła do swojego psa, syna i papugi; miała tę samą ekspresję i ten sam ton głosu dla wszystkich.

Dni mijały słoneczne i spokojne. Solange... Gdzie też mogła być Solange? Upływał już prawie miesiąc od jego przeprowadzki do willi i nie miał o dziewczynie żadnych wieści.

W staromodnym kształcie starego budynku, w przejrzystości życia, jakie teraz prowadził, nie krzepł już żaden z cieni, które kiedyś przebiegały przez niego w milczeniu.

Leżał na słońcu, wygodnie rozparty, rozpromieniony i jasny, czysty jak woda, przez którą nie mógł przeniknąć bez śladu żaden obraz.

Zdawał sobie teraz sprawę, jak głęboka i jak krucha była ich miłość.

I jak kruche było jego dotychczasowe życie, jak nietrwała była cała rzeczywistość dni przepływających przez niego niczym spokojna rzeka, której nurt czuł w sobie, gdy leżał bezwładnie z zamkniętymi oczami. Pewnego dnia napisał do doktora Cérieza z pytaniem, kiedy i gdzie mógłby przyjechać, aby się zbadać. Otrzymał krótką odpowiedź:

Zaginiony przyjacielu!

Przyjedź do kliniki, kiedy tylko chcesz, lecz najlepiej jutro rano o dziesiątej. Bardzo jestem ciekaw, jak odkryłeś willę „Elseneur”.

Ukłony dla pani Tils.

dr Cériez

Emanuel zdziwił się. Skąd doktor znał panią Tils? Zapytał ją o to.

– Był jednym z najlepszych przyjaciół mojego męża. Często do nas przychodził – odpowiedziała. – Znał dobrze tę okolicę

i na pewno by tu zamieszkał, gdyby nie był lekarzem. Jego też prześladuje zew pustyni...

Następnego dnia rano Emanuel wysłał Irvinga do miasta po powóz dla chorych. Powóz podjechał pod gospodę. Emanuela przetransportowano tam przez wydmy, niosąc na ramie. Tamtego ranka klinika była pusta. Kiedy tylko przybył na miejsce, udał się prosto do sali zabiegowej. Konsultacja trwała zaledwie kilka minut. Doktor Cérielz obejrzał dokładnie miejsce, w którym był ropień, włożył rękę pod gips i pomacał kręgi.

– Chyba zdejmę ci gorset – powiedział – i za miesiąc, dwa może będziesz mógł zacząć chodzić.

– Zdejmie mi pan gips? – spytał oszołomiony z radości Emanuel. – Naprawdę?

Odkąd miał go na ciele, tak się do niego przyzwyczał, iż nawet nie myślał, że kiedyś mógłby go nie mieć. Uważał to paskudztwo za dodatkową część organizmu, nieznośną, ale nieodłączną. Poczucie znów wolne ciało – wydało mu się to czymś niezwykłym, początkiem życia, ponownym przyjściem na świat.

– Naprawdę? – wymamrotał nieprzytomnie.

– Tak... W sobotę rano go zdejmemy.

I lekarz, uściskawszy mu dłoń, opuścił pomieszczenie, wysoki, wspaniały, ze swą lwią grzywą, jak potężny dobroczyńca, roztańczający wokół siebie aurę cudowności.

Emanuel czekał przez kilka minut na korytarzu na sanitariusza, który miał go umieścić w powozie.

– Mam cię! – krzyknął ktoś za nim i zakrył mu dłońią oczy.

Emanuel wystraszył się przez chwilę. Myślał, że to Solange, ale ręce pachniały mocno tytoniem. Był to Ernest.

– Gdzie uciekłeś? Kiedy wyjechałeś? I jak? Wiesz, że twoje zniknięcie wzbudziło sensację w sanatorium?

Ernest pomacał mu pierś, rękę, jakby nie mógł uwierzyć, że go odnalazł.

– Szukałem cię we wszystkich sanatoriach w mieście... Przetrasnąłem klinikę po klinice... Pensjonat po pensjonacie... Byłem nawet na policji... Gdzie byłeś? Gdzie się schowałeś?

Emanuel zachowywał trochę zagadkową minę. Był to nadzwyczaj miły poranek, lekarz właśnie zakomunikował mu zdjęcie gipsu, Ernest był tak zaintrygowany jego zniknięciem...

– A wiesz, kto mi kazał przeprowadzić całe to dochodzenie? – ciągnął. – Wiesz, kto był najbardziej zaintrygowany w całym sanatorium?

– Kto?

– Zgadnij!...

Emanuel zamilkł i zamyślił się.

– No to ja ci powiem... Isa! – wykrzyknął Ernest. – Umierała z ciekawości!...

Emanuel stwierdził, że poranek staje się coraz przyjemniejszy. Właśnie wtedy przechodziła korytarzem Celina.

– Co ja widzę! – krzyknęła, stając jak wryta z rękami na piersi, w swojej pozycji chrapaszczka ze złożonymi skrzydłami. – Czy to na pewno pan Emanuel? Skąd się pan tutaj wziął? Już biegnę zawiadomić panienkę! Tylko nie mogę jej tego powiedzieć wprost. Za bardzo by się przejęła... Żle się ostatnio czuje... Ciągle ma gorączkę...

– Mógłbym ją zobaczyć? – zapytał Emanuel.

– Już idę zapytać. Jeszcze spała, kiedy wychodziłam do miasta... Celina wróciła po kilku minutach.

– Czeka na pana razem z panem Ernestem.

Isa rzeczywiście wyglądała na zmęczoną, lekka senność zasnuwała jej oczy.

– Gdzie się schowałeś? Dokąd uciekłeś? – zapytała Emanuela.

W pokoju unosił się zapach środków odkażających i ropy. Był to ostry zapach zgniłych warzyw, unoszący się latem w pokojach chorych z wrzodami. Perfumy, rozpylone przez Celinę kilka minut wcześniej, nie zdołały pokryć go całkowicie.

Isa trzymała w ręku album.

– Oglądałam stare zdjęcia... O, tu jestem ja...

Podawała mu otwarty album. Niemal całkowicie wyblakłe zdjęcie przedstawiało może dwuletnią dziewczynkę w parku z pomnikami i pokrytymi śniegiem drzewami. Miała tak małą twarz i tak małe oczy, że wyglądała jak lalka.

– Zastanawiam się, co myślałam w chwili, w której zrobiono to zdjęcie – powiedziała Isa. – Czym takim zadziwił mnie wtedy świat?

I dodała smutniejszym tonem:

– Ach! Ta czysta i naiwna chwila utrwalona na fotografii!... Co za straszne oszustwo!... Ile później było goryczy...

Ernest też wpatrywał się długo w zdjęcie.

Celina otworzyła okno; ogród pełen był kuracjuszy i letników. Emanuel rzucił przerażone spojrzenie na wszystkie te hałaśliwe grupki.

Znajdował się w bezpiecznej odległości od nich. Gramofon zaczął wygrywać metalicznie swoją część hałasu. Ale żeby tylko jeden... Na kilku stołach stało w szeregu jakieś dziesięć podróźnych gramofonów. Kilkoro chłopaków i dziewczyn zmieniało igły i kładło na każdy płyty; znaleźli coś nowego.

– Wynaleźli przedwczoraj głupią zabawę – powiedziała Isa. – Ustawiają obok siebie gramofony i włączają je na komendę... Dziesięć gramofonów... Z dziesięcioma różnymi płytami...

I faktycznie, z dziesięciu włączonych aparatów wybuchła nagle straszna kakofonia dźwięków i wrzasków...

– A co na to dyrektor? Pacjenci? – Emanuel próbował przekrzyczeć harmider.

– Pacjenci wkładają do uszu watę, a dyrektor nic nie mówi, bo nie chce stracić klientów.

Była to dzika eksplozja tonów, istne kłębowisko brzmień, niczym wybuch jakiegoś powietrznego kataklizmu, który cała atmosfera dusiła długo w sobie, a teraz wyrzucała nagle na zewnątrz z ogłuszającym wyciem, jazgotem i hukami.

– Zamknij! Zamknij okno! – krzyknęła zdjęta grozą Isa.

– Dlaczego nie przeniesiesz się do innego sanatorium? – spytał Emanuel.

– Wszędzie jest tak samo – powiedział Ernest. – Wiadomo, latem miasto należy do żywych...

Celina przyniosła dla całej trójki kawę.

Zaczęli rozmawiać o innych pacjentach.

– A co u Tonia? – zapytał Emanuel, który dawno go już nie widział.

Ernest miał o nim najnowsze wiadomości.

– Mogę wam przekazać najświeższe informacje... Był tu jego brat, aby odebrać walizkę z książkami zostawioną przez Tonia w sanatorium... Opowiedział mi o nim sensacyjne rzeczy, do prawdy sensacyjne...

– To znaczy? Mów szybko – nalegała niecierpliwie Isa.

– Wiecie, że zaraz po wyjeździe pani Wandeskiej on też wyjechał do Paryża, do brata... Jeszcze w Berck zaczął popijać... ale w Paryżu czołgał się już wręcz od baru do baru. Na próżno brat próbował jakoś na niego wpłynąć, na nic się zdały prośby i groźby... Pewnego wieczoru spotkała go niezwykła przygoda... Jego brat śmiał się, kiedy opowiadał mi całe to zdarzenie, ale mnie aż ciarki przechodziły... Biedny Tonio!

I zamilkł na kilka sekund.

– Tak więc pewnego wieczoru, kiedy napił się, ile wlezie, albo i więcej, poszwenął się trochę po mieście, a potem położył na

ławce koło stacji metra. Nagle dostał ataku wątroby – normalne u alkoholików – i zaczął wyć z bólu, rzeźić i tarzać się po ziemi. Była druga w nocy. Policjant, który tamtędy przechodził, widząc, że jakiś człowiek zwija się na asfalcie, próbował go przesłuchać, ale nie mógł zrozumieć ani jednego słowa z bełkotu Tonia. Oczywiście widać było, że facet jest pijany, ale był tak, jakby był ranny... Policjant wezwał na pomoc dwóch ludzi i Tonio został odwieziony do pobliskiej kliniki.

Umieścili go szybko w wolnym pokoju i portier poszedł poszukać dyżurnego internisty. Przez ten czas atak ustał trochę, bóle musiały ustąpić, zresztą nie wiadomo do końca, co się stało, w każdym razie kiedy Tonio otworzył oczy i ocknął się w tym nieznanym pomieszczeniu, wpadł w straszny szal. Zerwał się z łóżka, zaczął rzucać wszystkim, co było w pokoju, a potem znalazł w szufladzie od stołu nożyczki do rozcinania bandażu, zapomniane tam przez kogoś, złapał za nie i wybiegł wściekły na korytarz, gotów, pobrzękując nimi groźnie, wbić je w pierwszego napotkanego człowieka. Pienił się cały ze złości; alkohol kipiał w nim strasznie... Nagle znalazł uchylone drzwi, przez które wpadała na korytarz słaba smuga światła... I wtedy wydarzyło się coś nieoczekiwanego, straszego i śmiesznego zarazem, co nadało całej tej przygodzie najbardziej groteskowy finał... Tonio pchnął drzwi i znalazł się w zupełnie pustym pokoju. Dostrzegł na ścianie zdjęcie jakiejś kobiety, zerwał je i pociął nożyczkami na kawałki. Pokój należał do pielęgniarki opiekującej się ciężko chorym pacjentem... Drzwi obok były otwarte i dochodziło zza nich rżenie umierającego. Pielęgniarka wyszła na chwilę i miała zaraz wrócić. Tonio, z podniesionymi groźnie nożyczkami... straszny... wszedł do pokoju umierającego i stanął nagle twarzą w twarz z opartym o poduszki wychudłym staruszkiem o odrażającej twarzy z wypłyniętym okiem... Siedząc na łóżku, przesuwał paciorki różańca

i mruczał litanie przerywaną rżeniem... Zdrowe oko zachowało całą swą żywotność i bystrość. Było to wypukłe, zimne spojrzenie, które wbiło Tonia w ziemię.

– Muszę kogoś zabić – wybełkotał i wypuścił nożyczki z ręki.

Zdziwiony staruszek odłożył spokojnie różaniec i kiwnął na niego.

– Zbliź się, młodzieńcze... Śmieszne... Bardzo śmieszne...

Biedak nudził się przeraźliwie podczas długich bezsennych nocy i kiedy w końcu zaczęło się dziać coś ciekawego, chciał się temu przyjrzeć bliżej.

– Podejź, młodzieńcze... Nie bój się...

Tonio, wyczerpany atakiem, padł zmęczony na krzesło koło łóżka. Pielęgniarka, która chwilę wcześniej weszła za nim do pokoju i od kilku sekund przyglądała się całemu zdarzeniu, pobięła wezwać kogoś na pomoc, aby wyprowadził Tonia.

Kiedy wróciła, zastała scenę, którą można by uznać za bardzo poruszającą, gdyby nie jej groteskowość... Jednooki starzec przesuwiał paciorki różańca i odmawiał na głos *Zdrowaś Mario*, a obok Tonio, jeszcze przed chwilą straszliwy morderca, teraz potulny, łagodny, spokojny, ściszone głosem posłusznego ucznia powtarzał modlitwę pod hipnotycznym, lodowatym spojrzeniem jedyne, nieruchomego oka... Oto co mi opowiedział jego brat...

Ernest zamilkł.

Pozostali też milczeli, poruszeni opowieścią.

Emanuel spojrzał na zegarek. Musiał już jechać.

– Może wpadnę w sobotę – powiedział do Isy. – Przyjeżdżam do kliniki na zdjęcie gipsu – dodał wesoło.

Był w świetnym humorze. Sanitariusz popchnął wózek... Emanuel pozwalał się wieźć, bardzo zadowolony z tego poranka, podeksytowany myślą, że wkrótce zostanie uwolniony od gorsetu.

Myślał o tym i o wielu innych przyjemnych rzeczach, kiedy nagle, dotarłszy w głąb podwórza, gdzie stał powóz, wytrzeszczył zdumiony oczy... Nie było jednak dokąd uciec...

Na siedzeniu w powozie, z gazetą w ręce, czekała spokojnie Solange...

Emanuel również próbował zachować spokój.

– Widziałam, jak wchodziłeś do kliniki – powiedziała. – Przepraszam, że na ciebie czekałam. Jeśli się gniewasz, pójdę sobie...

Rzeczywiście, zastał ją w powozie spokojną i pogrążoną w lekturze, ale drżenie głosu i przyśpieszony oddech, który wzmagał się pod bluzką (prawie widać było uderzenia jej serca), zdradzały skrywane emocje.

Emanuel nie miał odwagi mówić jej nic przykrego, tak w biały dzień, prosto w oczy. Kiedy sanitariusz wsadzał go do powozu, poprosił, by z nim pojechała.

– Muszę z tobą porozmawiać, wyjaśnić ci – powiedział.

Kiedy jednak zostali sami, stwierdził ze zdziwieniem, że nie ma jej nic do powiedzenia. Co takiego miały jej wyjaśnić?

Gdzieś na wydmach była willa „Elseneur”. Dobrze się tam czuł. Był sam. Leżał całymi godzinami w słońcu, na tarasie; odnalazł spokój... Jaki związek miało to wszystko z Solange? Usiłował znaleźć właściwe, wystarczająco jasne słowo, jednak na próżno łamał sobie głowę, nic kompletnie nie przychodziło mu na myśl...

Postanowił milczeć, póki nie doliczy do stu. Solange, siedząca obok, również milczała, z trochę nieprzytomnym wzrokiem, z zacisniętymi ustami, zasklepiała się tak w milczeniu, kiedy ją coś dręczyło.

Koń wioził ich powoli, stępa, ulicami równie milczącego miasta. Kopyta rozbijały ciszę, rozdrabniając ją wyraźnie i nieco drażniąco.

Cała niemożność mówienia odbijała się rytmicznie w tych jednostajnych uderzeniach o bruk. „Co mam jej powiedzieć?” – niepokoił się Emanuel i odczuwał nagłą solidarność z mijanymi domami, z ich zatrzaśniętymi okiennicami, z obojętnością drzew i zupełnym zakłopotaniem tylu miejsc, które nikomu z niczego nie musiały się tłumaczyć.

„Prędzej czy później Solange już tu nie będzie. Wyciągnę na przykład rękę i siedzenie będzie puste, a ja znów będę sam... Teraz chodzi tylko o to, aby jakoś przetrzymać tę ciszę” – myślał Emanuel i krew tętniła mu w skroniach, kumulując dodatkowo całe zdenerwowanie i potężną wibrację jego napięcia.

– Więc gdzie teraz mieszkasz? – zapytała w końcu Solange.

O! Ktoś coś powiedział? Emanuel wzdrygnął się. W tym powozie, podczas tej przejażdżki bocznymi ulicami, w rytm uderzających o asfalt kopyt, wydawało się, że zdolność wypowiedzenia jakiegokolwiek słowa rozplynęła się na zawsze.

Wybuchł długim opisem willi „Elseneur”. Powiedział, jak dobrze się tam czuje, opisał kucharkę, panią Tils, właściciela zajazdu... Opowiedział, jak się tam znalazł... Cała wcześniejsza presja jakby czekała na jedno tylko słowo, żeby znaleźć ujście w tej gadaninie. Wystarczyło, że na zwartym bloku ciszy wystąpiła jedna tylko rysa, by wszystko nią uszło.

W gruncie rzeczy w tej nagłej wylewności zawierała się ta sama niecierpliwość i irytacja, co we wcześniejszej presji milczenia.

Solange chwyciła za lejce, aby zatrzymać konia. Za bardzo oddalili się od miasta, jadąc na wydmy; chciała wracać. Przez drogę przechodził jakiś żebrak. Solange zatrzymała go, żeby dać mu pieniądze. Dopiero teraz zauważył, jak bardzo była zmieniona. Szperała w torebce, ciągle jednak patrząc w próżnię jak niewidoma, która maca rzeczy na swej drodze, podczas gdy jej spojrzenie pozostaje bezbarwne i utkwione w dal.

Emanuel też wyjął portfel. Kiedy go otworzył, wypadła z niego mała, starannie złożona karteczka. Solange ocknęła się z głębokiego rozpadu i utkwiała wzrok w tym kawałeczku papieru.

– Liścik miłosny? – zapytała.

Emanuel zdał sobie w końcu sprawę, jak zjadliwą trucizną sączyło przez ten cały czas jej milczenie. Czy to Solange wypowiedziała te słowa? W jednej chwili, na znak wewnętrznej desperacji, na jej bladym policzku wystąpiły, jak bolesne stygmaty, dwie plamy jaskrawego rumieńca.

– Co ci jest, Solange?

Milczała przez kilka sekund, po czym nabrała powietrza i zaczęła mówić cichym głosem, brzmiącym jak odległe echo skrywanego wzburzenia.

– Czuję się, jakbym miała zamarznąłą duszę... Jakby coś we mnie zamarzło... Czuję lód... Czuję lód, tu, w środku. – I pokazała ręką na pierś. – Co to za kartka?

Emanuel zawahał się.

– Wybacz, ale nie mogę ci powiedzieć. – Po czym szybkim ruchem włożył kartkę z powrotem do portfela. Strasznie żałował, że nie może jej tego pokazać. Był to kawałeczek kości Quitonce'a. Nie dotykał jej, odkąd tamten wręczył mu ją po operacji; ogromnie bał się ją odwinąć. – Nie mogę ci tego pokazać, ale mogę ci powiedzieć, co tam jest...

Solange wysiadła z powozu.

– Dziękuję... Już nie potrzebuję wiedzieć...

Podążyła mu dłonią, miękką i trochę wilgotną, którą Emanuel trzymał przez kilka sekund w swojej, jak martwe, jeszcze ciepłe zwierzę.

– Żegnaj, Emanuelu...

– Dlaczego „żegnaj”? – zapytał zaskoczony.

Po czym dodał niespokojnie:

– Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy... Że zostaniemy przyjaciółmi...

Popatrzyła na niego, jakby nie rozumiała, że tam jest.

– Żegnaj, mówię ci, żegnaj...

I poszła, odwróciwszy się gwałtownie, dokładnie w chwili, gdy wybuchły jej w oczach łzy.

Następnego dnia była rocznica śmierci pana Tilsa.

Już od rana zaczęły się w willi „Elseneur” przygotowania do pielgrzymki na cmentarz. Emanuel nie spał dobrze tamtej nocy. Dręczyły go straszne koszmary i ich wspomnienie kładło się jeszcze cieniem na jasności poranka.

Cała willa była przesiąknięta ciężkim zapachem lilii i narcyzów, przyniesionych tam już dzień wcześniej. Był to dzień ściśle przestrzeganych rytuałów; również jedzono wtedy bardzo skromnie. Pani Tils leżała zapłakana na łóżku w swoim pokoju na górze i zraszała łzami jedną chusteczkę za drugą. Kucharka wkładała czarny kostium oraz toczek i krzątając się tak po domu, wycierała kurze i podawała herbatę w śmiesznym kapelusiku na czubku głowy, a Irving zakładał psu kaganiec, aby nie szczekał. W powietrzu unosił się mdły, pogrzebowy zapach ogromnych ilości kwiatów poukładanych w bukiety. O dziesiątej wszyscy byli już gotowi do wyjścia. Pojawiła się jednak pewna trudność: cmentarz był daleko i mieli wrócić dopiero późnym popołudniem. Z kim miał zostać Emanuel? Kucharka za żadne skarby nie chciała zrezygnować z udziału w ceremonii. Na próżno Emanuel prosił ją, żeby poszła na cmentarz następnego dnia, przecież nie miało znaczenia, kiedy złoży swój bukiet na grobie.

– Dzisiaj jest rocznica śmierci pana, a ja miałabym tam iść jutro? Co mu po tym? Co mu po tych kwiatach, jeśli zaniosę je w inny dzień?

Tak jakby niewidzialny duch nieboszczyka wyznaczył wszystkim spotkanie na swoim grobie dokładnie w rocznicę śmierci. Każdego innego dnia kwiaty stawały się zbędne, bo ducha już tam nie było.

– Pan tak mnie lubił – wybuchła płaczem kobieta.

– Dobrze już, zostanę sam – powiedział Emanuel. – Ostatecznie niczego mi nie trzeba i dom chyba też nie zacznie się palić akurat dzisiaj...

Zostawili mu na stoliku torebkę z jedzeniem i ustawili wózek z nim w głębi salonu, by nie dokuczało mu słońce. Zaciągnęli zasłony i Emanuel pozostał w chłodnym pokoju, w całkowitej samotności willi...

Po raz pierwszy został sam w zupełnie pustym budynku. Kiedy zobaczył, jak wszyscy znikają za wydmami, ogarnął go lekki niepokój.

Drzwi na taras pozostały otwarte i do środka wpadał delikatny powiew ciepłego powietrza z gorącego południa, poruszając lekko zasłonami. Chyba lepiej, gdyby drzwi były zamknięte. Innego dnia, kiedy mógłby zadzwonić po kogoś, nawet by tego nie zauważył. Teraz jednak, właśnie dlatego że nie mógł się ruszyć z wózka, aby zamknąć drzwi, zbędne i monotonne kołysanie się aksamitnych zasłon pod oknami pokoju strasznie go drażniło.

Opuszczonymi rękami próbował dosięgnąć kół wózka, by podjechać do drzwi, ale tylko zirytował się jeszcze bardziej i spocił. Dzień zgęstniał w nieznośny, duszący upał. Pod tarasem słychać było łagodny szum morza, niczym krótki, zdyszany oddech. Wszystko działo się cicho i głucho. Emanuel leżał pod gipsem w piekającej i kwaśnej wilgoci potu.

Nagle na jednej z wydm od strony zajazdu ukazał się listonosz. „O! Bardzo dobrze! – pomyślał Emanuel. – Poproszę go, żeby zamknął drzwi...”

Listonosz zazwyczaj obchodził dom i oddawał listy do pani Tils w kuchni. Do Emanuela prawie nigdy nic nie było. Tym razem jednak listonosz skierował się prosto na taras.

– Mam dla pana list – powiedział, wchodząc, czerwony na twarzy i mokry od potu.

– Dla mnie? – zapytał zaskoczony Emanuel.

Była to duża koperta, z żałobną obwódką i adresem napisanym na maszynie. Listonosz śpieszył się, aby jak najszybciej zrobić sobie przerwę w gospodzie.

– Proszę zamknąć drzwi! – krzyknął za nim Emanuel.

Kiedy został w końcu sam, rozerwał kopertę i przeżył niemiłe rozczarowanie. Miał teraz ochotę krzyczeć i wołać z powrotem listonosza, ale było za późno. Wydmy stały puste w słońcu i choćby nie wiadomo jak głośno krzyczał, to i tak nikt by go nie usłyszał. W głupi sposób zamknął się w salonie jak w pułapce. Powinien mieć na tyle rozsądku, by otworzyć kopertę w obecności listonosza... Teraz było już za późno. Obracał w rękukartkę z gorzką zwięzłą treścią. Na jej brzegach widniały makabryczne rysunki, czaszka z dwoma piszczelami, szkielet, a na środku jedna tylko linijka:

Kiedy będziesz czytał te słowa... Żegnaj! Solange

Poczuł, jak opada z sił. Upał na dworze stał się strasznie suchy. Emanuel nie miał już w ustach ani kropli śliny. Strach ścisnął go za gardło. Chciałby, żeby sens listu, który obracał w ręce na wszystkie strony, nie był tak jasny. Irytowały go zwłaszcza nieudolne, nabażgrane w pośpiechu rysunki. Ach! To dlatego Solange miała wczoraj taką smutną minę, kiedy się z nim żegnała. Teraz wszystko rozumiał.

Gdzie ona teraz była? Leżała już martwa na łóżku w swoim pokoju w pensjonacie czy rzeziła jeszcze strasznie z wywróconymi oczami, otoczona tłumem portierek i gapiów?

Może jeszcze nie było za późno, aby ją uratować. W takich sytuacjach ważna jest każda chwila. Przyszło mu do głowy, by doczołgać się na brzuchu do gospody za wydmami i posłać kogoś do miasta, ale gips przygwaźdżał go do wózka jak zaciśnięty mocno pazur, udaremniający wszelką próbę ucieczki. Powtarzał sobie, chcąc podnieść się trochę na duchu, że list wcale nie był aż tak groźny i złowieszczy, ale kiedy znów brał go ze stołu i analizował, odkrywał w nim coraz więcej rozpacz i obłędu.

Na próżno próbował zamknąć oczy i czekać... Nikt nie może mierzyć upływu czasu własnym pulsem. Rzeczy wokół leżały w rozkładzie i spiekocie. Cała jego szamotanina rozplywała się miękko w rezygnacji długiego, niespoistego dnia. Czuł dobrze, że wytężona uwaga, z jaką wychwytywał najmniejszy hałas na wydmach, niknęła bezużytecznie w parującym, gorącym powietrzu. Było to dziwne uczucie, niczym wyzwolenie we śnie potężnych sił, które doskonała się w swej własnej słabości. Krajobraz stał się pusty aż do granic rozpacz, podczas gdy niecierpliwość kurczyła się w nim coraz bardziej, jak jądro tego irytującego dnia.

Patrzył w oszołomieniu szeroko otwartymi oczami przez szybę drzwi na wąską linię błękitnej, oddzielającej piasek granicy, aż zarys wydm załamywał się jak szkło w jasnych, rażących go plamach.

„Coś, na co czeka się zbyt niecierpliwie, nigdy się nie spełnia” – pomyślał. „Intensywność czekania odpędza to jak wir wodny, wyrzucający na zewnątrz wszystkie przedmioty, które wpadły w jego obręb... Póki się nie uspokoję, oni nie wrócą...”

Ale na próżno próbował się uspokoić.

„Ten sam dzień – pomyślał – zawiera w sobie zarówno moją niecierpliwość, jak i zająście z Solange. Co się z nią teraz dzieje? Nie żyje? Żyje?”

Może płacz by mu dobrze zrobił, ale on też byłby zbyt konkretną czynnością pośród wycieńczającej bezwolności otaczających go rzeczy...

Kiedy po godzinie wszyscy wrócili wreszcie z cmentarza, Emanuel ostatkiem sił poprosił Irvinga, aby pojechał rowerem do miasta.

– Jeśli jej pokój będzie zamknięty, niech wyważą drzwi – powiedział Emanuel słabym głosem. – Niech szukają... niech sprawdzą wszędzie, to bardzo poważna sprawa. A jeśli znajdziesz panią Solange, daj jej ten list...

Skreślił w pośpiechu kilka linijek, których sam zbyt dobrze nie rozumiał...

Co wieczór przed pójściem spać pani Tils przychodziła do pokoju Emanuela, by posiedzieć z nim trochę i życzyć mu dobrej nocy.

Tamtego jednak wieczoru, zbyt zmęczona po pielgrzymce na cmentarz, przeprosiła go, że nie może do niego zejść. Emanuel również był wyczerpany emocjami tego dnia. Irving przywiózł z miasta odpowiedź, że pani, do której adresowany był list, wyszła z pensjonatu w południe i do tej pory nie wróciła... Na dworze było jeszcze jasno, kiedy w willi „Elseneur” wszyscy udali się na spoczynek po dniu pełnym trudów i przygód.

Emanuel poprosił o zaciągnięcie ciężkich aksamitnych zasłon, aby w pokoju było ciemniej, ale z tarasu ciągle wpadało do środka światło, tak że męczył się długo na poduszkach, nie mogąc zasnąć. Błękitna jasność letniego wieczoru dzwijała po drugiej stronie zamkniętych powiek.

Zasnął w końcu i spał twardo, bez snów. Obudził się po godzinie zlany potem. Zapalił lampę i spojrział na zegar. Była dziesiąta. Na zewnątrz zapadł już zmierzch i w całej willi panowała głucha cisza.

Próbował czytać, ale nic z tego nie wychodziło, było zbyt cicho i słowa wyłaniały się z książki tak gładkie i okrągłe, że nie miały już żadnego sensu.

Nagle usłyszał kroki na betonie podwórza. Irving zamknął psa, żeby nie szczekał. Słyszał wyraźnie, jak ktoś chodzi koło domu i próbuje otworzyć okno, a później drzwi.

Kiedy miał już kogoś zawołać, rozległ się przenikliwy dźwięk dzwonka przy wejściu.

– Kto tam? – krzyknął Emanuel.

Z zewnątrz nie dobiegła żadna odpowiedź. Dzwonek zabręczał dłużej, natarczywiej. Teraz przebudziła się kucharka i szła korytarzem, szurając kapciami.

– Czy to willa „Elseneur”? – zapytał z zewnątrz głos, w którym Emanuel nie rozpoznał żadnego znajomego akcentu.

Kucharka uchyliła drzwi i zamieniła szeptem kilka słów z osobą, która dzwoniła, po czym poszła do pokoju Emanuela i zapukała cichutko.

– Kto tam? – spytał zaskoczony.

– Ktoś chce się z panem widzieć... Mówi, że musi natychmiast z panem porozmawiać. – Kucharka weszła do pokoju. – Jakaś pani... co... wydaje mi się, że jest trochę... – I pokazała ręką na czoło... – Mówi, że posyłał pan po nią.

Emanuel dopiero teraz przypomniał sobie o Solange.

– Dobrze, niech wejdzie...

Przestawił lampę bardziej na środek stołu i zwiększył płomień; pokój rozjaśnił się nagle jak człowiek unoszący brwi w oczekiwaniu na niespodziankę.

W progu stanęła Solange.

Tak, to była ona, jednak kucharka faktycznie mogła mieć wątpliwości, czy dziewczyna jest w pełni władz umysłowych. Cały policzek miała brudny od błota i wody, suknia wisiała na niej w strzępach, a rozpuszczone włosy pełne były piasku. Po jakich to śmietnikach się tarzała, że wygląda teraz jak jakaś obłąkana żebraczka? Emanuelowi serce ścisnęło się jeszcze bardziej niż wtedy, kiedy przeczytał list.

Ale to nie było wszystko.

Dopiero gdy weszła do pokoju, dostrzegł w jej rękach obmierzłe,

znalezione z pewnością na jakimś wysypisku przedmioty. W jednej ręce trzymała stary but, podarty i sparciały a w drugiej – martwego ptaka ze zwisającą głową, bezpiórego i odrażającego.

Emanuel osłupiał ze zgrozy. Solange, z półotwartymi ustami, w których kąciku zbierała się ślina, również zastygła w bezruchu z miękkim, przeraźliwie zamglonym i bezbarwnym wzrokiem.

– Co to jest? Co się stało?

Emanuel miał ochotę krzyknąć, żeby ją ocucić, złapać ją za rękę i potrząsnąć nią mocno, aby przywrócić ją do rzeczywistości.

– To dla ciebie... – powiedziała i położyła na stole martwego ptaka i but.

Z jej policzka zniknęły wszystkie kolory; był teraz popielatej, nieokreślonej bladości, jak kamień albo piasek.

– Siadaj, proszę – powiedział Emanuel.

Solange opadła na fotel; zagryzała wolno wargi i wsysała od czasu do czasu ślinę z kącika ust. Siedziała w pełnym świetle, nieruchoma, wpatrzona w abażur lampy, nie mrugając i nie wydając się osłepiona płomieniem, tak jakby jej oczy przejęły zobojętnienie całego ciała i stały się dwoma zwykłymi kawałkami szkła osadzonymi w kamiennej twarzy.

– Wzywałeś mnie... Więc jestem... – powiedziała w końcu.

Emanuel, pewny siebie, nakreślił w myślach mały plan ataku. „Muszę mówić jak najwolniej i najjaśniej, by mnie zrozumiała... Jest zupełnie nieprzytomna... oszalała z rozpaczy...”

– Bardzo dobrze cię rozumiem – powiedział głośno, z wyraźną nutą współczucia w głosie. – Rozumiem cię, ale to było nieuniknione. Wiem, jak bolesne było nasze rozstanie...

I skłamał spokojnie:

– Zresztą tak samo dla mnie, jak dla ciebie... Ja też to przeżywam, głęboko w ciele, w krwi... Przecież byłaś częścią mnie samego.

Pokój rozjaśniło na chwilę światło błyskawicy, chmury tłoczyły się na zewnątrz na czarnym jak smoła niebie, grzmot rozległ się jako nagłe i ogromne rozładowanie parnego powietrza. Upał stał się jeszcze dotkliwszy; czoło Emanuela pokrywały wielkie krople potu; koliste światło abażuru zamykało pokój w hermetycznej i dusznej przestrzeni jak w szklanym kloszu pod wodą.

– Nasze rozstanie było dla mnie tak samo trudne... tak samo przykre jak dla ciebie – ciągnął. – Ale nie chciałem, żeby nasza miłość popadła w rutynę, rozumiesz? Usiłowałem ocalić ją od nieuchronnego utonięcia w banalności. Aby to wszystko, co było tak czyste i niezwykle, takim pozostało...

– Tak czyste i niezwykle – powtórzyła bezwiednie i machnęła ręką przed oczami, jakby chciała przegonić jakiś natrętny obraz, może jakieś wspomnienie.

– A poza tym – powiedział Emanuel – chciałem tylko przerwać tę miłość, w żadnym wypadku ją zakończyć... Uczynić w niej przerwę... Podczas której skonkretyzowałyby się i okrzepła...

To, co mówił, rozbrzmiewało mu w głowie jak jakaś nudna tyrada wypowiedana przez cudze usta. Słuchał tego niemal tylko z grzeczności. Same słowa też wydawały się wycieńczone upałem. Gdzie się to wszystko działo? Najwyraźniej noc spadła wraz z całą swą ohydną, duszącą zawartością w tafłę krzywego zwierciadła i upływała teraz w nietrwałym i niepewnym powietrzu po drugiej stronie lustra.

Solange wyłamywała sobie palce.

Nagle rozpoznała na stole wysłany rano list. Emanuel śledził jej wzrok, po czym chwycił nagle kartkę i z teatralną przesadą rozwinął ją i podarł na kawałki.

– Co to za pogroźki? – powiedział z nagłą gwałtownością, wrzucając strzępki papieru do popielniczki, tak jakby ciskał je Solange w twarz.

To zdruzgotało ją do reszty. Było to może najbardziej okrutne i brutalne rozczarowanie tego dnia. Z głęboką pokorą spojrzała na papier w popielniczkę i przybrała jeszcze bardziej uległy i potulny wygląd zbitego zwierzęcia.

– Powtarzam ci, że nasze rozstanie jest tylko tymczasowe – podjął Emanuel. – A jeśli nawet byłoby ostateczne... – zmienił nagle zdanie. – Czyż nie wydobyliśmy z tej miłości wszystkiego, co było w niej najbardziej namiętne? Wszystkiego, co było jedyne i niepowtarzalne?

– Tak, tak, wydobyliśmy... – powtórzyła Solange i widać było dobrze, że nie wie, co mówi. Po czym dodała z półprzymkniętymi oczami: – Słyszysz?... Morze... Morze... Szumi ciągle...

I przyłożyła miękko rękę do czoła.

Na zewnątrz błyskawice coraz częściej przeszywały niebo, a burza stawała się coraz bardziej przytłaczająca, jak straszliwe zmagania między gotowymi do wybuchu siłami chmur i utrzymującym je w miejscu bezkształtnym, morderczym skwarem. Kilka ciężkich kropel zabębniło nagle o dach, ale wiatr wybuchł wścieklej i znów odpędził deszcz. Było bardzo późno. Kucharka pewnie podsłuchiwała pod drzwiami. Emanuel coraz bardziej się niecierpliwił.

– I po co było to całe zamieszanie? Ta cała szarpanina? Nie mogłaś mi tego oszczędzić? – krzyknął rozwścieczony. – Czy ty nie rozumiesz, że jestem... chory? Że jestem kaleką?

Słowa te rozemocjonowały go: zmęczenie, pot pod gipsem, zderzenie tego wieczora, całe to napięcie rozładowało się nagle. Wybuchnął płaczem. Tak, Emanuel płakał rzewnymi, słonymi łzami, które wciągał kącikiem ust... Ukrył twarz w dłoniach i schował się pod kołdrę. Był uratowany: płakał, po prostu płakał, i nic go już więcej nie obchodziło. Solange mogła zostać tu całą noc albo wyjść od razu. Usłyszał, jak wstaje i podchodzi do jego wózka, a potem poczuł upadek ciężkiego ciała na siebie, na kołdrę.

– Wybacz mi, Emanuelu... Wybacz mi...

Solange zanosiła się rozpaczliwym łkaniem. O nie! Tego było już za wiele! On płaczący pod kołdrą, a ona nad nim z rozpuszczonymi włosami, z wyciągniętymi rękami jak w geście pokuty, jak na obrazach... O nie! Teraz chciało mu się szczerze śmiać. Otarł łzy i zapytał spod przykrycia:

– Kiedy będziesz szła? Złapie cię deszcz...

– Już idę – odpowiedziała Solange pośród szlochów.

Emanuel wystawił głowę spod kołdry.

Solange, obmyta łzami, jakby dochodziła do siebie. Poprawiła trochę włosy przed lustrem, po czym skierowała się ku drzwiom.

– Wybacz mi, Emanuelu... Zapomniałam, że jesteś chory...

– Kaleki – uzupełnił Emanuel.

Dojrzała leżące na stole przedmioty i chciała zabrać je ze sobą.

– Zostaw je tam! – powiedział srogo Emanuel.

„Niech wie, że zostały po niej namacalne dowody jej obłędu – pomyślał. – Jutro, w dzień, świadomość tego nie da jej spokoju...”

Solange wyszła.

„Nareszcie... Nareszcie sam...” – Emanuel nie posiadał się z radości. Wytarł rękami twarz i ręce. Usłyszał jej oddalające się kroki, a później potężny i przeciągły grzmot, niczym wystrzał armatni. Przez chwilę pomyślał, że piorun mógł uderzyć w Solange, ale ta myśl, zamiast go zasmucić, tylko jeszcze bardziej go ożywiła.

Koniuszkami palców udało mu się dosięgnąć i zdjąć z półki butelkę ze spirytusem. Polał nim sobie ramiona, natarł kark, twarz, szyję. Mocny zapach odurzył go trochę; wciągał w płuca odświeżone powietrze tak długo, aż moc alkoholu nie zakręciła mu w nosie.

Znużony upałem, odurzony trochę oparami, leżał bezwładnie na poduszkach, z głową ku górze, śmiertelnie zmęczony, a jednocześnie strasznie zadowolony.

Leżał tak przez jakiś czas, oddychając wolno i miarowo, aż usłyszał, że zaczął padać deszcz, błogosławiony, kojący deszcz, jak relaksujący prysznic po skwarze całego dnia i jego strasznych wydarzeniach.

Następnego ranka Emanuel miał jechać do kliniki na zdjęcie gipsu.

Deszcz zmył atmosferę i wydarzenia ostatniej nocy; na stole, w świeżym i zimnym świetle poranka, but i ptak przyniesione przez Solange wydawały się zupełnie nieaktualne i pozbawione znaczenia. Umył się obficie, pozwalając stróżkom wody dostać się pod gips (czego zazwyczaj bardzo się wystrzegał), aby jeszcze poupać się gorzko leżeniem w tej kałuży, aby jeszcze poumarwiać się przez chwilę przed zrzuceniem gorsetu.

Sprawę Solange załatwił raz na zawsze; gips pozostawał ostatnim śladem tej strasznej przygody. „Razem z nim pozbędę się wszystkich związanych z nią wspomnień” – pomyślał.

W powozie towarzyszył mu Irving, którego młodzieńcza obecność też jakby odświeżała powietrze. Jechali po zupełnie nowych ulicach, w całkowicie nowy poranek, dźwięczący i rozłożysty jak kryształowy puchar.

Wjechał prosto na dziedziniec kliniki, gdzie już go oczekiwano. Został szybko zdjęty z powozu i wniesiony do środka. Korpulentny doktor Cériel pojawił się od razu. Wszedł do sali ze śmiechem będącym echem toczonej w sąsiednim pokoju rozmowy.

Pochylił się z uwagą nad brzuchem Emanuela i pomacał miejsce, w którym był ropień.

– Dobrze... Doskonale – mruknął lekarz zadowolony. – Dzisiaj zdejmujemy ci gips i za miesiąc, dwa może zaczniesz chodzić...

Złapał za leżące na stole nożyce, wielkie jak narzędzie ogrodnicze, z czubkami owiniętymi w gazę, żeby go nie ukłuć, włożył je pod białą tunikę i zaczął rozcinać grubą i twardą pokrywę.

Zaczerwienił się na twarzy z wysiłku. Pielęgniarka odrywała z trudem kawałek po kawałku i wrzucała je do wiadra. Emanuel czuł, jakby to samo jego wewnętrzne, tajemne jestestwo wyzbywało się tej szczelnej i ciężającej mu nieznośnie skorupy. Pancierz trzeszczał w szwach i suche płótno gipsu wypełniło pokój białym, duszącym pyłem. Z każdym odrywaniem i spadającym strzępem ekscytacja Emanuela rosła. W końcu zerwany został ostatni kawałek gorsetu i ukazało się nagie ciało.

Tyle że to nie było jego dawne ciało. Pokrywała je gruba obrzydliwa powłoka szarego, cuchnącego brudu, która odpadała od niego wielkimi płatami i napełniała go odrazą. Pielęgniarka przyniosła butelkę z benzyną. Emanuel zamknął oczy.

– Bardzo cię proszę, oddaj mi moje czyste i nienaruszone ciało, takie, jakie dałem ci przed gipsem – powiedział.

Eva zabrała się do przemywania go mokrymi wacikami.

Kiedy otworzył na chwilę oczy, stwierdził, że spod brudu wyłonił się mały różowy fragment skóry. W dzieciństwie, w deszczowe dni, tak samo niecierpliwie czekał, aż zacznie schnąć asfalt na chodniku i pojawią się na nim jasne plamy... Powoli pas białości i czystości rozszerzył mu się na pierś, a później na uda.

Emanuel dotykał palcami skóry jak w ekstazie. Dawna wrażliwość na dotyk budziła się w nim na nowo jak kaligrafia delikatnych, precyzyjnych fluidów. Miał ochotę zeskoczyć z wózka i pomknąć prosto przed siebie na plażę, nagi, czysty, jaśniejący...

Eva pomogła mu włożyć koszulę, a później resztę ubrania. Teraz wisiało ono na nim jak zwiewna szata; koszula nie przylegała już tak intymnie do tułowia; wszystko jakby unosiło się nad tym ciałem pokrytym nową i lekko nadwrażliwą skórą.

Dla pohamowania radości (bo już samo ciało zaczęło mu powoli wrzeć pod skórą z zadowolenia), poprosił, aby zawieźć go do ogrodu.

Teraz, latem, chorzy nie zajmowali już obszernego placu z kwiecistymi trawnikami na tyłach sanatorium; stały tam stoły i krzesła dla letników, którzy sączyli lemoniadę, rozwaleni na leżakach, lub kręcili nieustannie korbami gramofonów.

Dla pacjentów zarezerwowano małe betonowe podwórze z tyłu, koło stajni, otoczone krzewami, niczym mającymi ich zakryć parawanami. Tam też zawieszono Emanuela. Słońce paliło niemiłosiernie i pacjenci odkrywali się bez śladu zażenowania, eksponowali wszem wobec zagipsowane nogi i ciała. W kącie odnalazł Zeta, z nieodłączną fajką w ustach i ze stopami w gipsowym bloku – spokojnego, palącego obojętnie i jak gdyby nigdy nic, tak jakby górna połowa jego ciała nie miała żadnego związku z ułomnymi członkami na dole.

Dostrzegł też synka pewnego Austriaka, z którym często rozmawiał w salonie. Zaczął już chodzić i poruszał się teraz powolutku po dziedzińcu, wspierając się na kulach. Miał na sobie specjalny gips, zakładany zawsze chorym zaczynającym chodzić, by przyzwyczajać ich przez jakiś czas do wyprostowanej pozycji.

Całą klatkę piersiową miał ściągniętą gorsetem zakończonym pod brodą okrągłą wypukłością. W ten sposób głowa pozostawała usztywniona i nie mógł nią obrócić ani w lewo, ani w prawo. Chory chodził ze wzrokiem utkwionym prosto przed siebie, macając drogę jak ślepiec lub jak chodzący posąg w dostojnej pozie mędrca.

– Chodzę już piąty dzień – wyjaśnił Emanuelowi chłopczyk, spoglądając na zegarek – i mam jeszcze minutę...

Wyleczeni pacjenci próbowali chodzić codziennie minutę dłużej niż poprzedniego dnia. Kiedy udawało im się utrzymać na

nogach przez pół godziny, wszyscy leżący strasznie im zazdrościli. Mieli ich za największych siłaczy i akrobatów na świecie.

– A kim chcesz zostać, kiedy dorośniesz? – zapytał go ni z tego, ni z owego Emanuel.

– Lotnikiem – odparł dumnie chłopczyk.

Kończący się pod brodą gorset i utkwiony przed siebie wzrok nadawały mu trochę wygląd lotnika; nie miał tylko kaszkietu i gogli. W ten sposób pewne detale wyglądu zewnętrznego czy ubioru wyprzedzają czasem skrywane wewnątrz myśli.

W kącie, w koronkach i w ogromnej aksamitnej sukni, siedziała dostojnie na wózku, robiąca w skupieniu na drutach „markiza”.

Trochę dalej cienkie płótno namiotu zakrywało częściowo dziedziniec i powietrze, przefiltrowane w ograniczonej nim przestrzeni, stawało się czystsze i bardziej kolorowe, jak w szklanej kostce, zamykając chorych w czymś w rodzaju fantastycznej witriny, z kalekimi ciałami wystawionymi w muzeum figur woskowych. Emanuel włożył rękę pod koszulę i ze skrywaną satysfakcją dotknął żeber.

Nagle ktoś do niego podbiegł, skacząc i krzycząc.

Była to Katty, ruda Irlandka, której dawno już nie widział. Miała na sobie prostą czerwoną sukienkę, narzuconą na ciało jak worek. Przy każdym gwałtowniejszym oddechu jej piersi jakby obnażały się coraz bardziej.

Cała jej skóra była spalona słońcem. Na rękach i ramionach miała świeżo zabliźnione rany; całe jej ciało było jednym wielkim kawałkiem obdartego ze skóry mięsa.

– Jesteś tu powozem? – zapytała. – Zabierzesz mnie na przejażdżkę?

I dodała, obejmując go za szyję:

– Zobacz, jaka jestem rozpalona... Cały dzień siedzę na słońcu... Cała płonę w środku jak pochodnia, a kiedy wchodzę do morza,

woda syczy wokół mnie, jakbym była rozżarzonym węglem wrzucanym do szklanki...

Emanuel zawołał chłopaka z personelu, aby go wsadził do powozu; Irving poszedł do miasta i w ten sposób, po odejściu sanitariusza, zostali z Katty sami.

– Ale tu u ciebie dobrze... – powiedziała dziewczyna, wyciągając się w cieniu pod budą powozu. – Jak w małej alkwie...

Wybuchnęła głośnym urywanym śmiechem.

– Więc dokąd chcesz dzisiaj jechać? – zapytała.

Emanuel czuł się lekki i wolny.

– Gdziekolwiek – odparł – gdziekolwiek.. Dzisiejszego ranka moje ciało jest całkowicie dyspozycyjne... Dopiero co je odzyskałem i sam jeszcze nie wiem, co z nim zrobić...

Rozbawiona Katty znów się zaśmiała.

– Znam jedno chłodne miejsce niedaleko Berck... Co ty na to, chcesz się tam przejechać? – powiedziała.

Wyjechali z miasta i pędzili przez jakiś czas po opuszczonej wiejskiej drodze, w pełnym słońcu, pomiędzy kamienistymi i białymi jak wyschłe morskie dno polami. Powoziła Katty.

Nagle skręciła za jakimiś domami i minęli przejazd kolejowy. Wjechali w wilgotną, zieloną okolicę, tak różną od nudnych pól, przez jakie przejeżdżali do tej pory, jakby błyszczące na nasypie szyny przecinały krajobraz na dwie części, rozdzielając odznaczające się wyraźnie strefy suszy i bujnej roślinności. Z trudem przebili się przez tunel listowia i zarośli; koń odgarniał łbem gałęzie na lewo i prawo, stąpając wolno w wysokiej dzikiej trawie.

Jechali ukrytą drogą, której istnienia między gęstymi gałęziami nikt by nie podejrzewał. Po chwili wjechali do wysokiej, cienistej altany. Był to prawdziwy salon zieleni z dywanem drobnej trawy na ziemi i o ścianach z szumiących wierzb. Nieopodal płynął strumyk, z drobnym i żywym szmerem tajemnej obecności.

Emanuel wziął głęboki oddech, jakby dopiero co wypił chłowie szklanek bardzo zimnej wody po męczącym pragnieniu. Zdjął koszulkę i został tak z nagim torsem, spowity w przyjemne przecieradła orzeźwiającego powietrza.

Katty przywiązała konia do drzewa.

– Co robisz, zwariowałeś? – powiedziała, wykrzywiając wesoło twarz, ujrawszy go nago, po czym padła swawolnie na trawę i wyciągnęła się na niej jak kot.

Pozycja leżąca na wózk, z dala od świeżej, zimnej trawy, wydawała się teraz Emanuelowi bardziej nieznośna niż kiedykolwiek; on też chciałby tarzać się po ziemi, chciałby...

Gwałtownym ruchem podniósł się na łokciach i złapał mocno za łuk budy. Następnie powoli i ostrożnie zsunął jedną nogę i postawił ją na schodkach powozu. Bardziej upadł, niż zszedł na trawę. Widząc to, Katty skoczyła przerażona.

– Ty chyba naprawdę zwariowałeś! – wyjąkała bezwiednie, pobladła z zaskoczenia. – Możesz się strasznie przeziębic – krzyknęła i pobiegła do powozu po jego ubranie.

Kiedy wsuwała mu je pod plecy, jej ręce dotknęły jego piersi i ów dotyk przeszył go dreszczem jak przepływ jakichś strasznych fluidów. Kiedy po raz ostatni czuł dotyk czyjejś ręki? To tak jakby Katty dotknęła jakiegoś nowego Emanuela, gładkiego i aksamitnego, o nowej, drżącej i bardzo wrażliwej skórze. Emanuel obrócił się na trawie i złapał nagle jej nagie nogi; objął je, przywarł do nich czołem i całował jej twarde, szorstkie kolana.

– Co robisz? Co robisz? – krzyknęła Katty i znalazła się obok niego, złapana w straszliwym uścisku.

– Co robisz? – szepnęła jeszcze i odchyliwszy głowę na trawę, zakryła oczy i oddychała ciężko, jakby we śnie, podczas gdy on podnosił jej suknię, pod którą w te letnie dni nie miała nawet koszuli.

Przyłgnął ustami do jej czerwonej, spalonej słońcem skóry; Katty próbowała się wyrwać, ale przygwaźdżał ją jego opór. Następnie splótł ramiona, przewrócił się na nią gwałtownym ruchem i w szamotaniu bezładnych dzikich ruchów, jak w pożodze żywych cielesnych płomieni, przywarł nagim torsem do jej rozpalonych piersi.

Pewnego popołudnia w willi „Elseneur” zjawiła się Celina z niezbyt dobrymi wieściami od Isy.

Choroba nasiliła się nagle w niewyjaśniony sposób. Isa cierpiała na dziwną przypadłość, której nabawiła się na Dalekim Wschodzie. Jej prawa noga była cała w ranach i otwartych fistułach. Na próżno od lat robiono jej badania i aplikowano najróżniejsze kuracje; ciało nie przestawało gnąć i jedynym wyjściem pozostawało leżenie na wózku.

W ten sposób trafiało do Berck wielu pacjentów, którzy w zasadzie mogli już tylko leżeć i przebywać wśród innych chorych, co ułatwiało zniesienie długiej męki.

– Może trzeba będzie jej uciąć nogę – powiedziała Celina, próbując powstrzymać łzy.

Ocierała ciągle oczy chusteczką, nie mogąc się opanować. Na pewno długo już nosiła w sobie ten gorzki konwulsyjny płacz i teraz nadarzyła się okazja, by go z siebie wyrzucić.

– Isa wie? – spytał Emanuel.

– Och nie! Ona niczego nie podejrzewa... Wszyscy wokół staramy się jak możemy ukryć przed nią prawdę... Lekarz powiedział jej, że może będzie musiał ją operować, aby oczyścić chore miejsce, żeby później mogła zacząć chodzić... A ona się cieszy... Jak ona się cieszy... Myśli, że jest prawie wyleczona...

Wytarła oczy, ciągle zanosząc się płaczem, który wyrывał się z głębi jej piersi.

– Przepraszam, że robię z siebie widowisko...

Zamilkła, patrząc w podłogę i kiwając wolno głową, jakby akcentowała w ten sposób swój wewnętrzny monolog.

A po chwili, przypomniawszy sobie nagle:

– Przyszłam przekazać panu, by ją pan odwiedził... Dawno pana u nas nie było...

Emanuel obiecał przyjechać następnego dnia.

– O, to dobrze!... Jutro będzie już gotowa jej nowa sukienka – powiedziała Celina. – Biedactwo... Ona naprawdę wierzy w to, że zacznie chodzić, i poprosiła o nową sukienkę... „Lekką, letnią sukienkę, w kwiaty”, powiedziała... Oczywiście nie chciałam jej sprawiać przykrości i zamówiłam tę sukienkę. Z pięknego muslinu... Sam pan zobaczy. Proszę jej powiedzieć, że ładnie w niej wygląda...

– Kiedy mam przyjechać?

– Najlepiej nie za późno, przed czwartą... Później dostaje gorączki i robi się nerwowa...

Następnego dnia, dość wczesną porą, Emanuel pojechał powozem do miasta, gdzie napotkał dziewczynkę z koszem kwiatów. Były to małe, zupełnie bezbarwne bukietki z drobnych i wątkich kwiatów rosnących na wydmach. Kupił kilka, po czym wstąpił do kwaciarni i włożył między nie parę co bardziej czerwonych goździków.

Powstał z tego dziwny bukiet, cudaczna mieszanka matowych kolorów i żywych kwiatów. Isa złapała go mocno i przycisnęła do piersi, po czym wyjęła jeden goździk i włożyła sobie we włosy.

Była ubrana w swoją nową sukienkę i leżała odkryta na wózku. Faktycznie, ładnie było jej w cienkim muslinowym woalu. Zakrywał ją aż za kolana, z tym że o ile jedna noga wystawała spod niego zupełnie normalnie, ubrana w pończochę i but, to druga była cała owinięta w grube gazowe bandaże.

Isa wsunęła czerwony kwiat za ucho i przeglądając się w lustrze, zaczęła kokieteryjnie poprawiać fryzurę.

Gorączka rozlała jej na policzkach dwie wielkie, jak namalowane szminką plamy. Odgarnęła włosy i odkryła czoło. Wyglądała jak duża lalka leżąca na swoim łóżeczku, lalka ze złamaną nogą, którą jakaś dziewczynka, bawiąc się „w lekarza”, owinęła w białe szmatki.

Zasłony w pokoju były zaciągnięte i światło sączyło się ciężko wraz z lekkim gwarem ciepłego, spokojnego popołudnia.

W pomieszczeniu unosił się ten sam co poprzednio, ale jeszcze bardziej stęchły i może jeszcze bardziej przenikliwy zapach ropy. Celina przyniosła dwie duże szklanki oranżady.

Kiedy ją sączyli, wszedł sanitariusz i powiedział, że ktoś czeka na zewnątrz.

– Znowu przyszedł – powiedziała rozzłoszczona Celina. – Niech go dziś panienska nie przyjmuje... Bardzo proszę... – powiedziała do Isy.

Ale Isa nie chciała jej słuchać.

– Niech wejdzie... Powiedz, żeby wszedł... Właśnie dziś się nie boję... bo jest tu Emanuel...

I kierując wzrok na niego:

– Byłabym ci taka wdzięczna, gdyby udało ci się uwolnić mnie od tej obsesji! Ale to niemożliwe... On mówi, że może mnie uleczyć za pomocą gwiazdnych kamieni... Wiesz, co to takiego? Tajemne siły... Komunikowanie się z duchami...

Mówiła zmieszana i jakby trochę przestraszona.

Człowieczek, który wszedł, chodził krzywo, z okrągłym, spuchniętym, wysuniętym do przodu ramieniem i z mocno wypchniętą klatką piersiową. Miał okropną dziobatą twarz i wyłupiaste, wychodzące zupełnie z orbit oczy. Ubrany był w stary gruby płaszcz z aksamitnym kołnierzem, jakby wcale nie zważał na upał.

– Mam dla ciebie dobrą wiadomość – powiedział do Isy, ignorując wyraźnie obecność Emanuela, i strzelił lekko palcami. – Wczoraj w nocy nawiązałem kontakt z bardzo potężnym duchem, jest ci przychylny.

W jego głosie pobrzmiwały chrypliwe tony, niczym lekkie rżenie.

Emanuel dostrzegł nagle na jego szyi coś czarnego i przyjrawszy się uważniej, odkrył, że to pluskwa. Ogarnął go nagle ogromny wstręt zmieszany z niewymowną litością.

Isa jednak, cała zmieniona, patrzyła na niego rozemocjonowana i zaczęły jej lekko drżeć ręce. Łatwo było zauważyć, że człowieczek zdominował ją i sterroryzował.

– Przynoszę ci znak od ducha... – ciągnął i wyjął z kieszeni kamizelki jakiś przedmiot zawinięty w strzępek gazety. – To kawałek gwiazdnego kamienia. Pilnuj go dobrze...

Isa wzięła go i schowała głęboko pod poduszkami u wezłowania. Zaczęła szczękać ze strachu zębami.

– Żałuję, że nie mogę zostać dłużej – dodał człowieczek. – Dziś w wieczorem o dwudziestej pierwszej dwadzieścia pięć pomyśl intensywnie o duchu... – polecił Isie z progu.

W końcu sobie poszedł. Celina odprowadziła go i rozmawiała z nim jeszcze przez chwilę na korytarzu.

– Co za oszust! Co za podły oszust! – wybuchł Emanuel, kiedy drzwi się zamknęły. – Celina ma rację, powinnaś go wyrzucić...

Isa popatrzyła na niego przestraszona.

– Boję się... Emanuel... Mógłby się strasznie zemścić.

W tej samej chwili wróciła Celina, poszperała w torebce i znów wyszła na korytarz.

– Założę się, że chciał pieniędzy – powiedział Emanuel, kiedy wróciła.

– Tak, chciał pożyczyć pięć franków.

– Mogę zobaczyć ten gwiazdny kamień?

Isa podała mu go. Otworzył paczuszkę i obejrzał uważnie jej zawartość. Następnie podsunął ją sobie pod nos.

– To zwykły kawałeczek sera – powiedział. – Niech pani zobaczy, pani Celino.

Opiekunka powąchała i skrzywiła się zniesmaczona.

Isa wyrwała jej papierek z ręki i schowała go pod głowę.

Emanuela ogarnęła furia.

– Jeśli naprawdę kontaktuje się z potężnymi duchami, to dlaczego przychodzi leczyć ciebie, zamiast najpierw uleczyć siebie samego? Dlaczego chodzi pokrzywiony?

Zdał sobie jednak sprawę, że w ten sposób jej nie przekona.

Było tylko jedno wyjście – Emanuel stał się nagle spokojny i powiedział do Isy błagalnym głosem:

– Zresztą... Bo ja wiem? Może faktycznie ten gwiazdny kamień ma magiczne właściwości... Może wypróbowałbym go na sobie? Pożycz mi go na kilka dni, włożę go sobie pod ciało... Nigdy nic nie wiadomo...

Isa wręczyła mu paczuszkę z wielką ufnością i ożywiła się.

– Więc sam masz wątpliwości? Mnie też to nie daje spokoju: to „może”... Może...

Czerwone plamy jeszcze bardziej rozlały jej się po policzkach, a skronie pokryły się drobnymi kroplami potu. Widać było wyraźnie, że ma wysoką gorączkę.

Dodała jak wyznanie:

– Zresztą od kilku dni czuję się dużo lepiej... Mam tylko gorączkę... Ale jakie to ma znaczenie, skoro czuję się tak dobrze?

Celina wyszła z pokoju.

– Zdradzę ci mój sekret, Emanuelu... Mój największy sekret. Wczoraj i dzisiaj wygrałam w karty od Celiny dużo dni... Grałam z nią dzisiaj rano...

Emanuel zrobił zaskoczoną minę.

– Zaraz ci wszystko wytłumaczę – podjęła. – Tylko, proszę cię, błagam, nie mów o tym nikomu... Codziennie gram z Celiną w karty. Niby o nic nie gramy, ale ja w myślach gram o dni... O dni życia... Im więcej punktów od niej wygrywam, tym więcej dni zyskuję... odjętych z jej życia. Rozumiesz?

Zaczęła się śmiać, wstrząsały nią niepokojące dreszcze, jakby nie kontrolowała już swoich ruchów.

– Tylko dziś rano wygrałam od niej trzysta czternaście dni... Co ty na to? Prawie cały rok... Ona oczywiście o niczym nie wie... Dlatego wręcz nikt nie w oczach, podczas gdy ja wyglądam coraz lepiej...

Straciła zupełnie panowanie nad sobą. Rozczapierzonymi palcami targała sobie włosy i pocierała dłonią czoło.

– Liczę na to, że pewnego dnia wygram od niej wszystkie dni życia... a ona, stojąc obok mnie, zachwieje się nagle wyczerpana i padnie martwa... Jak nadmuchiwana lalka, z której uchodzi powietrze, kiedy otworzy się zawór... Tak... tak... Wygram.

Zamilkła na chwilę, po czym wzburzona dodała nagle:

– Wiesz, dlaczego wygram? Właściwie w tym tkwi cały sekret... Słyszysz? Wiesz dlaczego?

Prawie dusiła się ze zdenerwowania.

– Bo... bo ja oszukuję! – wybuchła.

Była cała rozpalona, płonęły jej policzki i drżały ręce.

– Kiedy wyzdrowieję... zostanę tancerką... Wszystko ci dzisiaj powiem, Emanuelu... Będę tańczyła z tobą nago...

Nagle przeraziła się tym, co powiedziała, i wymierzyła sobie policzek.

– Co ja wygaduję? Chyba zwariowałam!

Emanuel chciał czym prędzej opuścić pokój, z każdą chwilą sytuacja stawała się coraz bardziej niezręczna.

– Ty mnie rozumiesz, Emanuelu... Będziemy największymi tancerzami na świecie. Będziemy tańczyć do muzyki Bacha... Jako pierwsi na świecie będziemy tańczyć Bacha... Rozumiesz? Rozumiesz? Poruszymy widzów do głębi ich wnętrzości... wnętrzości pełnych gówna... Co ja wygaduję? Co ja wygaduję?

Zaczęła krzyczeć.

– E tam, nie wstydź się! Ogłaszam wszem wobec, że mają wnętrzości pełne gówna! Gówna!

Do pokoju wpadła wystraszona Celina.

– Och! Znowu dostała przez niego gorączki...

Podeszła ostrożnie do łóżka i próbowała uspokoić Isę, pocierając jej skronie.

– Zawsze kiedy przychodzi ten człowiek, jest to samo... Zaczyna się rzucać i mówić od rzeczy.

Isa padła wymęczona na poduszki, a jej wargi ciągle bełkotały coś niezrozumiałego.

Zadzwonili po sanitariusza, a ten wyprowadził Emanuela z pokoju.

Celina wybiegła za nim na korytarz.

– Przysłała mnie... bym panu powiedziała... żeby jej pan wybaczył... Nalegała, żeby jej pan wybaczył.

– Ale co mam jej wybaczyć? Przecież nic nie zrobiła... – powiedział smutno Emanuel. – To ona powinna mi wybaczyć. Nam wszystkim... To ona powinna nam wybaczyć...

Przytłaczał go jałowy smutek, jak suchy płacz w głębi piersi, jak straszliwa popołudniowa melancholia.

Na ulicy, stanąwszy trochę z boku, wyjął z kieszeni gwiazdny kamień i wrzucił go do rynsztoka.

Emanuel otrzymał list.

Paryż, 7 września 19..

Drogi Emanuelu!

I oto, po ośmiu latach, znów jestem w Paryżu. Wymknąłem się z sanatorium cichaczem, z nikim się nie pożegnawszy. Przyjechali po mnie rodzice i nie minęło pół godziny, a byłem już spakowany, związany sznurkiem i wrzucony na tył samochodu. Jest to wspaniały „roadster”, z ostatnimi udoskonaleniami i aerodynamiczną linią, tak że musisz siedzieć w nim skurczony jak więzień w karczerze, z kolanami pod brodą. Jeśli chodzi o wygodę, to zawsze będę utrzymywał, że nie ma nic wspanialszego od naszego wózka, na którym leżysz sobie jak król, podczas gdy z tyłu pcha cię sanitariusz, milczący i poważny jak angielski lord.

Najbardziej (zupełnie absurdalnie) zdziwiło mnie w Paryżu to, że nie zauważyłem nigdzie żadnego powozu z chorym w środku. Pewnego dnia dostrzegłem za to na rogu ulicy inwalidę na wózku i chciałem rzucić się na niego, aby go ucałować i uściskać jak brata. Ale sam wiesz najlepiej, że gesty mające w życiu największy sens są właśnie zakazane.

Spojrzałem przecięgle na niego, na tę dziwną kombinację, pół człowieka, pół rower. Może legendę o Minotaurze należałoby trochę unowocześnić.

Włóczę się całymi dniami po mieście i każdy krok na chodniku rozbrzmiewa mi przenikliwie w mózgu, mocno i niezależnie jak uderzenie młota. W taksówkach mogę leżeć tylko na boku, zresztą wolę się przyzwyczajać do chodzenia pieszo.

Wczoraj przytrafiło mi się coś dziwnego; na bramie jakiegoś domu przeczytałem ogłoszenie, że szukają rysownika. Umieję trochę rysować; drzwi były otwarte, więc nie mogłem nie wejść, czyż nie? Musiałem się dostać aż na piąte piętro. Wszedłem najpierw po reprezentacyjnych schodach z pluszowym chodnikiem i mosiężnymi zdobieniami po bokach, prowadzących na pierwsze piętro. Im wyżej byłem, tym bardziej stopnie traciły na elegancji i solidności, tak że na ostatnim piętrze musiałem prawie macać po ciemku wąskie drewniane schodki z jęczących ze starości desek.

Tam również wisało to samo ogłoszenie co na bramie, ale nigdzie nie było dzwonka. Zauważyłem uchylone drzwi, zapukałem do nich i zaczekałem. Przez kilka minut stałem tak w zupełnej ciszy obcego domu, oparty o poręcz na podeście i patrząc przez jedno z okien mansardy na dachy miasta.

Po jakichś dziesięciu minutach zapukałem ponownie, tym razem trochę mocniej. Następnie, tknięty tym nagłym impulsem, który odczuwa się zawsze w obliczu jakiegoś zakazu, otworzyłem drzwi. Znalazłem się w czymś w rodzaju pracowni z wielkimi, zakurzonymi oknami, niemytymi chyba od miesięcy. Na środku stał ogromny stół z porozrzucanymi rysunkami i niebieskimi zwojami papieru.

Odczekałem trochę, po czym zastukałem ekierką w stół, ale echo uderzeń zginęło w pustym domu. Przede mną były jeszcze jedne zamknięte drzwi, teraz oczywiście musiałem iść dalej, póki kogoś nie spotkam.

Wszedłem, tym razem już bez pukania. Był to salonik z mnóstwem nagromadzonych trochę przypadkowo przedmiotów. W rogu – duża lampa stojąca z abażurem z różowego jedwabiu... Wytworny starość

obok łóżka z kolumnienkami i spiralami. Zakaszlałem cicho, narobiłem trochę hałasu, usiadłem na taborecie, ale ciągle nikt nie przychodził. Czyżby dom był opuszczony?

W końcu znalazłem drzwi prowadzące do reszty mieszkania. Były przykryte tapetą i prawie niewidoczne... Wszedłem do czegoś w rodzaju kuchni ze skromnymi meblami. W misce na stole były jeszcze resztki sałatki. Nawet sobie nie wyobrażasz, Emanuelu, jak dziwne i porzucone wydaje się puste pomieszczenie, w którym odkrywasz ślady ludzkiej obecności... Dojmujące uczucie pustki i osamotnienia. I chyba dopiero wtedy zdałem sobie sprawę z tego, że przedmioty osobistego użytku i wnętrza, gdzie ludzie spędzają najważniejsze i najbardziej intymne godziny życia, w gruncie rzeczy nie należą do nikogo... Ludzie tylko przewijają się przez nie – i tyle; tak jak ja przeszedłem teraz przez to nieznanne mieszkanie: obojętny i zupełnie niezwiązany z tą masą domowej intymności zalegającej wokół mnie...

Wszedłem niezmiernie smutny, wykonawszy jednak wcześniej zupełnie absurdalny gest, który jako jedyny mógł mnie uwolnić od niezrozumienia rzeczy, w jakim byłem pogrążony. W umeblowanym jak salonik pokoju wisiał na ścianie ogromny obraz w poślacanej ramie, przedstawiający stojącego, wspartego o szablę oficera. Zatrzymałem się przed nim, przyjąłem przepisową pozycję i zasalutowałem krótko, energicznie, po wojskowemu. Rozumiesz? Był to mój najwyższy hołd złożony temu nieznanemu pomieszczeniu i anonimowemu oficerowi, który jedyny zachowywał w tej przeraźliwej pustce domu pewną rację bytu, opierając się niefrasobliwie o szablę. Salutuję portretom nieznanomych.

Na koniec zostawiłem kilka prawdziwie sensacyjnych wieści o Toniu. Wiesz może, że jestem dobrym przyjacielem jego brata i często do nich zaglądam. Pewnego dnia, w zeszłym tygodniu, byłem u nich na herbacie. Wtedy też zdarzyło się coś, o czym chcę ci teraz opowiedzieć.

Tonio przebywał przez jakiś czas w jednej klinice pod Paryżem, gdzie był na terapii uspokajającej. Wydawało się, że wszystko

wspaniale się układa i niedawno wrócił do domu zupełnie zdrowy. Tak przynajmniej wszyscy sądziliśmy... Oto jednak zastałem go tak zdesperowanego, zdegenerowanego i zatrutego jak nigdy... Na razie nie pisałem jego bratu ani słowa o tym, co widziałem, i nie wiem, czy mu kiedyś o tym powiem: spróbuję raczej przekonać Tonia, aby zrozumiał, choć nie będzie to łatwe...

Ale wracając do tego, co się wydarzyło: na herbatę, o której pisałem wyżej, przyszło wielu ludzi, w tym wielu mi nieznanym. Nagle drzwi się otworzyły i wszedł znany mi już młody inżynier w towarzystwie wysokiej kobiety o blond włosach, okrytej futrem z białych gronostajów... Aż zamarłem ze zdumienia, a filiżanka zaczęła drżeć mi w ręce z emocji... Kobieta była tak ładna podobna do pani Wandeskiej, że gdybym nie widział, jak pani Wandeska utykała, gdy opuszczała sanatorium, byłbym przekonany, że to ona, i podszedłbym do kobiety, żeby z nią porozmawiać jak ze starą znajomą...

Zacząłem szukać wzrokiem Tonia i odnalazłem go w holu salonu: bladego, zmienionego, ze spojrzeniem utkwionym w tę niezwykłą i oszałamiającą zjawę... Wszystko, od stroju z białych gronostajów i szybkich ruchów po lekki jak brzęk śmiech, wszystko dopełniało złudzenia i przywoływało przed oczy tak strasznie obecną panią Wandeską...

Tonio podszedł do mnie, wybełkotał kilka słów i pobiegł do swojego pokoju.

Udałem się za nim.

– Widziałeś? – wyjąkał.

– Doprawdy nadzwyczajne...

– Nie gniewaj się... – podjął – ale muszę załatwić jedną małą, niecierpiącą zwłoki sprawę... I załatwię ją przy tobie. Nie gniewaj się i spróbuj mnie zrozumieć...

Podszedł do szafy, wziął z niej małe pudełko z metalową przykrywką i położył je na stole. Były w nim różne przyrządy – wyjął

spośród nich strzykawkę, wybrał igłę i opalił ją zapalną. Następnie, bez pośpiechu, wolnymi i pewnymi ruchami, jak lekarz, który wie, co robi, napełnił strzykawkę zawartością jakiejś ampułki, odstąpił ramię i wbił igłę głęboko w skórę.

– Od dawna robisz sobie takie zastrzyki? – spytałem przerażony.

– Nauczyła mnie tego jedna pielęgniarka w klinice, gdzie byłem „wypoczywać” – powiedział. – To o wiele lepsze i skuteczniejsze niż, dajmy na to, alkohol...

Zamilkłem wstrząśnięty, nie mając odwagi prawić mu morałów. Rozumiem go i przyznaję mu słusność. Kto wie? Może i ja pewnego dnia... Ale nie... Na pewno nie... Istnieją rozwiązania pewniejsze, bardziej ostateczne i szybsze jeszcze niż to.

Zostawiam Cię teraz, bo strasznie chce mi się spać, a kiedy mam się pogrążyć we śnie, gotów jestem nawet odmówić sobie przyjemności pisania do Ciebie...

Serdecznie,

Ernest,

który życzy Ci, jeśli tego chcesz, rychłego powrotu do zdrowia.

Minęło już kilka tygodni od ostatnich odwiedzin Emanuela u Isy. Do Berck wróciła jesień z mglistymi porankami i drobnymi, niekończącymi się deszczami, zasnuwając pokoje nikłym światłem bezmiernej melancholii.

Emanuel musiał przenieść się na powrót do sanatorium, gdyż pani Tils opuszczała na zimę willę „Elseneur”.

Powrót był bezbarwny i smutny. Emanuel wracał do pustego i przygnębiającego miejsca. Quitonce nie żył, Tonio, Ernest i Roger Torn wyjechali, a Isa właśnie miała być operowana. Cały dzień leżał w swoim pokoju, błędząc wzrokiem po mokrych, zimnych szybach... Dopiero teraz rozumiał to, co pewnego dnia powiedział mu Ernest:

– Są takie chwile, kiedy jest cię „mniej niż samego siebie” i mniej niż czegokolwiek. Mniej niż przedmiotu, na który patrzysz, mniej niż krzesła, niż stołu i niż kawałka drewna. Jesteś pod spodem wszystkich rzeczy, w podziemiach rzeczywistości, pod swoim własnym życiem i pod tym, co się dzieje wokół... Jesteś formą bardziej efemeryczną i bardziej wątłą niż najbardziej elementarna materia nieożywiona. Musiałbyś zdobyć się wówczas na olbrzymi wysiłek, aby zrozumieć prostą bezwładność kamieni, i leżysz unicestwiony, sprowadzony do „mniej niż samego siebie” w niemożności zdobycia się na ten wysiłek.

Przyjechała pani Tils, żeby się pożegnać. Nadszedł czas rozstań, wyjazdów i żalów. Czasami w odwiedzinę przychodził Zet.

Były to uspokajające wizyty. Zet wszystkie napięcia rozładowywał spokojnym paleniem fajki.

W ogrodzie skończyło się lato. Zieleń toczyła jakaś tajemnicza, jakby jeszcze nie w pełni rozwinięta wewnętrzna choroba. Liście wyginały się lekko jak ręka umierającego, która zaciska nieco palce w spazmie bólu, pozostaje jednak bezwładna. Była to szczytowa, zgniła faza jesieni, epoka końca, kiedy pelargonie roztaczają mocniej swój gorzki zapach, a georginie zaciskają płatki jak młode, powoli gasnące sztuczne ognie.

Celina chodziła niespokojnie po korytarzu. Emanuel spotkał ją kilka razy, ale nie śmiał jej zatrzymać, zresztą zdawała się nie widzieć niczego wokół.

Pewnego wieczoru przysła jednak do jego pokoju. Emanuel leżał po ciemku, drżąc. Celina próbowała coś powiedzieć, ale tylko zaczęła cichutko płakać.

– Wreszcie jakieś miejsce, gdzie mogę się wyplakać... – powiedziała.

Usiadła na krześle, oparła głowę na ramieniu i wydawać by się mogło, że zasnęła, gdyby nie wstrząsający ją od czasu do czasu szloch...

– Co z Isą? – zapytał Emanuel.

– Z Isą jest bardzo źle... Po operacji jej stan bardzo się pogorszył... Krew leci z niej jak z fontanny... Najgorzej jest rano, przy zmianie opatrunku... Na początku krzyczała, ale teraz nie może już nawet krzyczeć... W miejscu, w którym odcięli jej nogę od uda, została tak wielka rana, że dziecko wsadziłoby tam głowę... Rozdarte, poszarpane mięso... Po prostu coś strasznego...

Mówiła z drżeniem w głosie, jakby prześladowana tym okropnym widokiem.

– Chciałam zatrzymać jej nogę, ale mi nie pozwolili. Przez całą operację czatowałam pod drzwiami kliniki... Wie pan, chciałam wziąć nogę i przechować ją w alkoholu... Taki miałam pomysł...

– I nie dali jej pani? – zapytał Emanuel.

– Oczywiście, że nie... Może i lepiej... Mówię panu, kiedy Eva wyszła z nią z sali, myślałam, że trzyma w ręku bukiet kwiatów. Tak wyglądała ta noga owinięta w gazę i zakrwawioną watę... Jak wspomniała bukiet róż... Ach! Wariatka ze mnie!... Kiedy się spostrzegłam, że to noga Isy, pobiegłam za Evą co sił. Niosła ją do pieca w piwnicy, na spalenie. I co pan na to? Pała je, wrzucają do ognia... Myślałam, że oszaleję... Ciągle ją mam przed oczami, jak się pali... Nie chce mi to wyjść z głowy... Widzę, jak zajmuje się ogniem i płonie... A najgorsze było to, jak płomień doszedł do stopy, palce rozczapierzyły się nagle tak jak wtedy, kiedy obcinałam jej paznokcie...

Opowiadała cicho, jakby chcąc się uwolnić od tego straszego ciężaru.

– Ciągle majaczy... Nie zawsze rozumiem, co mówi... Nalega, żeby grać z nią w karty...

Emanuel przypomniał sobie, co powiedziała mu kiedyś Isa.

– Proszę z nią grać – powiedział. – I pozwolić jej jak najwięcej wygrywać...

Kilka dni upłynęło w spokoju. Isa przez cały czas drzemała. Był to dobroczynny sen, twierdził lekarz.

Emanuel jeździł na plażę. Dusił się w sanatorium i wolał spędzać całe godziny w deszczu, z podniesioną budą powozu, na brzegu oceanu, niż w swoim białym, smutnym pokoju. Teraz znów towarzyszyła mu Solange, ale jako dobra przyjaciółka, spokojna, milcząca, o ugrzecznionych, dyskretnych gestach, rozmawiająca z nim szeptem, jakby oboje bali się przebudzić to coś gorzkiego i bolesnego, co tylko czyhało, aby gdzieś w nich wybuchnąć...

Pewnego dnia spotkali na plaży grupkę dzieci niosących w hałaśliwym kondukcie znalezionej w piasku rzecz. Była to martwa

meduza, olbrzymi kawał galaretowatego przezroczystego mięsa o cierpkim zapachu ryb i jodu. Solange wzdrygnęła się przerażona. Emanuel wziął zwierzę do ręki i jego lepki ciężar przylgnął mu dziwnie do skóry. Miękkki, mokry chłód przenikał go aż do mózgu. Zamknął oczy, przeszywany lekkim dreszczem.

– Czuję, jakby moja dusza była właśnie takim kawałkiem bezwładnego, plugawego życia... – szepnął. – Berck ma to do siebie, że wywołuje takie odkrywcze wizje... Jaki wstrętny fetor zgnilizny wydziela!...

I Emanuel przypomniał sobie swoją ostatnią wizytę u Isy i unoszący się wtedy w pokoju nieprzyjemny zapach ropy... Oddał meduzę i postanowił wracać do sanatorium. Ten oceaniczny trup wywarł na nim niesamowicie silne wrażenie, jak coś w rodzaju prawdziwego przeczucia, ucieleśnionego w masie mokrego i zimnego mięsa.

Isa czuła się coraz gorzej. Była żywiona przez rurkę i dostawała tlen; pojawienie się meduzy było faktycznie zagadkowo wymowne.

W końcu, pewnego wieczoru, Isa zmarła.

Celina przysłała szybko do pokoju Emanuela i przyniosła kilka rzeczy zmarłej, które ta dała jej na przechowanie.

– Prosiła, by to oddać jej ojcu, a ja boję się to tutaj trzymać... Mogłoby się gdzieś zawieruszyć w zamieszaniu...

Była niemal zupełnie spokojna i wcale już nie płakała.

– Żeby pan widział, jak leży w swoim łóżku, taka biała, piękna i cicha. Chyba w końcu zaznała trochę spokoju. Wygląda jak pogrążona w nieziemsko błogim śnie...

Emanuel rzucał się przez całą noc, dręczony męczącymi halucynacyjnymi snami. W pokoju jakby rozszedł się usypiający zapach, zgniły jak galareta meduzy...

...Świeciło słońce; niesamowicie białe i jasne słońce na pogodnym, letnim niebie. Emanuel znajdował się na środku stadionu

sportowego. Wszystkie ławki były jednak puste. Był sam, zupełnie sam na asfaltowym torze, w pełnym słońcu. I nagle, skacząc, pojawił się Zet. Ubrany był w swój strój kierowcy rajdowego z czerwoną koszulką przekreśloną ogromnym inicjałem.

– Widzisz? Wyzdrowiałem, zacząłem chodzić – powiedział.

Wtedy Emanuel przyjrzał mu się uważniej i dostrzegł, że z jego stopami jest coś nie tak. Kiedy mu je ucięli? Były usunięte poniżej goleni i zamiast nich przytwierdzone miał do nóg okrągłe kawałki blachy jak wieczka konserw. Dlatego, kiedy skakał po asfalcie, rozlegał się nieznośny metaliczny hałas... Bach!... Bach!... Bach!...

Zet oddalił się jak na szczydłach. Było tak gorąco, że słońce topiło asfalt. Stadion zamieniał się powoli w ciepłą, miękką smołę... Im bardziej Zet się oddalał, tym głębiej zapadał się w asfalt... Po kolana... Po uda... Po samą głowę... W miejscu, w którym zniknął, pojawił się na chodniku cienki, przezroczysty listek różowej skóry jak pęcherzyk wody na oparzonej nodze...

Tego ranka Emanuel miał iść do kliniki na badanie do doktora Cérieza. Był bardzo zmieniony i blady...

– Co ci jest? – zapytał lekarz. – Opowiedz mi wszystko... Stan twojej psychiki obchodzi mnie tak samo jak stan twoich kręgosłupów.

Emanuel miał łzy w oczach.

– Nie wytrzymam dłużej w Berck... Jestem kompletnie przytłoczony... przybity atmosferą miasta... Skumulowała się tu cała melancholia tego świata...

Lekarz milczał, myśląc o czymś intensywnie.

– Więc może wyjedź stąd? Zrób sobie na przykład małą przerwę i pojedź na kilka miesięcy do Szwajcarii. Myślę, że zmiana klimatu dobrze by ci zrobiła...

– Już dawno o tym myślałem – powiedział Emanuel. – Ale jak mam jechać, leżąc na wózku?

– Nic prostszego – uśmiechnął się doktor. – Jest bezpośredni nocny ekspres z Boulogne do Genewy... Pojedziesz wieczornym pociągiem z Berck aż do stacji przesiadkowej, tam wsadzą cię do specjalnego przedziału w ekspresie... i następnego dnia wysadzą na stacji docelowej. Może z tobą pojechać ewentualnie jakaś pielęgniarka... W Paryżu są szwajcarskie pielęgniarki, które odwożą chorych, kursują ciągle między Paryżem a Genewą... Mogę popytać.

Emanuel postanowił wyjechać za tydzień.

Dzień wyjazdu, dzień ostatnich konfrontacji.

Emanuel chciał raz jeszcze zobaczyć znajome miejsca.

Pojechał najpierw na wydmy, do willi „Elseneur”. Było ciepłe, słoneczne, jesienne popołudnie, jak rok temu, kiedy przybył do Berck.

Pożegnał się z właścicielem zajazdu, z jego żoną i z kilkoma rybakami... Napili się z nim absyntu i życzyli mu szybkiego powrotu do zdrowia. Dziwnie brzmiały te słowa w pełnym słońcu, na pustkowiu pośród wydym. Tego samego popołudnia, gdzieś w ziemi, leżała dziewczyna w bieli, z postrzępioną grzywką, która kiedyś włożyła sobie kokieteryjnie za ucho czerwony goździk. I przedwcześnie postarzały mężczyzna, który kiedyś pokazywał Emanuelowi swoje pornograficzne zdjęcia. Do jakiej rzeczywistości należały teraz te wydmy i ciepłe światło słońca, i on, Emanuel, w powozie?... Z tymi żywymi rękami... Z wyraźnym szumem popołudnia w głowie? Pustka świata wydawała się nie mieć końca.

Pojechał na obrzeża miasta, gdzie w ubogiej chatce, tak niskiej, że ręką można było dotknąć strzechy, mieszkała Celina z siostrą i szwagrem, rybakiem.

Na podwórzu suszyły się na słońcu sieci.

Celina wyszła zgarbiona przez niskie drzwi jak z nory. Przez tych kilka dni twarz pomarszczyła jej się jak wyschły, przejrzały owoc.

Rozmawiając o Isie, przywoływali wspomnienia tak spokojne i czyste, że ich melancholia wydawała się czymś jasnym, tajemnym i spokojnym w niezmaćonej ciszy popołudnia; dodatkowym promieniem słońca, uroczystą iluminacją sęrc.

– Było mi bardzo przykro, że musieli ją pochować bez nogi... – powiedziała. – To było takie smutne... takie przygnębiające. Próbowalam jakoś ukryć ten straszny widok i w miejsce uciętej nogi włożyłam do trumny wiązankę kwiatów... Lilie i tuberozy... Jej ulubione...

Emanuel pojeździł jeszcze trochę po wąskich, smutnych ulicach miasta. Później wrócił do kliniki poczynić ostatnie przygotowania do wyjazdu. Na dworzec pojechali z nim, aby wsadzić go do przedziału, dwaj sanitariusze, z Paryża zaś przybyła szwajcarska pielęgniarka, która miała mu towarzyszyć w dalszej drodze.

Wieczorem na peron przyjechał jeszcze doktor Cériel, żeby się pożegnać.

Emanuel siedział już od kilku sekund w pociągu, kiedy do wagonu wpadła Solange, roztrzęsiona z powodu spóźnienia.

Podbiegła do niego zdyszana, ledwie znajdując siły, by wyszeptać kilka słów.

– Zapomnij, Emanuelu – powiedziała. – Zapomnij wszystko... a zwłaszcza tamtą straszną noc... Zapomnij to miasto... Zapomnij jego cierpienie...

Pochyliła się nad nim i pocałowała go w czoło, po czym wybiegła z przedziału, nie chcąc wybuchnąć płaczem.

Kolejka ruszyła wolno, chwiejąc się na szynach.

Pielęgniarka zaczęła robić na drutach w słabym świetle lampy.

Emanuel leżał bezwładnie przez kilka minut, po czym wsparł się na łokciach i spojrzał przez okno.

Miasto majaczyło w oddali niczym tonący, znikający w mroku statek.